

Las był cichy, pachniało wiosną, moką ziemią i zielenią. W oddali słychać było szczekanie psów, które skutecznie spłoszyło ptaki. Równomierny szum drzew hipnotyzował, uspokajał i usypiał.

„Nie!” pomyślał z przerażeniem „Nie wolno jeszcze zasnąć!” Próbował zwalczyć ogarniającą go senność. Leżał na mokrych liściach na dnie głębokiej kotlinki. Zażyta wcześniej dziwna mikstura, której działanie go przerażało, właśnie zaczynała panować nad jego ciałem. Czuł bezwład mięśni, z trudem panował nad świadomością usiłując w panice znaleźć rozwiązanie. Liczył na to, że jego przybocznicy będą przy nim. Tymczasem Gwardię odprawiono. Był tu sam. Poczł ciepłą stróżkę krwi, która bezwiednie spłynęła z kącika ust aż na szyję. Zasnął.

Nagle głośniejszy dźwięk przywrócił mu świadomość. Z trudem podniósł powieki i na tle koron drzew zobaczył postać jeźdźcy, zwieszonoego w siodle najwyraźniej w poszukiwaniu śladów. „Bogowie...” przerażenie złapało go za gardło „Znaleźli mnie...”. Jeździec najwyraźniej go nie widział, skupiony na tropieniu. Kilka bardzo długich sekund zabrało leżącemu rozważenie ryzyka. W końcu zdecydował. Jeśli zaśnie teraz, znajdą przy nim medalion. Nadludzkiem wysiłkiem spróbował krzyknąć... i zakrztusił się krwią. Ale jeździec usłyszał. Sfrunął bardziej niż zeskoczył z siodła, skoczył w dół kotlinki ślizgając się na mokrych liściach pokrywających zbocze. Tuz przy leżącym upadł na kolana.

- Panie!... – sapnął – Co się stało? – to była kobieta i dzięki bogom, była w czarnym mundurze Gwardii Cesarskiej. Nie pamiętał jej imienia, ale znał twarz. Była chyba dowódca któregoś z gwardyjskich pododdziałów. Nic o niej nie wiedział. Ale wiedział, że nikt inny już tu nie zdąży. Podniosła go i oparła jego głowę o swoje kolano. Przerwał lekkim ruchem ręki jej dramatyczne próby udzielenia mu pomocy. Martwiącą ręką sięgnął ku szyi i odpiął srebrny łańcuszek i wiszącą na nim metalową łańcuszek z oczkiem. Wcisnął jej w dłoń. Kobieta ścisnęła medalion w dłoni.

- Najjaśniejszy Panie, proszę, co się tu stało? Muszę wiedzieć, nie widzę rany...

- Ciii... – szepnął – To nie ważne. Słuchaj – mówienie stanowiło taki wysiłek, że dudnienie krwi w skroniach uniemożliwiało mu słyszenie własnych słów – To jest klucz do niego. Musisz go wydobyć. Potrzebujemy żelaznego smoka. .. – znów zakrztusił się krwią – Medalion nie może wpaść w ich ręce... – krew rzuciła mu się z nosa. Gwardzistka w panicznym pośpiechu usiłowała wyszarpać z sakwy opatrunki. Zatrzymał jej dłoń. – Zrozumiałaś? To jest rozkaz....

- Zrozumiałam, panie.... – rzekła po chwili milczenia. Do niego dotarło to jak przez mgłę. Zanim ogarnęła go ciemność, wyszeptał:

- Uciekaj.....

- To jest niemożliwe! – warknął ze złością wysoki, postawny mężczyzna w mundurze, z emblematem ze znakiem konia na piersi – Spadł z konia? Jakim cudem zostawiliście go samego??!!

- Ciszej – syknął towarzyszący mu arystokrata w jasnym kaftanie, spod którego wystawały obszyte koronką rękawy – Nie jesteśmy sami póki co – dodał, wskazując na tropicieli i służbę, przeszukujących stoki kotlinki, na dnie której leżało nieruchome, zalane krwią ciało młodego mężczyzny – Najwyraźniej bogowie nas wyręczyli.

- Oby to byli bogowie – odparł wojskowy ze złością – Bo jeśli sprzątnął go ktoś inny...

- Oczywiście, że ktoś inny – rzekł arystokrata z cynicznym uśmiechem – Za jakiś czas znajdziemy go i z fajerwerkami stracimy. A póki co, zabierz medalion.

Wojskowy pochylił się nad ciałem, rozpiął aksamitny kaftan i białą jedwabną koszulę. Odgarnął długie ciemne włosy, posklejane zakrzepłą krwią. Coraz szybszymi ruchami przeszukiwał nerwowo kieszenie i sakwy, w końcu wstał.

- Nie ma medalionu.... – wyszczał

Arystokrata zdjął jedwabne rękawiczki i sam powtórzył przeszukanie. Podniósł się błądy jak ściana.

- Załatwił nas, cholerny szczeniak....

- Panie hetmanie! – z krawędzi kotlinki dobiegł głos jednego z tropicieli – Mamy ślady!

Po chwili wojskowy pochylił się nad odcisniętym w mokrej ziemi śladem obcasa. But, który odcisnął się w błocie, miał charakterystyczne okucie. Żołnierz uśmiechnął się.

- Gwardia – mruknął – Znakomicie.

Belka, na której leżała, gniotła w plecy. Wyjątkowo wkurzał ją ten drobiazg. Chociaż w zasadzie nie powinien, bo w zestawie wiszących nad nią problemów zajmować powinien bardzo bardzo odległe miejsce. Na zewnątrz tymczasowo zamienionej na więzienie wartowni lało jak z cebra. W środku było ciepło i płonęło ognisko. „Przynajmniej towarzystwo miłe” uśmiechnęła się do siebie, patrząc kątem oka na krasnoluda Zibbo, wcinającego przemyconą przez kolegów z oddziału kolację. Jak kapitan się o tym dowie, to ich pozabija... Zapatrzyła się na powrót w sufit, pod którym kłębił się dym.

W ostatnich miesiącach wszystko się pochrzańało. A tak dobrze szło. Kilka lat temu ukończyła szkołę wojskową, dwa lata służyła na Południowych Wrotach. Potem dzięki uporowi i talentowi udało się jej dostać do Gwardii, gdzie była jedną z trzech służących tam kobiet. Na czterdziestu dwóch mężczyzn. A Gwardia Cesarska była obiektem marzeń każdego żołnierza Imperium. Była najbardziej elitarną jednostką w kraju, dopuszczano do niej tylko najlepszych i poddawano ciężkiemu półtorarocznemu szkoleniu. Założeniem Gwardii była ochrona osoby Cesarza, nawet wtedy, gdy będą ostatnim żywym oddziałem cesarskiej armii. Po kolejnym roku otrzymała stopień podporucznika i dowodzenie pododdziałem. Służba była dla niej wszystkim. Ale służba Cesarstwu, a nie posłuszeństwo rozkazom. I to właśnie było źródłem większości jej problemów, począwszy od owego feralnego dnia, gdy złamała rozkaz pozostania w koszarach i pojechała za cesarskim orszakiem. Tam, w leśnej kotlinie, została sama z martwym ciałem swojego władcy na rękach... Wiedziała, że nie będzie w stanie wytłumaczyć się z tego, że skaza ją zanim zdąży się odezwać. Poza tym – otrzymała rozkaz. Choć go nie rozumiała. A już następnego dnia Gwardia została rozbrojona, cały oddział zamknięto pod strażą i poddano przesłuchaniom. Ukryła wtedy medalion między kamieniami muru i sądziła, że go nie znaleźli. Potem było jeszcze gorzej. Za niewypełnienie podstawowego obowiązku, jakim było strzeżenie osoby Cesarza, jego bezpieczeństwa i życia, Gwardia Cesarska, cała i każdy gwardzista z osobna, skazani zostali na śmierć. W tej świadomości trzymano ich w lochu cztery dni. Potem przyszła następna wiadomość. Kapłan główny Zakonu Wielkiego Słońca, naczelnej świątyni w Styrgradzie, skorzystał z przysługującego mu prawa łaski i czterdziestopięciosobowy oddział pozostawiono przy życiu. Choć wtedy w lochu większość z nich uważała, że lepiej byłoby stanąć na szafocie, niż żyć z taką hańbą. Ona też tak uważała. Zwłaszcza, że następnego dnia zostali wyprowadzeni na Plac Centralny, na oczach całego Styrgradu zerwano im dystynkcje, na znak hańby ciężącej nad oddziałem spalono sztandary, odebrano im miecze z cesarskim znakiem, które publicznie zostały złamane. Na samą myśl o tamtej chwili zgrzytnęła zębami. Każdy członek oddziału wysłany został do innej placówki na pograniczu. Ona podobno miała przydział na Wrotach, ale w ostatniej chwili zmieniono go na Silberberg w Górach Srebrzystych. Teraz zaczynała sądzić, że nieprzypadkowo.

- Wstawać! – głos elfa Arandira wyrwał ją z zadumy. Oboje z Zibbem zerwali się z belek – Zmiana warty!

Wartujący dotychczas Illima i Sigmar leniwie wstali, podnosząc porzuconą niedbale pod ścianą broń, i skierowali się do wyjścia.

- Dzięki za kolację, chłopaki – mruknął Zibbo, siadając.

- Co z chorążym...? – zapytała z niepokojem. Arandir oparł się o belkę przy jednym z okien, wpatrując się w mrok.

- Rytuał trwa – odparł – Nic nie wiadomo.

Yngvild westchnęła i położyła się, na powrót pogrążając się w ponurej zadumie. Przypomniała sobie pierwsze dni w tej służbie.

- Co to ma znaczyć? – głos kapitana był jak szabla. Ostry i nie zachęcający do polemiki – Nie byliście w stanie przyprowadzić dwóch ludzi? Cywilów?!

- Zanim zdążyliśmy ... zabezpieczyć teren, popełnili samobójstwo – rzekł niepewnie Hodo. Krasnolud był jedynym oprócz niej żołnierzem w tym oddziale. Oddziale, od którego kapitan po kilku dniach już wymagał sprawności zawodowego wojska.

- Że co?

- Dokładniej kobieta wyrwała się i pchnęła nożem tego mężczyznę, po czym połknęła truciznę – dokończył chorąży – Nie zdążyliśmy zareagować, bo jednocześnie zostaliśmy ostrzelani. Kobieta zabiła kupca, kiedy zaczął mówić.

- Doprawdy? Więc zaatakowali was łucznicy... Jakieś znaki szczególne?

- No, mieli łuki ... – odezwał się z końca sali jasnowłosy wojownik imieniem Illima. Większość oddziału parsknęła tłumionym śmiechem. Ta większość, która bawiła ta sytuacja. Kapitan zmrużył oczy. Należał raczej do mniejszości.

- Cóż za błyskotliwość obserwacji. Widzę, że wam do śmiechu. Postaram się to zmienić. Gdzie są ci, którzy was ostrzelali? Dlaczego nie widzę ich tutaj schwytanych?!

- Kapitanie, ale nie wiedzieliśmy, że przeciwników będzie czterech a nie dwóch... – błysnął znów Illima. Yngvild zgrzytnęła zębami, żałując, że siedzi za daleko, by go kopnąć. Hodo zmierzył go morderczym wzrokiem i zaczął:

- Napastnicy poruszali bardzo szybko w tym terenie, nie zdążyliśmy...

- Nie zdążyliście złapać dwóch ludzi? W czternastu?!

Chorąży zmilczał. Kapitan kontynuował tym samym tonem, na dźwięk którego na ustach znajdujących się w sali cywili pojawiał się radosny uśmiech satysfakcji:

- Więc było ich czterech, a nie dwóch i dlatego nie daliście rady? I jeszcze próbujecie się usprawiedliwiać?!

- Zgodnie z rozkazem przejęliśmy ładunek...

- Gówno prawda! Rozkaz brzmiał „doprowadzić żywych”! Wykonaliście raptem połowę rozkazu, a więc nie wykonaliście go! Wiecie, co to znaczy, nie wykonać rozkazu?! Chorąży, czy znane wam jest pojęcie niesubordynacji?

- Tak jest – krasnolud zacisnął zęby.

- Za następne niewykonanie rozkazu zostaniecie ukarani tak jak za niesubordynację!

Zrozumiano?!

- Tak jest – rozległo się chóralnie.

- Siad na dupach! I słuchać. Przemyt, który przejęliście, to poważna sprawa. Ktoś uzbraja naszych wrogów. Padła nazwa Gildii Kupieckiej i zamierzam się tym zająć. Tymczasem, granicę przekroczyły niewielkie rejzy skórojadów i buszują po okolicy. Placówka w Dzikowcu została zaatakowana, spłonęły dwie wioski. W związku z tym, stawiam całą placówkę w pełnej gotowości aż do odwołania. W przypadku pojawienia się przeciwnika w waszym rejonie operacyjnym macie być natychmiast gotowi do wymarszu i unicestwienia go. Czy to jest jasne?! Sława Cesarzowi!

- Sława! – odpowiedzieli salutem i odczekali aż wyjdzie.

- Ojej, chyba się zdenerwował... – wyszczerzyła się Mija Pendragon z radosną złościwością – a przecież było ich aż czterech...

Chorąży z niekłamaną nienawiścią zmierzył bardkę wzrokiem, po czym odwrócił się do oddziału.

- Następnym razem podczas raportu mordy w kubeł – warknął, patrząc na Illimę
- No co... – jasnowłosy najemnik nawet nie próbował powstrzymać śmiechu – To śmieszne było...
- Jak cię kopnę to dopiero będzie ci wesoło – burknął pod nosem Zibbo
- Chcesz, to rób idiotę z siebie, a nie z nas wszystkich ... – odezwała się Yngvild ze złością – Banda oszołomów...

Przekrzykiwanie się trwało jeszcze dobrą chwilę. Yngvild wyszła przed karczmę, by odetchnąć. Jeśli ta służba miała być karą za to, co stało się w Styrgradzie, to owszem, była. Ale jeśli miała to być szansa zmazania win... Ech, przecież większość z tych ludzi nawet nie nosiła broni przy sobie, pomyślała, patrząc na mijanych w drodze do jej namiotu towarzyszy. Borys, roweński kozak, śniadoskóry rozrabiaka, świetny w walce, ale nie mający pojęcia o wojskowej dyscyplinie. Rigo, mocno zbudowany najemnik o niewiadomej przeszłości. Drugi Roweńczyk, ponoć ze znacznego rodu. Arandir, arogancki i bezczelny wojownik z Felnor, w walce szybki jak strzała. Jarlos, tropiciel. Gadjung, tajemniczy typ chwalcący cię swoją odpornością na magię. Sigmar, potężny jasnowłosy wojownik, właściciel wielkiego młota bojowego. Illima, bujający w obłokach wojownik – filozof, szalejący w walce z dwoma krótkimi mieczami. Sigbert Clodian, rycerz z Odear, dumny i milczący. Lann, długowłosy wojownik, doskonały szermierz. Zibbo, krasnoludzki wojownik o wielkiej sile, którego właściwej profesji nikt nie znał. Candice, niezwyklej urody półelfka, o blond włosach sięgających do pół uda, psioniczka i łuczniczka. Varthanis, bardzo uzdolniony mag, tajemnicą poliszynela było, że para się nekromancją. Hodo, chorąży oddziału, zawodowy żołnierz, odznaczony podobno cesarskim orderem. I ona, była gwardzistka... A ta przeszłość nie była powodem do dumy....

O drugiej w nocy obudził ją huk. I kolejny. Odgłos rzucanych zakłęb. Wypadła z namiotu w koszuli i w drzwiach wartowni zderzyła się z Arandirem.

- Co się dzieje...?- zapytała, ale zmierzył ją tylko pogardliwym wzrokiem. Zignorowała go - poniżej strażnicy ktoś biegł. Zeskoczyła ze skarpy, i zawahała się, czy biec za nimi, czy na pomoc w kierunku namiotów, skąd dobiegały krzyki. Napastnicy byli już daleko. W namiotach panował rozgardiasz, cywile usiłowali jak najszybciej wydostać się spod kocy, strażnicy – jak najszybciej dostać do broni.

- Szybciej! – rozdarła się – Szybciej, bo uciekają!

Zagłuszył ją kolejny huk. Tym razem z głównego placu. Znajomy huk niezwyklej broni pana komendanta. I znajomy głos:

- Straż do mnie! Natychmiast!

Na rozkaz do wymarszu opuścili placówkę zwartą grupą. Światło pochodni uniemożliwiało im jakiegokolwiek skryte poruszanie się, ale zważywszy na kompletny brak umiejętności terenowych, dla tego oddziału skryte podejście i tak było niewykonalne. Na szczęście skórojady też się nie kryły. Echo niosło głosy.

Szybkim marszem wyszli na szlak okrążający Północne Forty. Poza kręgiem światła panowała nieprzenikniona dla ludzkich oczu ciemność. Niepokój zbliżającej się walki zaczęli odczuwać już, gdy minęli Bramę Polową. Yngvild rozejrzała się po twarzach towarzyszy. Candice trzymała w pogotowiu na wpół napięty łuk, Varthanis powtarzał w myślach zakłęcia. Większość nerwowo ścisnęła w rękach rękojeści broni. Absolutnie spokojny wydawał się być jedynie Zibbo, z dużych rozmiarów tarczą maszerujący w tylnej straży. Ona i Lann, wyznaczeni do przedniego zwiadu, szli przodem. Za nimi chorąży i reszta oddziału. Przyspieszyła, by wydostać się poza obręb światła pochodni i znów zacząć coś widzieć. Lann bez wysiłku wyprzedził ją, wprawiając w zawstydzenie. Pomimo swojego wyszkolenia nie mogła równać się w biegu z długonogim wojownikiem. Przestała więc próbować go prześcignąć. Weszli na skrzyżowanie i właśnie zamierzała wrócić się do oddziału by zameldować, gdy rozległy się zaniepokojone głosy.

- Wracać! Krąg! Formować krąg! – wrzasnął chorąży. Nad podziw sprawnie uformowali szyk na wąskiej drodze. A potem ich dostrzegli. Zbiegali po stoku bezładną grupą, odziani w

zwierzęce futra i kilty, półnaczy. Rozległ się dziki wrzask. Pierwszy dobiegł ogromnej postury wojownik, wymachujący równie wielkim mieczem, który trzymał oburącz z dwóch końców. Widząc go Hodo stanął mocniej na nogach.

- Utrzymać szyk! Utrzymać... – wrzasnął, ale w pół słowa olbrzymi wojownik wpadł w pierwszą linię. Odepchnięty z ogromną siłą krasnolud padł na ziemię. Yngvild, w którą wpadł inny, uttrzymała się na nogach, ale olbrzym z rozpędu trzasną ją głowicą miecza w twarz. Rozbłysły gwiazdki i gwardzistka wylądowała w krzakach. Tymczasem wrzeszcząc dziko i nie zważając nawet na własnych towarzyszy olbrzymi wojownik wbiegł w środek szyku, roztrącając żołnierzy. Pozostali wbiegli za nim, siekąc toporami, cepami i inną dziwnego kształtu bronią. Yngvild zerwała się i cięła w plecy najbliższego, przeskakując nad jego trupem wpadła w krąg walczących. Usłyszała pewny i spokojny głos Varthanisa.

- Paraliż! – czarodziej spokojnie recytował zaklęcie. Berserker biegł. Varthanis zaklął nerwowo i wrzasnął ponownie. Nie dokończył, wojownik potężnym cięciem z rozmachem ciął go w brzuch. Nekromanta złożył się w pół i padł na ziemię dwa metry dalej. Yngvild wrzasnęła, wiedząc, że nawet pojedyncze cięcie zabije czarodzieja. Ale nie była w stanie dostać się do maga. Kolejny skórojad zeskoczył ze skarpy i obalił na ziemię Riga. Borys wbił mu szablę pod zebro, ale następny zeskoczył mu na plecy. Tymczasem potężny berserker zostawił w spokoju leżącego na ziemi Varthanisa i stał się z Zibbem. Krasnolud wytrzymał uderzenie i oddał z równą siłą. Candice wystrzeliła z bliska do olbrzyma, ale ten nawet nie zauważył strzały, która wbiła mu się w bok. Wtedy zabrzmiał sygnał, walczący barbarzyńcy wstrzymali się na ułamek sekundy, który dla kilku był ostatni w życiu. Olbrzymi berserker odepchnął Zibba, odwrócił się i pierwszą osobą, na jaką trafił, był Borys. Kozak właśnie uwolnił się od poprzedniego napastnika i nie zdążył zareagować na czas. Olbrzym uniósł go jak dziecko i powłókł za sobą. Hodo i jeszcze ktoś, zerwali się, by zastąpić mu drogę, ale w tym momencie potężny wybuch ładunku obalił ich ponownie na ziemię. Zanim ktokolwiek zdążył się podnieść, berserker zniknął razem z jeńcem w ciemnościach.

Zapadła świdrująca uszy cisza, przerywana jękami rannych. Na nogach trzymało się tylko kilka osób. Reszta w mniejszym lub większym stopniu oberwała.

- Bandaże! – wrzasnęła Yngvild, wyszarpując z sakwy opatrunki. „Varthanis!” przemknęło jej przez myśl, ale zanim zdążyła podbiec, czarodziej podniósł się na klęczki, plując krwią i jęcząc.

- Olbrzym miał tępy miecz – wyjaśniła Candice, podnosząc maga – Ale i tak chyba połamał mu zebra.

- Chyba nie tylko jemu... – mruknął Hodo zza tarczy – Ruszać się, idziemy za nimi!

- Za nimi...? – stęknął Gadjung – Po nocy....?

- Mają naszego człowieka – rzekł chorąży z naciskiem – Nie odpuszczę!

Yngvild po raz pierwszy spojrzała na krasnoluda z szacunkiem. Zawiązała bandaż, którym opatrywała ramię Riga i wstała.

- Jestem gotowa.

Kolejny wybuch był na tyle daleko, że obalająca fala tylko ochłodziła im policzki. Sformowali kolumnę i ostrożnie ruszyli w dół, za uciekającymi. W ciemności majaczyły tylko nikłe światełka, mogące zwiastować odpalenie kolejnego magicznego ładunku. Kilkakrotnie poczuli też gryzący w gardło dym, przed którym musieli pospiesznie uskakiwać. Powoli zaczynało świtać i po pewnym czasie zamajaczyły na tle szarzejącego lasu ciemniejsze sylwetki.

- Widzę dwóch... – odezwał się chorąży z wahaniem – Gdzie reszta?

Dobiegli do wąskiego przejścia przez fosę, nasypanego z kamieni i ziemi. Po bokach przepaść zionęła chłodem. Zwolnili i ostrożnie weszli na swoisty most. Przeczucie ich nie zawiodło.

Usłyszeli świst i kolejna kula gryzącego dymu wpadła wprost w środek kolumny.

- Biegiem! – krzyknął Hodo i oddział ruszył pospiesznym truchtem.

- Nadal widać tylko dwóch – zauważył biegnący przodem Lann. Yngvild potwierdziła. Chorąży przygryzł wargę w rozterce.

- Cholera. Nie odpuszczę – odezwał się – Biegiem, za nimi!
 Gdy dobiegli do dużego skrzyżowania dróg, było już prawie jasno. Teraz wszyscy dostrzegli dwie sylwetki, przycupnięte na stoku powyżej.

- Cholera – powtórzył Hodo ze złością – Odciągają nas od strażnicy.
 - Wracajmy... – odezwał się ktoś
 - Tam jest nasz człowiek! – warknął krasnolud
 - Hodo – odezwała się Yngvild, patrząc mu w oczy – Jesteś żołnierzem. Co ci mówi intuicja...? Krasnolud po chwili spuścił wzrok.
 - Że Borysa nie ma przed nami – przyznał – Nie uciekali by tak szybko wlokąc jeńca. Poza tym, tych tutaj jest dwóch. Albo dalej czeka pułapka, albo odciągają nas dalej od Silberbergu.
 - Albo obydwu – stęknął Varthanis. Candice podeszła do pierwszego szeregu z szelmowskim uśmiechem.
 - Hodo, wypłoszę ci ich stamtąd – rzekła- Patrz!
 Wyrecytowała skomplikowaną inkantację, jej drobne dłonie nakreśliły w powietrzu kilka dziwnych znaków. Przyczajeni na stoku nagle zerwali się, jeden nawet krzyknął ze strachem. I puścili się biegiem w poprzek wzniesienia.
 - Stać! – Hodo powstrzymał kilku, którzy zerwali się z pościgiem – Co to było?
 Candice wyszczerzyła drobne elfie ząbki
 - Iluzja. Zasugerowałam im, że z góry stoku zbiega na nich oddział zbrojnych.
 - Dobrze! – zachwycił się Rigo.
 - Dobrze, ale uciekli – zauważył Gadjung – Będziemy tu tak stać?
 Hodo zawahał się, ale tylko przez chwilę.
 - Odwrót! Do strażnicy!
 - Co?! A co z Borysem?! - zaprotestował Rigo
 - Nie zostawiamy go – odparł krasnolud – Rano pójdziemy tropem za tamtym oddziałem. Tutaj Borysa nie ma z pewnością.
 Nagle ciszę przedświtę przerwał ledwo słyszalny odgłos wybuchu. Dobiegał z drugiej strony góry, ze strażnicy...

Wrócili wtedy biegiem do obozu – przypomniała sobie Yngvild. W diabelnie złych nastrojach. Potem było tylko gorzej.

- Witamy naszą kochaną straż! – rozdarł się w wejściu do karczmy Abel, mag bitewny z Chanatu – Dziękujemy za ochronę i obronę!
 - Jak było na wycieczce krajoznawczej?! – dorzuciła Mija – Bo tu w obozie było całkiem ciekawie. Nawet nas napadnięto.
 - I uprowadzono jednego z ludzi, których mieliście bronić!
 - Psiakrew! – nie wytrzymała Yngvild – Co to jest, to co trzymasz na kolanach? – wrzasnęła do chana.
 - To? Sabera, bo co? – odparł
 - Skoro ją nosisz, to chyba nie jesteś taki bezbronny, co?! Trzeba było zrobić z niej użytej, zamiast używać do obciążania paska!!! Nie byliśmy na wycieczce, panno Pendragon. Ścigaliśmy tych, którzy napadli na strażnicę. Zgodnie z wydanym rozkazem. Jeśli chce pani kogoś do obrony, proszę wynająć ochroniarza!
 - Hmm, jednak naszym obowiązkiem jest obrona cywili...- zmitygował ją Zibbo. Yngvild popatrzyła na niego z wyrzutem, odwróciła się na pięcie i wyszła z karczmy.
 Była straszliwie wściekła wtedy. Na Miję Pendragon za jej cięty język. Na tego chana, że ośmielał się wrzeszczeć na cesarską armię. Na Hoda, że tak późno kazał zawrócić z bezsensownego pościgu. Na Borysa, że dał się złapać. I na siebie, za rozbitą w walce twarz, za to, że nie dobiegła pomóc Varthanisowi, że nie utrzymała się na nogach podczas ataku, że nie wyeliminowała tego olbrzyma, zanim uciekł.

Przed świtem wrócił jeden z porwanych, Edric, który zdołał uciec z obozowiska. Zrelacjonował, że banda skórojadów czekała na kogoś, komu mieli przekazać jeńców.

A raniem dowiedzieli się o targu. I po pierwszych słowach wszyscy właściwie zrozumieli, co tu się święci. Utrzymany na mocy traktatów autonomicznych raegenki zwyczaj handlu niewolnikami najwyraźniej był napędzany przez kontakty ze skórojadami i nikomu to nie przeszkadzało. Nikt nie uważał za niewłaściwy fakt, że zaraz po napadzie barbarzyńców na targu pojawia się nowy towar. Jasny szlag...!

Bez przekonania ruszyli zbadać wskazane przez Edrica miejsce. Owszem, znaleźli obozowisko, ślady ogniska, ale liczne tropy rozchodziły się w kilku kierunkach. Konwencjonalne poszukiwania były skazane na porażkę. Dzięki zdolnościom Candice udało się jednak złapać trop...który, ku niesłychanemu wprost, i niepomiernemu zaskoczeniu, doprowadził ich na mały targ niewolników. I równie niepomiernie zdziwili się, znalazłszy tam towarzysza... Ironia ironią, pomyślała Yngvild, ale jedna rzecz wtedy zdziwiła ją naprawdę. Nie to, że jej dziwny i porębany oddział solidarnie zebrał fundusze, by Borysa wykupić z niewoli. Nie to, że zdolna bardka Mija Pendragon, okazała się też zdolną złodziejką, potrafiącą zauraczać. Nie to, że mocno zniewieściały kupiec z południa dawał za Borysa niebotyczne sumy (co zważywszy na swoiste nazwisko kozaka, było akurat mało dziwne ;)). Zdziwiło ją wtargnięcie komendanta. Zdziwiło ją, że postawił na szalę swoją reputację i wdał się w spór z handlarzem niewolników, że on, skrajny służbista, był w stanie użyć nieprzepisowych gróźb względem cywila, by wymusić uwolnienie swojego człowieka. I że handlarz pod naporem tych gróźb ustąpił... Tak, dużo wniosków można było wyciągnąć na podstawie tej sytuacji... Kapitan zyskał wtedy sporo szacunku w jej oczach. Zaciśnęła zęby rozglądając się po wartowni – więzieniu. „A teraz pójde pod sąd za podniesienie na niego broni...” pomyślała z wściekłością i rozpaczą. Mniejsza o jej życie zresztą. Większego upokorzenia niż na placu w Styrgradzie i tak nikt jej nie zafunduje. Ale otrzymała ostatni rozkaz. Jeśli stanie przed plutonem, kto go wykona? Gdyby chociaż Hodo żył... Ale jeśli rytuał się nie uda... A przecież są już na jej tropie. Przekonała się o tym na własnej skórze i to dość boleśnie...

Przed tym popołudniem nie wiedziała właściwie, czego ma się obawiać i kto może poszukiwać cesarskiego medalionu. Tymczasem wpadli na teren strażnicy w chwili po ich powrocie z targu niewolników. Czterech zakonników w czerwonych tunikach knechtów, jeden dostojnik, noszący na tunice czarny jedwabny płaszcz. Dysponowali rozkazem samego hetmana. Rozpoczęły przeszukania namiotów, wypytujac obecnych o medalion. Yngvild usiłowała panować nad twarzą i nad odruchem zasłonięcia sakiewki, w której trzymała metalową łezkę. Z desperacją rozejrzała się za drogami ucieczki w razie gdyby chcieli ją przeszukać. Chcieli. Ale nieoczekiwanie przeszkodził im młody porucznik. Rozkaz pozwalał tylko na rewizję w namiotach. Dzięki bogom, ale to oznaczało tylko odwleczenie wyroku. Zakon Indry, a dokładniej Zakon Wielkiego Słońca, był potężnym wrogiem. Znała wiarygodne opowieści o ich metodach przesłuchań, o lochach pod komturiami, o ludziach, którzy nigdy z tych lochów nie wyszli. Wstawiennictwo głównego kapłana Zakonu uratowało życie cesarskim gwardzistom, ale dowodziło także potęgi Zakonu. Yngvild bała się ich wystarczająco, by zacząć szukać pomocy.

Lata doświadczeń wojennych nauczyły ją, że jeśli ma komuś ufać, to tym, obok których staje do walki. Jednocześnie była w pełni świadoma, że jeśli wpadli na jej trop na tej prowincji, to równie dobrze w jej oddziale mógł być ktoś podstawiony. Z pełną świadomością zdecydowała się jednak odkryć karty. Gdy tylko zakonnicy zniknęli na górnej drodze, odnalazła wzrokiem Hoda.

- Zwołaj oddział w karczmie. Musimy porozmawiać.

Spojrzała na nią wzrokiem bardziej podejrzliwym niż zdziwionym.

- Teraz?

- Teraz!

Minutę później siedzieli wszyscy przy długim karczemnym stole. Przyszedł czas przykrych zwierzeń. Yngvild westchnęła.

- Zakon szuka tego – zaczęła bez zbędnych wstępów, kładąc na stole ciężki medalion. Ciężki metal stuknął o deski. W półmroku karczmy kamień zalśnił zielonkawym światłem. Zaczęła opowiadać. O ostatnich dniach służby w Gwardii. O sprzecznych rozkazach dowództwa, wydanych przy zmianie warty. O złamaniu rozkazu. O ostatnich słowach cesarza. O ucieczce z miejsca jego śmierci. O haniebnym dniu, gdy złamano gwardyjskie miecze. I o medalionie. Gdy skończyła, milczeli przez chwilę.

- Potrzebuję waszej pomocy – rzekła w końcu, choć nie były to słowa, które łatwo przechodziły jej przez gardło – Wy także przysięgaliście wierność rozkazom Cesarza. Muszę odnaleźć i wydobyć ...coś, zanim mnie znajdą i odbiorą medalion. Ale ja nawet nie wiem, czego szukam....

- Miło, że mówisz dopiero teraz... – mruknął Zibbo. Odwróciła się w jego stronę.

- Dopiero teraz was również zaczęło to dotyczyć. Was również mogą jutro brać na przesłuchania. Poza tym, wybaczyć, ale wcześniej nic o was nie wiedziałam.

- Teraz też nic o nas nie wiesz – odparł Lann, oglądając medalion.

- Racja – odrzekła po chwili – Ale nie ma wyboru.

- Yngvild, czego ty od nas oczekujesz? – odezwał się Hodo - Że powstrzymamy Zakon wbrew rozkazom hetmańskim? Że rozszyfrujemy tą zagadkę?

- Nie wiem – opuściła głowę – ŻeNie wiem, może masz rację...- sięgnęła po medalion – więc w takim razie zapomnijcie...

- Nie powiedziałem, że nic nie zrobimy – zatrzymał ją krasnolud.

- Że jak powiedziałaś? – odezwał się niespodziewanie Shamaroth. Sham był krasnoludem, wyjątkowym nawet jak na średnią swojej rasy. Był kapłanem bitewnym. Zasadniczo w ogóle był bitewny. I był ostatnią osobą w drużynie, którą Yngvild podejrzewałaby o jakąś głębszą wiedzę. I się zdziwiła – Jak powiedziałaś? Żelaznego Smoka?

- Tak, dokładnie.

- Ja wiem, co to jest.

Trzask opadających szczęk wydawał się być słyszalny. Sham kontynuował.

- To artefakt z początków cesarstwa. Krasnoludy i inne starsze rasy ofiarowały go cesarzom styryjskim. Podobno jest ukryty i wydobywany tylko w potrzebie. Podobno zapewnia Styrii bezpieczeństwo, zwycięstwo w boju i dobrobyt. Ale podobno mogą go używać tylko władcy Styrii.

- To po jakiego gnoma szuka go Zakon Indry...?

- Bo widzisz, Hodo – kontynuował Shamaroth, zachwycony faktem, że wszyscy z powagą go słuchają – Artefakt działa dlatego, że nałożono na niego potężne zaklęcia, definiujące, jak ma działać. Naprawdę potężne. Ale nawet takie zaklęcia da się odwrócić. I istnieje podejrzenie, że ktoś potrafi to zrobić. A wtedy strzegący Styrii artefakt obróci się przeciwko niej z całą swoją mocą. Mało tego, zagrozi także jego twórcom.

Zibbo spojrzał na niego podejrzliwie.

- A ty niby skąd o tym wiesz?

Sham uśmiechnął się dumnie kącikiem ust.

- Bo jestem tu po to, aby do tego nie doszło.

Yngvild spojrzała na niego badawczo i pytająco. Ścisnęła w dłoni medalion, jakby miało go to uchronić przed zagrożeniem ze strony kapłana. Shamaroth uśmiechnął się z nieskrywaną satysfakcją.

- Zostałem przysłany przez krąg mędrców po Dregahern, Smoka z Żelaza, aby go zabezpieczyć, gdyż jest zagrożony.

- Ten artefakt należy do Styrii – odparła gwardzistka.

- Ten artefakt stworzyły starsze rasy. Dregahern należy do nich.

- Draig- a- Haearn – poprawił z miękkim akcentem Arandir, niespodziewanie wtrącając się do dyskusji – Spójrzcie tu.

On i Lann krótko przyglądali się medalionowi. Od dłuższej chwili rozmawiali z piękną rudowłosą hobbitką, właścicielką karczmy „Villsvin”, wycierającą obok miękką szmatką ceramiczne talerze. Yngvild nie przysłuchiwała się tematowi tej dyskusji, sądząc, że obydwaj nie są zainteresowani sprawą. Naiwnie sądząc.

- Pokaż medalion, Yngvild – odezwał się Lann – Widzisz ten znak? – zapytał, wskazując na grawerowany wzór w kształcie stylizowanej jedyńki – A teraz popatrz na to – ze sterty, która wycierała hobbitka, podniósł ciężki gliniany talerz i odwrócił go wierzchem do dołu. Yngvild zakłęła. Bo na spodzie talerza figurował identyczny symbol.

Hobbitka była niepomiernie zdziwiona sugestią, że je talerz może posiadać jakąś wartość. Yngvild uśmiechnęła się, przypominając sobie jej uniesione brwi, gdy podjadając noszone w kieszeni ciasteczka tłumaczyła, że to tylko kawałek starej porcelany. Wskazała im wtedy pewne miejsce. Miejsce, gdzie, jak potwierdził Obieżyświat, miejscowi często chadzają rabować stare ruiny. Miejsce Herna. Poszli tam niemal natychmiast. Odnaleźli zarośnięte chaszczami resztki czegoś. Osady? Strażnicy? Świątyni? Odnaleźli sporo rozmaitej wielkości drobiazgów. I odnaleźli krąg.

Krąg ułożony był z pięciu białej barwy kamieni rozłożonych wokół niewielkiej bagnistej sadzawki. Na każdym kamieniu widniały grawerowane złociste znaki, każdemu przypisany był napis w alfabecie styryjskim. Na jednym z kamieni figurował znany im z medalionu znak. Pod nim napisano: „Iath”

Yngvild ponownie uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie próby odczytania pamięci tamtego miejsca. Pierwszy raz wtedy dowiedziała się, że takiego czegoś można dokonać. Ale Candice, która zabrała się za to pierwsza, drogo za to zapłaciła. Po pierwszym zakłęciu zemdląca. Yngvild nie miała pojęcia, co psioniczka zrobiła źle, ale gdy udało się ją dobudzić, długo jeszcze wymiotowała z bólu. Za to Varthanisowi się udało. A w każdym razie tak im powiedział. Zobaczył postacie wokół sadzawki, stojące każda w miejscu, gdzie znaleźli kamień, czarnowłose, z długimi szpiczastymi uszami i twarzami tatuowanymi w dziwaczne wzory. Czuwających.

Gwardzistka wstała z belki i nerwowym krokiem podeszła do okna wartowni. Arandir i Zibbo śledzili ją wzrokiem.

- Co z tym rytuałem... – odezwała się niecierpliwie.

- Spokojnie – odpowiedział Zibbo, przekładając w ognisku gałęzie – Varthanis sobie poradzi.

- Oby... – westchnęła

- A jeśli nie, to co...?- zapytał badawczo elf. Yngvild spojrzała mu w oczy.

- Jeśli nie – odparła – To będę musiała komuś zostawić medalion. I nie sądę, abyś był to ty, Arandirze.

Elf wzruszył ramionami i odwrócił się do okna. Yngvild usiadła. Medalion ciążył jej na szyi, więc zdjęła go i włożyła na powrót do sakiewki. No właśnie, medalion....

Po wyprawie w ruiny Herna i odnalezieniu znaków Najstarszych Yngvild wpadła niemal w entuzjazm, który wzrósł jeszcze po tym, jak Obieżyświat oświadczył że imię Iath jest mu znane. Wszystko powoli zaczynało się układać. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby w międzyczasie nie pojawił się komendant, z sobie właściwym urokiem przekazując im kolejny rozkaz. Ale do Najstarszej trzeba było iść natychmiast. Zdecydowała się więc na coś, co wydawało się ryzykowne. A okazało się zbawienne. Oddała medalion.

- Panie wicehrabio, odpowiada pan za niego życiem – gwardzistka w uprzejmą wypowiedź wplotła dyskretną groźbę. Szlachcic uśmiechnął się.

- Nie obawiaj się – odparł – Oddam go po powrocie. Masz moje słowo – skłonił się lekko. Yngvild odwzajemniła ukłon i odprowadziła wzrokiem wychodzącą za Obieżyświatem grupę. Westchnęła. Wychodzi na to, że przyjdzie jej złożyć losy swoje i cesarstwa nie tylko w ręce towarzyszy z oddziału, ale i tej zbieraniny dziwnych niebieskich ptaków, która pracowała dla hrabiego Rasgalena. Ale nie było wyboru. Odpędziła obawy i pospiesznym krokiem podążyła na odprawę.

- Udacie się tam – ostry głos kapitana był jedynym dźwiękiem, który przerywał panującą w karczmie ciszę. Oddział milczał jak trusie – Zbadacie przyczyny śmierci tych ludzi. Po południu chcę mieć dokładny raport z tamtego miejsca. Powołano was do obrony ludności cywilnej, a tamci ludzie właśnie potrzebują pomocy. Czy to jest jasne?

- Tak jest!

- Mapa!

Kapitan nie zdążył pochylić się nad rozłożonym na stole papierem. Yngvild zbladła, kątem oka łowiąc czerwone tuniki przy drzwiach. Do karczmy z trzaskiem weszło sześcioro zakonników. Kapitan wyprostował się.

- Słucham – zaczął obcesowo. Dostojnik z czarnym płaszczu zmierzył go wzrokiem i nie wysilając się na odpowiedź podał mu zapieczętowany list. Kapitan złamał pieczęć i przeleciał wzrokiem linijki tekstu. Gdy skończył, zgrzyt zębów dało się usłyszeć aż przy stole.

- To niemożliwe – rzekł w końcu, ale mało pewnie.

- Pańska opinia mnie nie interesuje – odparł zakonnik chłodno – ma pan przed nosem hetmański rozkaz. Wykonać!

Kapitan zmrużył oczy.

- Ten rozkaz jest absurdalny. Wysyłam do hetmana człowieka po potwierdzenie.

- A wysyłaj – warknął zakonnik – Ale teraz wykonaj rozkaz, albo sam staniesz przed sądem.

Kapitan Thor Biarson nie należał do ludzi, którym się grozi. Ale nie miał wyboru.

- Wyczytani wstać. Chorąży Hodo, krasnolud. Arandir z Felnor, elf. Zibbo, krasnolud. Shamaroth z Mortheimu, krasnolud. Rigo, najemnik. Edric z Odear. Rien, mistrz szermierki. Mona, alchemiczka. Yngvild ze Stygradu. Stanąc w szeregu na środku.

Obecni w oddziale wstali. Yngvild rozejrzała się desperacko po pomieszczeniu. Jeden zakonnik stał przy drzwiach, dwóch obok baru, dwóch na środku, jeden przy kapitanie. „Nie wyjdę żywa z ich lochu” pomyślała. Gorączkowo ścisnęła miecz w dłoni. Kapitan stanął przed szeregiem.

- To jest nakaz aresztowania was w związku ze śledztwem, które prowadzi Zakon Indry. W związku ze śmiercią Cesarza. Oddać broń! Macie zostać odprowadzeni na przesłuchanie. Kto stawi opór, zostanie postawiony przed sądem wojskowym.

Była zdecydowana. Gdy stanął przed nią, podniosła miecz.

- Wolę sąd polowy, kapitanie!

Odkoczyła za ławę, odpychając najbliższego zakonnika i skoczyła w kierunku wyjścia. Cięła stojącą na środku kobietę, ale trafiła w czarny zakonny płaszcz. Drogę zatrzymał jej ten najwyższy, dostojnik zakonny. Szczęknęły ostrza. Odepchnął ją potężnie, ale nie upadła i zdołała uskoczyć przed szerokim potężnym cięciem wielkiego miecza. Ale dogoniło ją zakłęcie, z dłoni kobiety błysnęły iskry i Yngvild poczuła jak uginają się jej nogi. Dostojnik zakonny z satysfakcją obrócił miecz płazem i z szerokiego zamachu uderzył w plecy. Yngvild upadła twarzą do ziemi, kątem oka łowiąc Arandira, który korzystając z zamieszania rzucił się ku wyjściu i zniknął. Gdy but zakonnika wylądował na jej brzuchu, przez chwilę przestała widzieć cokolwiek. Usłyszała jeszcze, jak zakonnicy przekrzykują się, goniąc za Shamarothem, który także skorzystał z zamieszania i prysnął za drzwi karczmy.

- Dosyć!- usłyszała wrzask kapitana – Macie ich przesłuchiwać, nie zabić! Dosyć, powiedziałem!

Pozostali strażnicy obserwowali bijatykę z bezsilną wściekłością. Zakonni zdążyli już skrepować im dłonie.

- To błąd, kapitanie – rzekł przez zęby chorąży – Nie wrócimy stamtąd.

- To się zobaczy – odparł komendant. Dostojnik zakonny skończył sprawdzanie więzów i krzyknął:

- Wyprowadzać ich!

Wyszli przed karczmę, jasność dnia oślepiła Yngvild na chwilę. Przed nią był tylko jeden zakonnik, niski i drobny z budowy. Skoczyła przed siebie, obalając go na ziemię, i rzuciła się do ucieczki. Znow dogoniło ją zakłęcie, uderzyło w plecy falą energii. Podniosła się, gotowa uciekać dalej, ale poczuła na karku chłód stali. Wysoki dostojnik zakonny zmrużył oczy i syknął zjadliwie:

- Jeszcze jeden taki numer i nie dotrzesz na to przesłuchanie. Zabrać jej nóż!

Droga do komandorii trwała ponad godzinę. Więźniowie ani myśleli ją przyspieszać. Gdy dotarli na krawędź głębokiej na kilka metrów fosy, konwój zatrzymał się. Pojedynczo przeprowadzono ich przez wąski przesmyk. Dziedziniec niewielkiego fortu był zakrzaczony, na środku płonęło ognisko, przy którym grzało się kilku zakonników i ludzi w cywilnych strojach. Na polecenie tego wysokiego otwarto pancerną kratę zamykającą jedno z pomieszczeń. Yngvild wrzucono pierwszą, tak, że odbiła się od muru i osunęła na ziemię. Hodo wszedł sam, ale po kilku krokach spadł w znajdującą się w dalszej części lochu dziurę. Rozległ się łoskot kamieni i kilka przekleństw. Po paru minutach w owej dziurze znaleźli się wszyscy, krata zamknęła się za nimi z hukiem. Z dziedzińca dobiegł ich jeszcze ściszony odgłos rzucanego na kratę zakłęcia blokady.

- No to pięknie – mruknął Shamaroth – Ktoś wie, o co chodzi...?

- O medalion oczywiście – odparł Hodo – Gdzie on jest w ogóle? – zapytał z niepokojem.

- Nie tutaj – odparła Yngvild z trudem – Ale za chwilę zechcą was przesłuchiwać, więc lepiej, żebyście tego naprawdę nie wiedzieli...

- Gówno, nic im nie powiem – warknął Sham wojowniczo. Pozostałe krasnoludy zmierzły go pełnym politowania wzrokiem.

- Jasne – mruknął Zibbo z przekąsem – Cholera, mogli nam chociaż zdjąć te parszywe więzy, zaczynają mnie wkurzać.

Rzeczywiście, wążutkie troczki z dziwnego tworzywa boleśnie wrzynały się w nadgarstki. Yngvild usiadła zrezygnowana na kamieniach. Szkolono ją do tego, by nie dać z siebie nic wyciągnąć na przesłuchaniach. Nie spodziewała się więc przeżyć tego dnia. Nie wiedziała tylko, dlaczego jej towarzyszy wciągnięto w tą sprawę i wołała nie zastanawiać się, co zrobi, jeśli zaszantażują ją ich życiem.

Krata w wejściu do lochu otworzyła się z trzaskiem. Weszło dwóch zakonników.

- Yngvild ze Styrgradu, na zewnątrz!

- Chrzań się – burknęła – Sam tu przyleż.

Zakonnik sapnął ze złością.

- Nie zamierzam się z tobą bawić. Wychodź, bo zabiję pierwszego z brzegu.

Wyciągnęła ją na górę za ubranie. Po chwili znalazła się w sporej sali, której ceglane sklepienie podtrzymywał centralny filar. Pod nim, na wygodnym krześle siedział znany jej już komtur świątyni Zakonu w Bardzie, Anzelm Aubrycht. Zajęty był najwyraźniej pisaniami listu. Dłuższą chwilę trwało, zanim skończył, starannie zapieczętował i oddał jednemu z zakonników. Ten skłonił się i wyszedł.

- No dobrze – zaczął komtur – Nie będę owijał w żadną bawełnę. Poproszę o medalion.

- Jaki medalion?- odparła obojętnie, patrząc mu beczelnie w oczy. Komtur oparł brodę na złożonych dłoniach.

- Przecież pani wie, jak to się za chwilę skończy. Pani wie, jaki medalion. Ja wiem, że nie ma go tutaj, ale chcę wiedzieć, gdzie jest.

Yngvild milczała. Komtur westchnął.

- Skoro tak musi być....

Następnych kilku godzin Yngvild właściwie nie pamiętała. Po którymś uderzeniu w głowę straciła przytomność. Pamiętała natomiast przebudzenie z potężnym bólem głowy. Gdy otworzyła oczy, stał nad nią jeden z kapłanów, otoczony jasnoczerwoną aurą. Z dłoni promieniowało mu czerwone światło, dotykające jej skroni. Poczula taki ból, że nie była w stanie nawet krzyknąć. Minuty spędzone pod działaniem sondującego umysł zaklęcia zwały się w jej pamięci w jedno diabelnie nieprzyjemne pasmo. Usiłowała skupić myśli na czymś, co byłoby niegroźne, usiłowała w ogóle myśleć o czymś, ale oślepiający ból uniemożliwiał jakiegokolwiek myślenie. I nie wiedziała, po ilu minutach zemdlą ponownie.

Ocknęła się z powrotem w lochu. W wejściu potknęła się o leżące ciało, owinięte w zielony płaszcz. Rigo i Hodo pomogli jej zejść, ale gdy usiłowała stanąć, nogi się pod nią ugięły i upadła na kamień. Ból głowy oślepiał ją, zaschnięte gardło odmawiało posłuszeństwa.

- Co się tu działo – wykrztusiła wreszcie. – Kto leży w wejściu...?

- Arandir – Hodo opuścił głowę – Wrócił dobrowolnie, żeby nam pomóc. Ale wdał się w bijatykę z nimi. Nie żyje.

Yngvild westchnęła.

- A wam coś zrobili...?

Sham z rozmachem kopnął najbliższy kamień

- Nic szczególnego – odrzekł – Kilku z nas też przesłuchiwali. Nikt nic nie powiedział.

Rigo wybuchnął śmiechem:

- Pewnie, po tym, jak opowiedziałeś im o włochatych piersiach swojej matki, woleli już nie pytać....

Yngvild podniosła się z trudem. Przynajmniej żyli.

- Na zewnątrz są nasi – odezwał się cicho Hodo – Udało im się strzelić strzałą w to okienko, ale złamała się przy uderzeniu i nie ma grotu. Liczę na to, że może strzelą jeszcze raz. Kapitan jest z nimi.

- Jest? – szepnęła z niedowierzaniem.

- A co z tobą...? Powiedziałaś coś?

- Nie wiem – opuściła głowę i włosy opadły jej na twarz – Chyba straciłam przytomność.

- No patrz – uśmiechnął się szelmowsko Shamaroth – a my tu nawet obiad dostaliśmy.

Chlebek. I podawaliśmy sobie z ust do ust.

- Jasne, jeszcze powiedz, że z pocałunkiem – obruszył się Rigo.

- Pewnie!

Gwardzistka wyobraziła sobie towarzyszy w tej sytuacji i uśmiechnęła się.

- No patrz, a mnie ominęła taka okazja – szepnęła z trudnością

- Ciszej tam! – wydarł się z góry strażnik zakonny – Wstawać wszyscy, tu bliżej macie stać!

- To sobie tu przyjdź i nas przestaw – odkrzyknął Shamaroth niefrasobliwie. Strażnik zniknął w wejściu. Po chwili wrócił ze sporym wiadrem.

- Chce się komuś pić? – syknął ze złośliwym uśmiechem.

- Jasne – odparł radośnie Sham. Lodowata woda chluśnięta z góry szerokim strumieniem ochlapała mu ubranie, ale zdążył odskoczyć i większość wiadra spadła na siedzącą pod ścianą Yngvild. Gwardzistka zaklęła plugawie, najpierw pod adresem strażnika, a potem krasnoluda. Ale po zimnej wodzie przynajmniej trochę przeszedł przenikliwy ból głowy. Strażnik zaśmiał się z satysfakcją. I wtedy przez wysoko położone okienko wpadła strzała, ze stukiem odbijając się od przeciwległej ściany. Zibbo zachowując przytomność umysłu, kopnął najbliższy kamień. Strażnik spojrzał podejrzliwie, ale dał spokój i wyszedł z kazamaty. Gdy tylko trzasnęła krata, rzucili się do leżącej na podłodze strzały. Ta miała grot, choć jego krawędzie nie były specjalnie

ostre. Zibbo zabrał się za przepiłowywanie więzów. Przerwał jednak, gdy nagle pojawił się strażnik. Jadł coś, usiadł więc pod ścianą, a miecz, niesiony pod pachą oparł o mur. Wszyscy zamarli w bezruchu. Z dziedzińca ktoś zawołał, strażnik rzucił miskę i wybiegł. Miecz został.

Zanim zdążyli się odezwać, Zibbo doskoczył do krawędzi lochu. Podpierając się nogą o stojącego obok najemnika, wskoczył na krawędź, odwrócił się, związanymi na plecach rękami złapał miecz i zrzucił towarzyszom. Złapali, odsuwając się od razu w najdalszy kąt lochu.

- Tnij! – rozkazał szeptem Zibbo. Yngvild złapała za ostrze, ale zdrętwiałe dłonie nie chciały pewnie trzymać.

- Potnę cię w ten sposób.... – szepnęła z wahaniem

- Trudno, tnij!

Miecz był ostry, ale ledwie mogąc manewrować palcami, z dłońmi związanymi na plecach nie była w stanie przeciąć krępujących krasnoluda więzów. Za to rzeczywiście pocięła mu skórę na dłoniach. Zanim udało się przepiłować cokolwiek, wpadł strażnik. Wystarczył mu jeden rzut oka na mur, pod którym zostawił broń i grupkę więźniów zbitą pod ścianą. Obejrzał się na wejście, zapewne w obawie przed karą za swoją głupotę.

- Oddać miecz – warknął

- Jaki miecz? – Sham wysilił się na bezczelność. Strażnik wyciągnął nóż i złapał za włosy najbliższej stojącego Rigo. Przyłożył mu ostrze do gardła.

- Nie będę ci tego tłumaczył, tępy krasnoludzie. Oddać miecz, bo go zarżnę jak prosię.

Opuścili głowy. Miecz powędrował z powrotem na górę. Strażnik wyszedł i znów zapadła ciemność. Powrócili więc do prób przecięcia więzów grotem strzały. Usiłowania trwały dłuższy czas, przerywany wejściami strażnika i wyciąganiem kolejnych osób. Mijały kolejne godziny. Wszyscy już dawno stracili rachubę czasu. Z zewnątrz nic nie było słychać, więzy nie zamierzały puścić. I wtedy ponownie wszedł strażnik.

- Yngvild, wychodź.

Gwardzistka westchnęła.

- Nie wiem czy wytrzymam dłużej... – szepnęła. Rigo podsadził ją do wyjścia.

- Wytrzymasz – odezwał się Hodo – Musisz.

Na dziedzińcu oślepiło ją światło. Prawie upadła, potknąwszy się o kamień. Posadzono ją na ziemi. Po chwili obok niej znaleźli się pozostali uwięzieni. Zibbo najwyraźniej nie zdołał przeciąć więzów do końca.

- Uwolnić ich – rozległ się głos stojącego w cieniu dużej bramy komtura – Wracajcie do swojego dowódcy.

Spojrzeni po sobie z niedowierzaniem, rozcierając zdrętwiałe dłonie. Oddano im rzeczy i przeprowadzono przez fosę. Yngvild obejrzała się, z nienawiścią mierząc stojących na dziedzińcu zakonników.

- Jestem coś dłużna Zakonowi Indry – mruknęła, zlizując krew cieknąca z rozciętej przy przesłuchaniu wargi – Wyrównam przy najbliższej okazji.

„Nie wyrównałam” pomyślała, wpatrując się w sklepienie wartowni „I możliwe, że już tego nie zrobię.” Zibbo na belce obok chyba zasnął. Arandir nadal trwał nieruchomo przy oknie. Deszcz nadal padał.

Na zewnątrz powoli zapadał zmierzch. Dochodziły rozmaite odgłosy rozmów, trzaski, okrzyki. W karczmie ktoś śpiewał. Yngvild na powrót pograżyła się w myślach i wspomnieniach.

Wpakowali się w to przez forsę. Przez cholerny brak pieniędzy. A to był bardzo głupi powód by umierać.

Pojawił się w karczmie po kolacji. Niepozorny, niewysoki mężczyzna, otulony w czarny płaszcz, pod którym nosił kaftan ze skórzanych płytek. Pytał o tego chana...

- Wysoki, dobrze zbudowany – opisał – Potrzebuję go, jest dla niego zlecenie. Ale Hattima nie było w pobliżu. Był za to drugi z obcokrajowców, Abel. I ten zainteresował się natychmiast. Rzecz była prosta. 40 lantarów. Za zabicie wampira. Banalne.

Dyskretnie zaczęli zbierać chętnych. Abel. Hodo. Zibbo. Shamaroth. Rigo. Borys. Sigbert. Sigmar. Yngvild. Doborowy skład najlepszych wojowników, jak im się wydawało. I tylko jeden mag. Ale w końcu łowca wampirów uznał, że zabije bestię sam, a oni go tylko wcześniej ogłuszają.

Potem był cały zestaw wskazówek, co ze sobą zabrać i jak się zabezpieczyć. Srebro. Światło. Czosnek. Łowca kazał posmarować nim klingi. Shamaroth posmarował nim Shamarotha... I zjadł parę chyba główkę i z rozbajającym uśmiechem zajął miejsce zaraz za Yngvild w kolumnie.

- Shamaroth... – jęknęła gwardzistka, gdy tylko wciągnęła otaczającą krasnoluda woń – Głupi jesteś!

Krasnolud wyszczerzył zęby i chuchnął. Yngvild zakląła. Wyruszyli przed północą, wszyscy ze złymi przeczuciami, ale pustą sakiewką. Gdyby wtedy znali cenę tej wycieczki...

Prowadzeni przez tajemniczego zleceniodawcę po pół godzinie dotarli na miejsce. Pomiędzy czarnymi pniami ogromnych drzew widać było kilka nagrobków przykrytych piaskowcowymi płytami. Część była stłuczona, jeden grób był otwarty i pusty. Uważnie przyjrzeni się nagrobkom, ale nie byli w stanie stwierdzić niczego dziwnego. Za rzędem grobów widniał kamienny niski mur i brama. W pełnym napięcia milczeniu minęli bramę i znaleźli się na terenie cmentarza. Spośród sięgających pasa pokrzyw wystawały omszałe tablice, poczerniałe figury aniołów, ściany grobowców, majaczące wśród zarośli w migotliwym świetle pochodni. Z pewnością od dawna nikogo tu nie chowano. Przeszli parę kroków wydeptaną ścieżką i zobaczyli ją. W pierwszej chwili wzięli ją za jeden z szarych posągów. Gdy poruszyła się, odruchowo złapali za broń.

- Kto tu jest...? – głos chorążego, choć lekko drążący, rozładował trochę pełną strachu ciszę. Kobieta podniosła się, w rękach trzymała niewielki nożyk. Odziana w burą suknię w kolorze brudnej ściery, miała na ramionach szarą wełnianą chustę.

- Zakłóacie tu spokój – rzekła bezbarwnym głosem – A spokój temu miejscu się należy. Hodo uniósł brwi.

- Nie zakłócamy spokoju. Kim jesteście i co tu robisz?

- Sprzątam groby.

- W nocy...? – wtrącił się ktoś z tyłu.

Kobieta wzruszyła ramionami i wróciła do cięcia pokrzyw.

- W dzień mam inną pracę – odparła – A wy mi przeszkadzacie.

Spojrzeni po sobie pytającym wzrokiem, przy czym nikt nie musiał dodawać, że mają wątpliwości względem tej kobiety.

- Te nagrobki, które minęliśmy – Hodo opuścił miecz – to jedyne groby poza terenem cmentarza?

- A po co wam to? – kobieta nawet nie podniosła głowy.

- Szukamy czegoś – wtrącił się z tyłu Abel – Czegoś co może być i dla ciebie niebezpieczne.

Kobieta uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Ja się nie boję cmentarnych upiórów. Taka banda dzielnych wojów, a uganiają się po cmentarzach za upiorami...

- To są jeszcze groby poza cmentarzem czy nie ma? – zniecierpliwiał się Sham.

- Są – odparła kobieta po chwili milczenia – Tam – wskazała ręką – Tam pochowano kiedyś kogoś... złego. Nie chcieli chować go w świętej ziemi. Ani nawet w pobliżu. Szukajcie za drzewami.

- Wycofać się! – rozkazał Hodo. Zaczęli posłusznie wycofywać się ścieżką, choć właściwie krasnolud nie miał podstaw, by w tej grupie wydawać rozkazy. Sam wycofał się ostatni, uważnie obserwując tnącą pokrzywy kobiety.

Minęli mur i szpaler wielkich drzew. Za nimi światło pochodni oświetliło płaską pustą półkę w stoku. Pośród zarośniętego bujną zielenią terenu wydawała się łysa, jakby ktoś sypał solą ziemię w jakimś niewiadomym celu. Nad płaszczyznę unosił się delikatny obłok mgły, najpewniej znad pobliskiej wilgotnej łąki.

Powoli, w zwartej grupie weszli na płaszczyznę. Po prawej stronie wznosiła się stroma skarpa, po lewej teren opadał pomiędzy krzakami malin i tarniny. Na wprost nikał w mroku. Doszli do krawędzi, za którą zaczynały się gęste zarośla i zatrzymali się. Żadno z nich za skarby świata nie przyznałoby się do tego, jak bardzo się bali. Chorąży odwrócił się do towarzyszy.

- Dalej czy wracamy...?

Yngvild wzruszyła ramionami.

- Skoro doszliśmy aż tutaj ...

- Dalej są chaszcze... – Rigo podszedł bliżej z pochodnią – Szukanie tam nagrobka...

- Co to jest? – odezwał się Borys, podchodząc powoli do dużego płaskiego kamienia widniejącego w ścianie skarpy – Patrz, jest wy.....

Nie zdążył dokończyć. Rozbłysły iskry i oślepiające światło. Kamień odskoczył do góry, Borys odskoczył do tyłu, wywracając się. W obłoku białej mgły i w bladym promieniu światła koś stał. Znieruchomieli na chwilę. Odziany w długi kontusz osobnik powoli zszedł na płaszczyznę, powoli krok za krokiem zbliżał się do nich. A oni stali.

Pierwszy ocknął się Hodo.

- W szereg! - wrzasnął, cofając się. Rigo i Borys doskoczyli do niego. Sigbert spokojnym krokiem stanął w szeregu i zawiązał nad głową Zerwikapturem aż zaświzczało powietrze. Nieznajomy szedł. Pierwszy nie wytrzymał Rigo, wyrwał się z szeregu z okrzykiem i z uniesionym mieczem skoczył na napastnika. To, co nastąpiło później, stało się tak szybko, że ich oczy nie były w stanie dostrzec szczegółów. Z oszalemiącą szybkością i precyzją mężczyzna w kontuszu uchylił się przed ciosem i złapał rękę najemnika. Z nienaturalną szybkością zawiązał rękę, tak że Rigo obrócił się jak szmaciana laleczka. Napastnik przyciągnął go do siebie, rzucił na ziemię. Dostrzegli błysk oczu i usłyszeli mlasknięcie, od którego podniosły im się włosy na głowie. Nieznajomy podniósł głowę znad szyi Riga i uśmiechnął się szeroko. Usta miał pełne krwi. Spod uniesionej w uśmiechu wargi błysnęły szpiczaste kły. Shamaroth zaklął plugawie.

Wampir przeskoczył nad leżącym ciałem najemnika i wpadł w szereg. Pochodnia upadła na ziemię, szereg rozpadł się. Usiłowali uderzać na oślep, w ogólnym zamieszaniu słychać było tylko wrzaski i raz po raz odgłos ciała padającego na ziemię. Yngvild doskoczyła do leżącej pochodni. Podnosząc ją uskoczyła przed atakującym jak cień wampirem i nagle zdała sobie sprawę, że krzyki słyszy z innego miejsca. Był więcej niż jeden! Podniosła pochodnię. Na nogach trzymali się tylko Sigbert, Hodo, Zibbo, Abel i Borys. Osobnik w kontuszu z upiornym uśmiechem krążył wokół nich. Chciała krzyknąć, że jest jeszcze ktoś, ale w tej chwili ktoś wskoczył jej na plecy. Wrzasnęła usiłując się uwolnić. Pochodnia znowu upadła, w zamieszaniu gwardzistka straciła orientację. Kopnęła na oślep, trafiła, jakiś kształt potoczył się po ziemi. W panice złapała pochodnię i wpadła między towarzyszy. Nie musiała już nic mówić. Stali plecami do siebie na środku placu, a wokół nich krążyły wampiry sycząc i obnażając kły po kociemu. Trzy wampiry. Wysoki chudy osobnik w kontuszu. Kobieta sprzątająca groby. I ich zleceniodawca, rzekomy łowca potworów. Roześmiał się radośnie, gdy go dostrzegli.

- Nie kazaliście się specjalnie zapraszać. Bracia i siostry, kolacja przyszła sama!

Kobieta roześmiała się bezgłośnie.

Borys wyszarpnął zza pasa główkę czosnku, którą wziął ze sobą i cisnął nią w wampira w kontuszu. Ten roześmiał się chrapliwie, złapał czosnek i wgrzyzł się w niego.

- Głupcy! – syknął – Starsze pokolenia były mądrzejsze! Uwielbiamy czosnek... macie coś jeszcze...?

Spojrzeni po sobie desperacko. Wampir skoczył do przodu, Yngvild machnęła przed sobą pochodnią. Roześmiał się znów, doskoczył do pochodni i dmuchnął. Jęzor płomienia osmalił brwi gwardzistki.

- Do skarpy – odezwał się Hodo. W ciszy nie musiał specjalnie krzyżeć – Plecami do skarpy i walczyc!

Borys skoczył do przodu zawijając młyńca szablą. Trafił wampira w kontuszu w łeb, ten zachwiał się. Kozak błyskawicznym sztychem wpakował mu szablę w gardło do połowy długości... ale nic to nie dało. Wampir wyszarpnął ostrze, złapał roweńczyka i po chwili usłyszeli chrupnięcie. Ciało kozaka osunęło się bezwładnie na ziemię.

Zibbo ruszył, osłaniając się okrągłą tarczą. Odepchnął łowcę i ciął go po plecach. Ten odwrócił się, złapał dłońmi za miecz krasnoluda i szarpnął. Na oczach przerażonych wojowników przecięta prawie do połowy dłoń zrosła się w przeciągu sekundy.

- To się mnie nie ima – syknął. Zibbo trzasnął go tarczą i podbiegł do skarpy. Dołączyli do niego i oparli się plecami o stromą gliniastą ścianę. Zostało ich pięcioro.

- Abel!- syknęła Yngvild – stawaj za naszymi plecami i rób coś!

- Co, do cholery?! – warknął chan, nerwowo ściskając saberę w spoconych ze strachu dłoniach.

- Nie wiem, zakłęcie, egzorcyzm, cokolwiek!

- To nie są demony!- odparł ze złością, ale cofnął się za plecy wojowników i wyszarpnął z sakwy jakieś kartki. Wampiry krążyły. I śmiały się, nieśpiesznie zawężając koło. Chan rzucił na ziemię zwoje, złożył dłonie do gestu zaklęcia. Huknęło, błysk oślepił wszystkich na sekundę. Miejsce, gdzie uderzył piorun przywołany przez chana, było osmalone. Ale puste. Wampir w kontuszu szczyrzył zęby dwa metry dalej. Chan zaklął w swoim języku i wyciągnął niewielki nożyk.

- Srebro – szepnął – Jeśli to nie zadziała...

Yngvild spojrzała na broń. Ostrze było króciutkie, trzeba byłoby podejść... Abel stanął w szeregu i wtedy skoczył ten w kontuszu. Ruch był tak szybki, że umykał oczom. Śniadolicy chan wrzasnął, machnął przed siebie sztylecikiem, który z brzdękiem padł na ziemię. Wampir szarpnął go, obrócił się piruetem i rzucił na ziemię. Sigbert rzucił się pomocą, ale dwoje pozostałych spadło mu prawie na kark. Rycerz cofnął się pod ścianę, trzymając ich na dystans ostrzem ogromnego miecza. Kobieta schwyciła Abła i nieprzytomnego zawlokła poza krąg światła. Usłyszeli wrzask...

Srebrny sztylecik leżał na ziemi, dwa metry od nich. Spojrzeli po sobie. Zibbo podniósł tarczę, Sigbert miecz. Yngvild stanęła między nimi. Zanim zdążyli zrobić krok, usłyszeli szelest za sobą i stłumiony wrzask Hoda. Wampir zeskoczył ze skarpy prosto na kark krasnoluda.

W trójkę ruszyli do przodu, Sigbert podniósł sztylet. Stanęli na środku plecami do siebie. Strach i panika ustąpiły zimnej desperacji. Nie mieli już nic do stracenia. Równocześnie skoczyli na cmentarną kobietę. Zibbo obalił ją tarczą. Sigbert doskoczył i wbił jej w serce srebrne ostrze. Zadymiło się, kobieta wrzasnęła tak przeraźliwie, że fala dźwiękowa obaliła ich na ziemię. Zerwali się błyskawicznie, nad nimi wisiał już ten w kontuszu. Yngvild trzasnęła go pochodnią, oślepiając na sekundę. Zibbo poprawił potężnym cięciem. Wampir przewrócił się.

- Łap!- wrzasnął Sigbert, rzucając gwardzistce sztylecik. Yngvild, gdy potem o tym myślała, nie miała pojęcia w jaki sposób zdołała odrzucić miecz i złapać migoczący w świetle pochodni sztylecik. Ale wbiła go wampirovi w serce aż po rękojeść. Znieruchomiał, ale nie zasyczało jak poprzednio. Zibbo kopnął go, ale ten nie drgnął. Gwardzistka poprawiła cios dla pewności. Został jeden.

Fałszywy łowca sycząc i warcząc cofał się. Nagle odwrócił się w miejscu, zawinął obszernym płaszczem i wbiegł na ścianę skarpy. Rycerz ruszył za nim, ale nie miał szans. Zsunął

się po pierwszych metrach. Nim stanął pewnie na nogach, szelest traw za uciekającym już umilkł.

Stanęli we trójkę na środku placu zasłanego ciałami ich towarzyszy. Spojrzeli na siebie pytająco i bezradnie. Zapadła cisza.

Rozdzierający jęk przestraszył ich tak, że Yngvild mało nie wypuściła z rąk pochodni. Pośród leżących na ziemi ktoś się poruszył.

- Rigo – rozpoznała gwardzistka, wbiła pochodnię w ziemię i podbiegła do leżących. Najemnik podniósł się, wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem, ciemna krew ciekła mu z rany na szyi, zalewając koszulę. Yngvild wyszarpnęła z sakwy bandaż i zawiązała krwawiącą ranę. Kolejno podchodziła do leżących, przekonując się, że żyją. Sigbert i Zibbo przynieśli do światła leżących najdalej. Gdy schyliła się nad chanackim magiem, złapał ją za nadgarstek. Był przytomny.

- Mamy cztery godziny – szepnął z trudem.

- Co? – Zibbo nachylił się nad nim – Cztery godziny do czego?

- Najdalej po czterech godzinach każdy z nas dołączy do grona wampirów.

Yngvild znieruchomiała z bandażem w ręce.

- Jak to zatrzymać?

- Nie wiem – odparł Abel, opadając na ziemię. Krew obficie zalewała mu część twarzy – Cała moja wiedza nie przydała się na nic.

- Nieprawda – zaprzeczył Zibbo – Tego największego zabiliśmy srebrem, leży....

Krasnolud umilkł w pół zdania z ręką wyciągniętą w kierunku miejsca, gdzie leżało ciało. Pochodnia jasno oświetlała tą część placu. Była pusta. Zibbo zaklął. Abel roześmiał się z widocznym trudem.

- Przykro mi – rzekł – Nie potrafię nic zrobić.

Yngvild opatrzwszy mu szyję wyprostowała się. Większość pogryzionych była już przytomna, ale rany najwyraźniej sprawiały im ból.

- Cztery godziny to dużo – rzekła głośno – W obozie jest Varthanis. On coś wymyśli.

- Chcesz nas zabrać do obozu? – odezwał się Hodo opierając czoło na zakrwawionej dłoni – To zagrożenie dla wszystkich.

- Nie ma innego wyjścia – zaprotestowała

- Jest – odparł poważnie. Fuknęła gniewnie w odpowiedzi.

- Nie ma mowy, panie chorąży. Jeszcze żyjecie. Jeszcze jest jakaś szansa. A w razie czego – zawiesiła głos na chwilę – zrobię co będzie trzeba.

- O ile zdołasz – odparł cicho krasnolud.

- Zdołamy – odezwał się Sigbert, stojący spokojnie z mieczem zarzuconym na ramię.

Yngvild spojrzała na niego z nadzieją.

Wyruszyli z cmentarza kolumną, w milczeniu. Pokąsani szli jeden za drugim. Zdrowi – bokiem, obserwując, z bronią gotową do ciosu. Zibbo szedł ostatni. W zupełnej ciszy. Nie licząc psów, które zaczęły opętańczo wyc, gdy mijali zagrodę.

Minęli skrzyżowanie dróg na Srebrnej Przełęczy. Pochodnie zgasły i nie zapalali ich więcej. Szli w ciemności.

- Gdy przyjdziemy do obozu – odezwał się cicho chorąży – opatrz sobie rękę.

Yngvild drgnęła.

- Co?

- Masz krew pod karwaszem.

- Opatrywałam rannych.

- Twoją krew, jesteś ranna.

Yngvild przełknęła ślinę i podniosła miecz. Krasnolud uśmiechnął się.

- Jeszcze nad sobą panuję.

- Zaraz będziemy w strażnicy... – odezwała się niepewnie.

- Jeśli będzie tak daleko – rzekł Hodo cicho – Nie możesz się zawahać. Proszę. Nie chcę żyć jako...

- Mowy nie ma – przerwała ostro – Varthanis coś wymyśli, będziesz żył.

Światła strażnicy były tuż przed nimi. Powoli zeszli stromymi schodami. Karczma była pełna ludzi.

- Wchodzimy i wszyscy idziecie na koniec pomieszczenia. Zibbo, pilnujesz ich. Sigbert, po Varthanisa – wydała jednym tchem serię komend – Już!

Wojownicy posłusznie weszli do karczmy, siedzący na ławach zdziwionym wzrokiem mierzyli kolumnę. Yngvild szybko uprzedziła wszelkie pytania

- Zostać na miejscach!- wrzasnęła – Nie podchodzić! Czy ktokolwiek tutaj zajmuje się magią? Jest kapłanem? Druidem?...

Wstała młoda kobieta w skromnej podróźnej sukni.

- Ja jestem alchemiczką – odezwała się – Jakiej pomocy potrzebujecie i co się stało?

Yngvild obawiała się wyjawienia prawdy wszystkim zgromadzonym. Obawiała się ich reakcji i słusznego poniekąd strachu. Obawiała się, że nie powstrzyma ich przed zabiciem ich towarzyszy. Wzięła alchemiczkę za ramię i odciągnęła pod ścianę.

- Wampir – powiedziała krótko. Alchemiczka bez zdziwienia skinęła głową.

- Jak dawno?

- Godzina.

- To będzie bolało – rzekła bez ogródek – I kosztowało. Wzmocniona mikstura oczyszczająca. Będą po niej rzygać jak koty, będzie boleć głowa i masę innych nieprzyjemnych dolegliwości. Ale usunie toksynę z krwi.

- Ile?

- Piętnaście lintarów.

Yngvild wciągnęła powietrze. Miała dwa.

- Dobrze. Ile czasu?

- Daj mi, pani, pół godziny. Przy okazji, na imię mi Mona – rzekła alchemiczka.

Gwardzistka uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Yngvild. Spiesz się, więc, Mona. Czas ucieka.

Zibbo zdążył odebrać broń wszystkim pokaszonym. Siedli na ławach, wyraźnie zmęczeni i osłabieni, niektórzy wyglądali na śpiących. Tylko Hodo wstał.

- Zwiążcie mnie – zażądał. Zibbo spojrzał na niego uważnie.

- Jesteś tego pewien...?

- Jak się zacznie, nie poradzicie sobie – odparł poważnie krasnolud – Wiąż.

Przywiązali ich grubą konopną liną do jednego z centralnych słupów. Zibbo stanął na straży. Yngvild stanęła przy krasnoludzie, nic nie mówiąc i zdjęła z lewej ręki skórzany karwasz. Cienka strużka krwi, niewidoczna spoza osłony, ciekła z niewielkiej rany na łokciu. Gwardzistka zadrżała.

Po dłuższej chwili pojawił się zaspany Varthanis, którego Sigbert brutalnie wyciągnął z łóżka. Dłuższą chwilę zajęło Yngvild wytłumaczenie nekromancie, o co chodzi. Następną chwilę zajęło wymyślenie, co właściwie należy zrobić. Ale gdy już oprzytomniał, wybiegł na powrót do namiotu po zwoje i zasiadł nad nimi, opracowując egzorcyzm. Yngvild gorączkowo zastanawiała się, kto jeszcze może pomóc. Kapłan... Shamaroth siedział przy słupie i wyglądał jakby spał. W tym momencie wróciła Mona.

- Yngvild! – krzyknęła od wejścia- Mikstura oczyszczająca!

Trzymała w rękach spory kubek parującego napoju.

- Shamaroth – zdecydowała szybko gwardzistka. Zibbo podniósł kapłanowi głowę i na wpół śpiącemu wlał miksturę do gardła. Krasnolud zaprychał i zakrztusił się, ale przełknął. Wyplątali go z więzów. Parę sekund siedział nieruchomo, wreszcie podniósł głowę, spojrzał na nich bardziej przytomnym wzrokiem i stwierdził.

- Niedobrze... – po czym zerwał się, podbiegł w kąt i gwałtownie zwymiotował.

- Działa – uśmiechnęła się z satysfakcją alchemiczka – Dawaj następnych.

Po chwili Borys dołączył do wymiotującego już przed karczmą Shamarotha. Yngvild przemknęło przez myśl, że za dobrze idzie. I właśnie wtedy przestało iść dobrze.

- Pierwszy oberwał Rigo – odezwała się. Okazało się, że Rigo był nieprzytomny, Hodo również. Wyciągnęli ich na środek i położyli na klepisku.

- Daj je.... – zaczęła gwardzistka.

Nie dokończyła, bo potężny najemnik odepchnął z ogromną siłą trzymającego go Zibba i wstał. Uśmiechał się. Wykonał krótki ruch ręką i przez zęby szepnął:

- Niewidzialność.

I zniknął. Yngvild wyszarpnęła srebrny sztylecik zza paska, nerwowo przyglądając się podłodze. Na próżno. Najpierw skoczył na Monę, wytrącając jej kubek z napojem, który rozlał się z rozmachem po klepisku. Gwardzistka spróbowała podbiec, ale obalił ją na ziemię. Poczowała dotyk zębów i wrzasnęła z przerażeniem. Na szczęście Zibbo i Sigbert byli dość szybcy. Krasnolud złapał na oślep tam, gdzie powinien być kark i kołnierz najemnika, podniósł go do góry. Sigbert podniósł wypuszczony przez Yngvild sztylet i na oślep przyłożył Rigowi do twarzy. Zasyczało, i najemnik ukazał się na powrót im oczom, wrzeszcząc z bólu. Odciągnęli go do kąta.

Zdażyło już dołączyć kilkoro spoza grona uczestników nieszczęsnej wyprawy. Bardka Mija przyglądała się z kąta krytycznym wzrokiem. Do Yngvild podszedł szczupły ciemnowłosy młodzieniec

- Może to się przyda? – uśmiechnął się podając srebrny łańcuszek. Gwardzistka pozbierała się z ziemi.

- Wszystko się przyda – uśmiechnęła się – Dzięki, panie.

Owinęła dłoń łańcuszkiem. Pozostali usiłovali pokąsanych przywiązać do słupa. Ale coraz więcej z nich budziło się. Z takim samym uśmiechem.

- Varthanis! – wrzasnęła do czarodzieja – Co z tym egzorcyzmem?!

- To musi potrwać!- odkrzyknął z drugiego końca sali.

- Cholera – mruknęła. Do karczmy wszedł, ślaniając się na nogach Shamaroth.

- Całe szczęście.... – zaczęła Yngvild. Usłyszała rumor za plecami i uskokczyła w porę. Hodo uśmiechnął się.

- Mówiłem, żebyś opatrzyła rękę!

Wszyscy odskoczyli na boki. Chorąży z niezwykłą szybkością wyminął Zibba, który usiłował stanąć mu na drodze, przeskoczył przez ławę i rzucił się do wyjścia. Nie dobiegł.

W drzwiach stanęła długowłosa półelfka. Na końcach palców jeszcze migotały iskierki po rzuconym zaklęciu paraliżującym. Krasnolud padł na ziemię, ale zaczął się podnosić. Yngvild doskoczyła i przyłożyła mu do policzka pięść owiniętą srebrnym łańcuszkiem. Wrzasnął z bólu i spojrzał na nią przytomnym wzrokiem.

- Skończ to – szepnął – Nie wytrzymam...

- Wytrzymasz! – odparła przez zaciśnięte zęby – Musisz!

- Nie chcę... Nie mogę – szeptał chorąży – On do mnie mówi, rozumiesz?! Nie chcę być tym, czego ode mnie chce. Jedno cięcie, Yngvild, proszę...

Spojrzała na niego. Po brudnych od pyłu policzkach spływały mu łzy. Zaklęła pod nosem.

- Oddaję ci dowodzenie – odezwał się głośniejszym głosem

- Mowy nie ma – warknęła z bezsilną złością - Będziesz żył, rozumiesz? Wytrzymasz! Varthanis!!!

- Jeszcze nie! – odkrzyknął znów mag. Podeszła Candice.

- Mogę ich usypiać na chwilę. Da wam to więcej czasu – rzekła cicho. Yngvild skinęła głową. Psioniczka powoli podchodziła, usypiając kolejnych. Po chwili dołączył do niej Shamaroth, chociaż wciąż ledwie stał. Sigbert pilnował przywiązanych do słupa. Wyglądali,

jakby spali. Tylko Abel był w pełni przytomny, z głową opartą o słup szeptał modlitwę. Nie usypiali go.

Rigo pierwszy wybudził się z zaklęcia Candice. Więzy, którymi przywiązano go do słupa, puściły niemal natychmiast. Zerwał się, ale tym razem Zibbo był szybszy. Dotknięciem srebra powalił najemnika na ziemię.

- Ani drgnij – warknął do miotającego się i syczącego Rigo

Sigmar wyglądał jakby spał naprawdę. Siedział z opuszczoną głową pod słupem. Abel nadal się modlił, choć modlitwa coraz bardziej zaczynała przypominać wpeł przytomną mantrę. Candice i Shamaroth chodzili pomiędzy pokąsanymi, usiłując usypiać ich z powrotem, ale każde kolejne rzucone zaklęcie działało krócej. Wreszcie przestały działać w ogóle. Rigo, mimo, że przyciśnięty przez Zibba, szarpał się i próbował kąsać. Abel coraz szybciej i coraz bardziej nieprzytomnie powtarzał słowa modlitwy. Sigbert stał nad nim z uniesionym mieczem. Hodo leżał wpatrzony w sufit, zerkając na srebrny łańcuszek w ręce gwardzistki. A Varthanis wciąż pisał.

Ciemnowłosy młodzieniec, który uprzednio podał Yngvild łańcuszek, siedział na ławie obok Sigberta.

- Panno Mijo – odezwał się nagle – pani śpiew....

- Co z moim śpiewem... – ziewnęła bardka. Zamieszanie najwyraźniej nie robiło na niej wrażenia.

- Potrafi pani hipnotyzować, może to ich uspokoi – młodzieniec odgarnął włosy, malowniczymi falami opadające mu na twarz. Siedząc wspierał się na sporej wielkości mieczu z dużym jelcem.

- Ich trzeba zabić, bo są niebezpieczni – odparła Mija – I to zanim kogoś skrzywdzą.

Yngvild podniosła się. Stłumiła w sobie chęć ostrej riposty. Bardka była jakąś nadzieją.

- Panno Pendragon – odezwała się cicho – Dopóki jest szansa, że przeżyją, nie pozwolę nikomu ich tknąć. Proszę – opuściła głowę – Proszę spróbować hipnozy...

Mija zmierzyła ją z wyższością, ale nie odpowiedziała.

- Zapłacę, jeśli trzeba, tyle, ile pani zażąda... – dodała gwardzistka. Bardka fuknęła.

- Nie potrzebuje pieniędzy od straży. Odsuńcie się.

Stanął między leżącymi na ziemi. Cichy głos sprawił, że sala umilkła. Popłynęły hipnotyzujące nuty. Pokąsani uspokoiли się. Wszyscy się uspokoiли. Yngvild usiadła na ziemi, czując jak wola walki opuszcza ją, jak uspokaja się i wycisza. Poddaje wydarzeniom...

- Mogę rzucać egzorcyzm! – głos Varthanisa przerwał działanie hipnozy. Bardka z uśmiechem pełnym pogardy przestała śpiewać i usiadła na ławie. Yngvild otrząsnęła się z dziwnego uczucia. Skłoniła się śpiewaczce.

- Dziękuję.

Ta skinęła głową.

Shamaroth z trudem artykułując słowa modlitw, klęczał już nad Sigmarem. Varthanis przystąpił do zaklęcia...

Ostatniego uzdrowiono chorążego. Gdy obudził się po zaklęciu, długo leżał wpatrując się nieprzytomnie w sufit. Gdy w końcu się podniósł, Sigbert przyłożył mu do skóry srebrny sztylet. Nie było reakcji. Odetchnęli. Usiedli na ławie, Sigbert, Zibbo i Yngvild. Emocje powoli opadały, choć wciąż drżały im ręce, zaczęli się śmiać.

- Nie do wiary, że się udało – roześmiał się Zibbo. Nawet nie wysilali się na odpowiedź. Hodo podszedł do nich po chwili. Yngvild podała mu zabrany wcześniej miecz.

- Mówiłam, że przeżyjesz – uśmiechnęła się. Nie odpowiedział uśmiechem. Nadal coś było nie tak – Co jest? – zapytała.

- Nadal go słyszę – odparł poważnie - Ale panuję nad tym. Na razie. Niewykluczone, że jednak należało mnie zabić.

„No i wykrakał pan, panie choraży” pomyślała z przekąsem „Śmierć cię dogoniła. I to z ręki jednego z nas. Teraz, o ile Varthanis nie jest cudotwórcą... Cholera, wszystko przeze mnie...”

Zaczął się dwa dni temu. Kapitan z sobie właściwym urokiem wydał rozkaz eskortowania Jego Wysokości Księcia Kamieńca Amaveta dar Kirian z Góry Kapliczki. Wyznaczył do tego dwie osoby ze Straży. Sigberta Clodiana, rycerza. I Lanna. A gdy wrócili, okazało się, że jest problem.

- Co księżę robi w mojej strażnicy? – wrzasnął kapitan wpadając do karczmy – Psiakrew, mieliście go odstawić do Kamieńca, a nie tutaj, dwieście metrów od twierdzy Silberbergu! Co to ma być?

- Z całym szacunkiem, kapitanie – głos Lanna był chłodny i spokojny – Pański rozkaz brzmiał „Odprowadzić tam, gdzie zażąda”. Zażądał tutaj. Albowiem... Chyba poszukiwał klina...

- Co takiego? – oczy kapitana zwęziły się niebezpiecznie – Wstać! Słucham raportu. Szczegółowego!

- Dotarliśmy na miejsce – Lann nadal odpowiadał z kamienną twarzą – Punktualnie o nakazanej przez pana kapitana godzinie. Znaleźliśmy księcia siedzącego pod kapliczką, w stanie.. mocno nietrzeźwym. Jego stan wskazywał na to, że zostali napadnięci. Miał potargane ubranie i ograbiono go z kosztowności. Gdy trochę doszedł do siebie, nakazał zaprowadzić się do karczmy Villsvin. Ot i cały raport, panie kapitanie.

Kapitan popatrzył na niego uważnie.

- I księżę był tam sam?

- Tak jest.

- Rano jednak nie był sam. Towarzyszył mu giermek. Który zaginął. Był synem jednego z dworzan księżnej Eledhwen. Jego ojciec wyznaczył ogromną nagrodę za odnalezienie syna. Jeśli stało mu się coś złego, Straż zostanie zobowiązana do przeprowadzenia śledztwa – zrobił efektowną pauzę – Resztę dnia macie wolną. Rozejść się. Sława Cesarzowi!

Gdy przebrzmiało chóralne „Sława”, Lann usiadł ciężko na ławie. Spokój zniknął jak zmazany z jego twarzy. Hodo wbił w niego badawcze spojrzenie.

- Słucham – zaczął

- Co „słucham” ?- burknął Lann – Przecież słyszałeś.

- Tak, słyszałem – krasnolud nie ustępował – a teraz chcę usłyszeć prawdę.

- To była ...

- Gówno prawda – przerwała mu Yngvild – „Zostali napadnięci”? Oni? Więc jednak księżę nie był tam sam, prawda? Co się stało z tym giermkim...?

Lann westchnął ciężko. Spojrzał na Sigberta, który nadal z kamiennym spokojem obserwował swoje buty.

- Dobrze więc- zaczął – Zaczniemy od tego, że nie poszliśmy tam we dwóch.

- Co?! – wydarł się Sham. Hodo uciszył go gestem.

- To właśnie. Najemnicy hrabiego Rasgalena uzyskali dowody, że księżę jest zamieszany w trucie górników z kopalń pod Silberbergiem. To on sprzedawał im zatrute piwo. Poszli z nami, żeby móc zadać mu kilka pytań. Nie zamierzali zrobić mu krzywdy...

- Ale wyszło inaczej, prawda? – mruknął Zibbo z drugiej strony stołu.

- Prawda – kontynuował Lann –Wyszło tak, że kiedy księżę ich zobaczył, nie zamierzał z nimi gadać.

- A to ci niespodzianka – burknęła Yngvild z przekąsem – Na widok grupy zbrojnych poczuł się zagrożony. Dziwne, doprawdy...

- Nie kpij – odparł poważnie Lann – On był winien śmierci tych górników. Jak się dowiedzieliśmy, pośrednio, ale zawsze.

- Więc jednak go przesłuchaliście – domyślił się Hodo – A giermkowi się to nie spodobało, więc go zabiliście.

- Niezupełnie – głos Lanna był zimny i zdecydowany – Ja go zabiłem. Zanim rozpoczęliśmy przesłuchanie.

Zapadła chwila ciężkiej ciszy. Yngvild szukała odpowiednich słów.

- Wytłumacz – odezwała się wreszcie.

- Czego nie rozumiesz? – Lann zniecierpliwił się najwyraźniej – Ten giermek był jedynym ochroniarzem księcia. TO znaczy, że musiałby być dobrym ochroniarzem. Gdyby zaczęli go przesłuchiwać, mógłby zrobić komuś krzywdę.

- Więc go zabiłeś?!

- Dokładnie tak. Dokładniej, ja zadałem śmiertelny cios, bo wywiązała się bijatyka, giermek rzeczywiście był dobry. Paru ranił, w tym Sigberta, w Miję rzucił włócznią. Nie miałem już wyboru. Księcia należało przesłuchać, bo w kopalniach umierają ludzie przez głupotę tego szczeniaka. To było konieczne posunięcie.

- A czym zawinił ten chłopak, oprócz tego że bronił swojego pana?- warknęła Yngvild.

- Nie zawinił – Lann najwyraźniej też zaczynał się denerwować – Wolałbym nie musieć go zabijać, ale tak było trzeba w danej sytuacji. Dla wyższego celu, jakim jest ratowanie życia ludzi w kopalniach hrabiego Rasgalena.

- A od kiedy ty służysz Rasgalenowi? – zapytał chorąży jadowicie – Zabiłeś niewinnego człowieka, cywila, ręką, na której nosisz cesarski znak! Wiesz, co to oznacza? Wziąłeś ze sobą postronne osoby i sprzeniewierzyłeś się rozkazom.

- Trudno – warknął Lann – To mój problem!

- No niezupełnie – odezwał się milczący dotąd Rigo – Co zrobiliście z ciałem?

- Zrzuciliśmy ze stoku.... – odparł Lann już mniej pewnie. Najemnik ostentacyjnie podniósł rękę do czoła. Chorąży westchnął.

- Więc znajdują je pewnie jeszcze dziś. Dyletanci....

- To twoje zdanie.

- Pewnie – odparł Hodo – I mój problem, bo powinienem o tym zameldować. Jak to wyjdzie na jaw, wszyscy będziemy mieli kłopoty i to spore. Wpadło ci to może wtedy do głowy?!

- Niespecjalnie – odparł Lann rozbrajająco. Krasnolud zaklął pod nosem. Ale kłótnia w danej chwili była bezcelowa. Za chwilę mieli wyruszyć w miejsca wskazane przez Najstarszą, po tajemnicze i nieokreślone „ścieżki” prowadzące do artefaktu. Będąc o krok bliżej swego celu, wykonania ostatniego rozkazu cesarza, Yngvild przestała zastanawiać się nad sprawą zabitego giermka. I to był błąd.

Ciało zostało znalezione następnego dnia. Rano kapitan wpadł do karczmy jak burza, stawiając wszystkich na baczność. Straż otrzymała rozkaz przeprowadzenia śledztwa i znalezienia zabójców chłopaka. I wszystko ułożyłoby się znakomicie, pozwalając zatuszować Straży sprawę. Gdyby nie jeden szczegół.

- Aha – dodał kapitan, odwracając się od wejściowych drzwi – Eledhwen, księżna kamieniecka, zaczęła własne śledztwo. Wynajęła magów. Jest możliwość, że spotkacie jej ludzi na miejscu. Niech was bogowie bronią przed rozpoczęciem z nimi zwady. Jasne?

- Tak jest!

Ale nie było jasne. Gdy kapitan wyszedł, zapadła grobowa cisza.

- No to mamy problem – skwitował Borys to co było oczywiste. Lann wstrzymał się od komentarza.

- Yngvild – gdy wyszli z karczmy, dyskretnie zatrzymał ją Omus. Omus był drobno zbudowanym, ale nader inteligentnym typem, plotka głosiła, że trudnił się fałszerstwem. I złodziejstwem – Nosisz w sakiewce cenną rzecz – szepnął, gdy odeszli na bok – Nie noś.

- Co? Nic nie noszę...

- Jasne. Ale nie noś tego w sakwie.

Potraktowała to jak dobrą radę, nie mogąc znaleźć żadnego powodu, dla którego Omus miałby ją fałszywie ostrzegać. Wyjęła medalion z sakiewki i zawiesiła na szyi, chowając pod płócienną koszulę.

Gdy wyruszyli było gorąco i duszno, zbierało się na burzę. No i burza nadeszła, pomyślała Yngvild. Prowadzeni przez Lanna, który pamiętał drogę z poprzedniego dnia, ruszyli kupieckim Szlakiem Zębatym. Przez ogromny kamienny wiadukt nieszczęsnego Shamarotha musieli przeprowadzić z zamkniętymi oczyma. Za wiaduktem weszli między wysokie kamienne ściany wąwozu. Ścieżka zwęziła się tak, że mieściły się na niej nie więcej niż trzy osoby. Lub dwa krasnoludy. Na szczęście wąwóz nie był długi, po chwili wyszli na otwartą przestrzeń. Było duszno.

Po kolejnym kilometrze zaczął się drugi wąwóz. Lann i Sigbert zgodnie uznali, że to właściwa droga. Weszli pomiędzy skalne zbocza. Z lewej strony kamienna ściana miała kilkanaście metrów, a jej szczyt nikał w koronie zieleni. Z prawej pionowy wał miał nie więcej niż trzy metry.

- Stać – rozkazał chorąży po kilkunastu metrach. Zatrzymali się zdziwieni, ocierając pot z czoła – To ryzykowne miejsce. Zwiad na prawo górą.

Jarlos kiwnął głową i bez słowa zniknął na górnej ścieżce. Ruszyli dalej.

Najpierw ich zobaczyli, trzech uzbrojonych ludzi stojących w poprzek ich drogi. Potem usłyszeli z góry ostrzeżenie Jarlosa. A potem się zaczęło.

- Wracajcie – odezwał się wysoki, brodaty mężczyzna z ogromnych rozmiarów mieczem zarzuconym na ramię – Przejścia nie ma! – on i jego towarzysze ubrani byli w obszarpane bure stroje, noszące ślady licznych łatania.

- Wczoraj ich tu nie było – szepnął Lann.

- Cesarska Straż Pogranicza! – krzyknął Hodo – W imieniu Cesarza, z drogi!

W odpowiedzi usłyszeli kpiący śmiech. Chorąży zgrzytnął zębami.

- Ktoś chyba chce oberwać – warknął – Szereg! Thork, tyły!

Roweńczyk kiwnął głową. Z braku Zibba, który zwykle bronił pleców oddziału, Thork razem z Jarlosem, który wycofał się z górnego wału, zajęli pozycje na tyle. Borys podbiegł do dowódcy.

- Wezmę kilku i przebiję się górą na tyły – zaproponował. Hodo spojrzał z wątpliwością na wał.

- Tam jest jeszcze węzeł. Mogą was tam wytłuc.

- Raz maty rodyła – wyszczerzył się Borys, łowiąc kątem oka pełne podziwu spojrzenie elfiej łuczniczki. Wyprężył się dumnie – Nawet nas nie zarysują, Hodo.

- Bierz Sigberta i Sigmara – zdecydował krasnolud – Weź też Varthanisa, z góry może mieć lepszą pozycję, by rzucić im jakąś niespodziankę. Łucznicy – kontynuował, gdy Borys i towarzyszący mu wojownicy zniknęli za skałami – stanąć w drugi szereg i strzelać zza naszych pleców.

Arandir bez słowa nałożył strzałę na cięciwę pięknego łuku. Wiedzieli, że elf rzadko chybia. Candice stanęła obok niego, najwyraźniej na chwilę zapominając o dzielącej ich nienawiści.

Reszta uformowała dwa szeregi. Chorąży, osłaniając się trójkątną tarczą, stanął na przedzie, mając po bokach Lanna i Riga. Reszta stanęła za nimi, gotowa wejść na miejsce tych, którzy oberwą.

- Ostatni raz powtarzam, z drogi! Reprezentujemy cesarskie prawo! - krzyknął do stojących przed nimi napastników Hodo. Znow odpowiedział mu kpiący śmiech.

- Wracać do domu, cesarskie psy!- wrzasnął ktoś.

- Mamy w dupie cesarskie prawo, nas ono nie dotyczy – wrzasnął ktoś inny

- Sami tego chcieliście – mruknął krasnolud – Ruszamy!

Od napastników dzieliło ich kilka metrów, gdy zobaczyli, że z tyłu dołączają kolejni. Najwyraźniej biegli skądś, ten z dużym miecze pytał o coś, na co zaprzeczyli. Po chwili zamiast

trzech obszarpańców, na wąskiej ścieżce stała ośmioosobowa grupa, za nimi zaś kręciło się kolejnych kilku. Wysoki brodac, najwyraźniej przywódca, ewidentnie czekał na jakieś informacje z tylnych szeregów.

- Nie ma przejścia!- rzucił w stronę cesarskich szeregów, podnosząc broń – Teraz umrzecie! – zawiął ogromnym mieczem nad głowami swoich kamratów, tak że ostrze dotykało prawie obydwu ścian wąwozu, i z potężnego zamachu uderzył. Szereg odskoczył do tyłu. Zgrzytnęły ostrza, w ciasnym przesmyku każdy walczył z każdym. Z tarcz poszły drzazgi, z kling iskry. Tuż przy uszach walczących świsnęły lotki. Candice i Arandir równocześnie oddali celne strzały. Jedna trafiła w ramię, druga w pierś jednego z banitów. Inni szybko odciągnęli ich do tyłu. Reszta odstąpiła, w grupie obszarpańców zakotłowało się. Z tylnych szeregów dało się słyszeć rytmiczne słowa inkantacji.

- Aha – skwitował Shamaroth z drugiego szeregu – Mają kapłana. I to dobrego... – dodał z podziwem, gdy dwóch trafionych przed chwilą strzałami banitów stanęło do walki jakby w ogóle nie byli ranieni. Brodaty herszt wykonał ruch mieczem. Banici ruszyli do drugiego ataku. Nagle na górze, na wale zakotłowało się. Usłyszeli głos Varthanisa, który najwyraźniej dostał się w miejsce, skąd mógł bez przeszkód rzucać zaklęcia w przeciwników:

- Ranienie! – na jednym z przeciwników rozjarzyły się czerwone iskiery, banita wrzasnął z bólu. Nagle z tylnego szeregu poszedł ktoś, owinięty w płaszcz z kapturem, opuścił miecz i wykonał delikatny ruch dłonią. Z góry dobiegł pełen zdziwienia głos Varthanisa.

- Widzieliście? Rozproszył! Co to do cholery...?! – nie dokończył. Na górze znów się zakotłowało, usłyszeli bojowy okrzyk Sigberta. Jednocześnie człowiek w płaszczu podniósł dłoń oszczędnym gestem. Błysnęło. Tylny szereg wrzasnął chóralnie. Hodo obejrzał się. Kula ognia narobiła niezłego spustoszenia, większość strażników zwijała się z bólu od poparzenia. Chorąży zaklął. Znowu.

- Naprzód – warknął zawzięcie. Ruszyli, napastnicy cofnęli się o krok. Kolejny krok, zgodne uderzenie mieczy. Dwóch spośród blokujących wąwóz padło ranionych, inni znów odciągnęli ich do tyłu. I wtedy w pierwszy szereg wszedł ponownie ten wysoki.

- Powiedziałem, do budy, psy cesarskie!- wrzasnął i ciał z szerokiego zamachu.

- Na niego – rozkazał chorąży, ruszając do przodu. Z góry usłyszeli świst lotek. Strzała ukruszyła skałę po przeciwnej stronie wąwozu, kolejna wbiła się do połowy brzechwy w ramię Illimy, stojącego w drugim szeregu. Wojownik wrzasnął i upadł. Rigo przed kolejną strzałą zdołał zasłonić się tarczą. Ale przed kolejnym ciosem ogromnego miecza zdążył tylko częściowo. Potężny cios jechał po tarczy i trafił najemnika w żebra z taką siłą, że rzuciło go na towarzyszy. Hodo zdołał go podtrzymać, Yngvild odciągnęła go na bok.

- Poradzę sobie – stęknął z trudem, plując krwią – Bierz to i pomóż im – podał jej tarczę. Yngvild zacisnęła zęby. Nie było czasu by mu pomóc. Z pożyczoną tarczą stanęła obok chorążego, wchodząc prosto pod śmigające ostrza. Pod osłoną wielkiego miecza inni banici doskakiwali i atakowali. Jednocześnie z wału wciąż ostrzeliwano ich tylne szeregi. Zanim zdążyła dołączyć do walczącego szeregu, Lann, trafiony mieczem, osunął się na ziemię.

- Nie przejdziemy – syknął przez zęby Hodo osłaniając się tarczą – Kim oni są, do cholery, biją się jak armia. Brodaty zaśmiał się zaczepnie.

- I co, Straży Pogranicza? – krzyknął – To my jesteśmy tu prawem! A wy służycie zdrajcom!

- Służymy Cesarstwu – odkrzyknęła Yngvild ze złością, bo sytuacja robiła się coraz gorsza.

- Sami nie wiecie, kto naprawdę wydaje wam rozkazy – odparł banita, poważniejąc nagle. Ale Yngvild nie miała czasu zastanawiać się nad sensem jego słów. Z wału znów dobiegły odgłosy walki, usłyszeli okrzyk kozaka, zakończony pełnym bólu wraskiem. Candice z rozpaczą w oczach spojrzała na górę, szukając wzrokiem napastnika. Tylko dlatego zauważyła strzałę, która ułamek sekundy później przebiła jej udo. Elfka osunęła się na ziemię. Arandir stanął przed nią, osłaniając od dalszego ostrzału. Spokojnie i metodycznie wysyłał strzałę za

strzałą ponad ramionami tarczowników w szereg wrogów. Każda trafiała. I każdy przeciwnik po chwili wracał do walki.

Odgłosy walki na wale ucichły. Zrobiło się oczywiste, że za chwilę banici wejdą na tył oddziału. Arandir wystrzelił ostatnią strzałę, dobył szabli i stanął obok Illimy, który zdążył opatrzeć ranę po strzale, w oczekiwaniu na atak z drugiej strony wąwozu.

Kolejny atak banitów rozbił pierwszy szereg. Siejący spustoszenie wielki miecz uderzył w Yngvild i, pomimo że zdążyła zasłonić się tarczą, zwałił ją z nóg. Kolejny cios powalił Hoda, szybkie ostrze trafiło pod tarczą. Krasnolud padł. Widząc to Shamaroth wrzasnął z wściekłością i desperacją. Zanim Yngvild zdążyła go zatrzymać, krasnolud podniósł mazany krwią miecz, krzyknął dziko. I ruszył. Z rozpędem wpadł w szereg banitów, tnąc na oślep. Obalił dwóch, ale nie miał szans. Spadł na niego grad ciosów, pod którymi padł na ziemię jak ubity łoś. Szereg przeciwników zamknął się za nim.

- Cholerny idioto - zakłęła Yngvild z rozpaczą. Illima i Arandir zaprzestali chronienia tyłów i dołączyli do gwardzistki. Kolejną szarżę banitów przyjęli w przekonaniu, że jej nie przeżyją. Wysoki brodacz rozpędził się i uniosł miecz. Yngvild uniosła tarczę, gotowa przyjąć cios. Ale cios nie nastąpił. Herszt zatrzymał się w pół kroku, podniósł rękę i wrzasnął:

- Stać!!! – opuścił ostrze, wpatrując się w Yngvild. Gwardzistka uniosła tarczę zdezorientowana.

- Skąd to masz? – zapytał ostro banita. Wpatrywał się w medalion na jej szyi, który w walce musiał wypaść z za koszuli.

- Gównu cię to obchodzi – warknęła.

- Bardzo mnie to obchodzi. Skąd to masz? – krzyknął herszt pochodząc. Cofnęła się, odgradzając się ostrzem. Illima i Arandir stanęli przy niej.

- Nie twoja sprawa. Dostałam – odpowiedziała. Banita zatrzymał się.

- Od tego, kto miał prawo go nosić? – zapytał poważnie.

- Tak. Od tego, kto umarł w dniu gdy mi go oddał – odparła, starannie dobierając słowa – Skąd znasz medalion?

- Ktoś mi o nim opowiedział – odparł równie wymijająco – Musicie się z kimś zobaczyć. Zwłaszcza ty, którą obdarzono takim zaufaniem. Bądźcie tu po zmierzchu.

- Chyba sobie żartujesz – warknęła – Przed chwilą omal nie wybiliście mojego oddziału, a teraz mam ci zaufać?

Banita westchnął, jakby zniecierpliwiony jej pretensjami.

- Przecież mówiłem, że nie ma tędy przejścia. Jeśli chcecie potwierdzenia, idźcie na najwyżej położony z Fortów Północnych. Powinniście tam znaleźć parę odpowiedzi – odwrócił się na pięcie, towarzyszący mu ludzie zaczęli się wycofywać.

- Chwila – krzyknęła Yngvild – Nadal musimy przejść na drugą stronę wąwozu.

Dostaliśmy rozkaz...

- Przejścia nie ma – warknął banita, nie odwracając się – Idźcie górą, tam jest ścieżka po skałach.

- Większość moich jest ranna!

Banita zatrzymał się.

- No dobrze – odpowiedział z namysłem, odwracając się – Niech będzie to gestem dobrej woli. Zawołaj kapłana – zwrócił się do jednego ze swoich ludzi. Zakapturzony mężczyzna pojawił się niewołany. Yngvild odsunęła się robiąc mu miejsce. Wszedł pomiędzy leżących na ziemi rannych, podchodził do nich kolejno, szepcząc inkantacje. Działo jak eliksir zasklepiający rany. Gdy ją mijał, Yngvild dostrzegła pobladłą twarz, efekt wysiłku rzuconych zaklęć.

- Dziękuję – odezwała się, widząc jak Rigo i Lann z trudem, ale jednak podnoszą się z ziemi. Chwilę wcześniej była przekonana, że Rigo nie przeżyje tej bitwy. Z uśmiechem oddała mu tarczę.

Po dłuższej chwili na nogach byli niemal wszyscy. Kapłan ukląkł nad Shamarothem. Krasnolud zarobił co najmniej kilkanaście ran. Gdy kapłan skończył uzdrawiać, sam prawie się przewrócił. Shamaroth wstał z trudem.

- Dziękuję – powtórzyła Yngvild. Kapłan spojrzał na nią.

- Obdarzono cię zaufaniem – rzekł cicho – Bądź tu przed północą.

Wycofali się ścieżką na skały i ominęli wąwóz górą. Po wydarzeniach w czasie bitwy Yngvild zapomniała niemal zupełnie o sprawie, która mogła chwilowo okazać się ważniejsza od medalionu.

Na Górę Kapliczkę trafili po pół godzinie. Lann przeszukał zarośla – ciała nie było. Ale jak wielkie mają kłopoty, okazało się dopiero kiedy Varthanis przystąpił do czytania pamięci miejsca.

- Ciało znaleziono przypadkiem – recytował to co zobaczył w wizji – Potem przyszedli po nie zbrojni, w barwach Kamieńca. Mieli ze sobą maga.... Lann. Ten mag to nekromanta – zakończył otwierając oczy – A to oznacza, że wiedzą już wszystko. Znalezienie na ciebie haka, to kwestia czasu.

- Możesz chyba zamazać pamięć miejsca, tak, by nikt niczego nie odczytał – odezwał się najemnik niepewnie.

- Jasne, że mogę – obruszył się czarodziej – Ale jest już za późno. Miejsce zostało odczytane. A nekromanta wydobył resztę z ciała chłopaka. Błąd, Lanie, duży błąd zostawić ciało kogoś, kogo się zabiło...

Hodo spojrzał podejrzliwie na nekromantę, ale nie skomentował. Lann opuścił głowę

- No to chyba mam kłopoty.

- Cały oddział ma kłopoty! – warknęła Yngvild.

- Spokój – odezwał się chorąży – Mamy czas do powrotu, aby coś wymyślić.

- Aha, czyli nie mamy czasu – Yngvild nadal była wściekła, zwłaszcza, że cała ta sprawa odciągała ją od kwestii medalionu. I robiła się coraz groźniejsza. A z każdym krokiem byli coraz bliżej strażnicy.

Pomysł pojawił się w połowie drogi. Pomysł chorążego.

- Damy ci możliwość bezpiecznej ucieczki. Choćby i do tych banitów, którzy tak dużo wiedzą o medalionie – stwierdził – Upozorujemy to tak, żebyś zranił kilku z nas. Żeby nie było zarzutów, że puściliśmy cię bez walki. Potem powiemy kapitanowi, że Varthanis odczytał z pamięci miejsca, że to ty zabiłeś giermka i że byłeś sam.

Lann nie odpowiedział. Ale i nie zaprzeczył.

- Co z tamtym czarodziejem? – zapytała Yngvild

- Nie przedstawię jako dowodu informacji pozyskanych dzięki nekromancji – wyszczerzył się Varthanis – Nekromancja jest zakazana.

- W ten sposób jest ich słowo przeciwko naszemu.

- Mnie może zranić – odezwał się Borys bohatercko – Dla mnie nie pierwszyna.

- To później. Co z Sigbertem?

- Hmm – mruknął Hodo – Chyba będzie musiał nieco nadwyreżyć słowo rycerskie. Jedyne, z czego będzie musiał się tłumaczyć, to to, dlaczego o postępkach Lanna nie powiedział wcześniej.

- Skończyliście? – Lann, który szedł z przodu, właśnie wszedł na schody, prowadzące ku strażnicy. Jego głos zabrzmiał ostro i dziwnie, ale nie zwrócili na to uwagi. Przecież chwilę wcześniej się zgodził – I nie zmienicie tego planu?

- A masz jakiś lepszy? – zirytował się Hodo – Słucham.

Lann odwrócił się w milczeniu i jeden za drugim ruszyli stromymi schodkami do góry. Gdy Yngvild wyszła na ostatnie stopnie, Varthanis, który szedł z przodu, leżał pod barierką, trzymając się za brzuch. Borys leżał na środku, krew z rany na czole zalewała mu oczy. Lann stał

tyłem do niej, z pochyloną głową, wsparty na rękojeści miecza, jakby nad czymś intensywnie rozmyślał.

- Panowie – odezwała się, przekonana, że właśnie teraz wzięli się za upozorowanie ucieczki Lanna – Może...

Lann odwrócił się. Gdy zobaczyła jego zawziętą twarz i zmrużone oczy, zrozumiała w ułamku sekundy. Szarpnęła za miecz, ale było za późno. Stał już nad nią ze wzniesionym ostrzem, lekko się uśmiechając. Zamarła z na wpół wyciągniętym mieczem. Ciął błyskawicznym płytkim cięciem przez lewy bark. Poczowała ukąszenie stali i krew błyskawicznie wsiąkającą w koszulę. Nogi zjechały jej po stromej skarpie i upadła. Zanim zdążyła się pozbierać, minął ją chorąży, podobnie jak ona przed chwilą, przekonany, że to jakaś niegroźna bijatyka.

- Stój!- wrzasnęła, ale było za późno. Lann poczekał, aż Hodo wejdzie na górę, i ciął z szerokiego zamachu. Krasnolud nie zdążył wyjąć broni, siła ciosu rzuciła go na jedną z barierok. Najemnik stanął nad nim.

- Zdrada za zdradę – warknął przez zęby i wpackował mu sztych w samo serce. Yngvild krzyknęła. Arandir, który szedł za chorązym, wbiegł na schody w dwóch skokach. Elfia klinga przecięła powietrze ze świstem. Lann zablokował, ale elf był szybszy. Ostrze sięgnęło najemnika w prawy bok. Podniósł miecz, by walczyć dalej, nie zauważył jednak roweńczyka, który z twarzą demonicznie umazaną krwią wyrósł za jego plecami. Krzywa kozacka szabla zagłębiła się w jego plecach prawie po rękojeść.

Chorąży i Varthanis leżeli martwi w kałuży krwi.

Yngvild westchnęła. Powoli robiło się ciemno, za oknami więzienia – wartowni wciąż lał deszcz. Do umówionej północy było coraz bliżej.

- Musimy się stąd wyrwać – mruknął Zibbo jakby czytając w jej myślach - Musimy porozmawiać z tymi ludźmi. Ty musisz.

- Oszalałeś? – burknęła – Jeśli teraz uciekniemy, to podpiszemy wyrok. Na siebie i na oddział też.

- Prawda- opuścił głowę – Cholera, i tak nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze żyjemy. Przyłożyłem miecz od gardła oficerowi, rozumiesz?

- Wyobraź sobie, że rozumiem. Ale nie ma takiej siły, która by nas stąd wyciągnęła.... Byle Varthanisowi się udało...

Varthanis prawie wykrwawił się na śmierć. A właściwie na śmierć. Jakimś cudem, niepojętym dla niej, ze stanu śmierci klinicznej udało się go jednak zawrócić. Ale, kiedy w karczmie działo się to wszystko, nekromanta ledwie trzymał się na nogach i nie było mowy o prowadzeniu przez niego rytuału. A czas uciekał.

- Wiesz o tym, że to mało prawdopodobne...?

- Wiem.

Ciche skrzypnięcie drzwi postawiło ich na baczność. I stanął w nich ktoś, kogo się najmniej spodziewali.

- Siadać – odezwał się chorąży – Co się tak wytrzeszczacie? – dodał z uśmiechem.

- Dobrze cię widzieć wśród żywych – Yngvild też się uśmiechnęła mimo woli -Varthanis jest jednak cudotwórcą.

- Jest – przyznał Hodo – Choć zawsze sądziłem, że cuda są bardziej przyjemne – otrząsnął się z niechęcią – Ale mniejsza o mnie. Są ważniejsze rzeczy. Mamy dwie godziny do północy.

- Wiem, panie chorąży, ale my stąd nie wyjdziemy – odparła Yngvild, wyciągając z sakiewki medalion i podając krasnoludowi – Ty musisz go wziąć...

- Wychodzicie za pół godziny.

- Co...? – powiedzieli równocześnie z Zibbem – Sądziłem, że wylądujemy przed plutonem- dodał Zibbo.

- Niewykluczone, że w końcu wylądujecie – uśmiechnął się Hodo – Zwłaszcza ty, gwardzistko z wyjątkowym zacięciem do łamania rozkazów..

Yngvild roześmiała się.

- Jak przekonałeś kapitana? Szantażem...?

Hodo spowaźniał.

- Poręczyłem za was – odparł – Cokolwiek zmalujecie teraz, będzie na mnie. Więc będę was osobiście pilnował.

- Najwyraźniej nie tylko Varthanis jest cudotwórcą – uśmiechnęła się gwardzistka – Nie sądziłam, że istnieje na świecie siła, zdolna przekonać kapitana, by nas wypuścił.

Obstawiałabym raczej sąd polowy. I to przyspieszony.

- Porucznik mnie poparł – powiedział Hodo – Dorzucił coś, że gdybyście chcieli, to obaj z kapitanem już by nie żyli. No i że zrobiliście to w obronie towarzyszy z oddziału. Swoją drogą – krasnolud pokręcił głową, jakby nadal nie wierzył w to co się stało – Jak mogliście zrobić coś tak głupiego? I to akurat wy? Co wam strzeliło do głowy...?

Yngvild i Zibbo opuścili głowy.

- Nie zamierzam się usprawiedliwiać, panie chorąży – zaczęła gwardzistka – ale w pewnym momencie zrobiło się naprawdę niebezpiecznie....

Z trudem zanieśli ciała na górę. Trzech zabitych, w tym dowódca oddziału... Z tego nie będą w stanie się wytłumaczyć. Nastrój był isticie grobowy. Musieli mieć na twarzach wymalowaną isticie desperację, bo nawet cywile zaprzestali zwykłych zaczepk i żartów.

Ułożyli ciała na zewnątrz i usiedli przy stołach, próbując ustalić jakąkolwiek wersję wydarzeń. Tylko Shamaroth został na zewnątrz, w nieruchomej postawie, niczym świątynny posąg, pogrążony w milczącej modlitwie o cud. Po chwili dołączył do niego także Illima, siadając w pobliżu w medytacyjnej pozie.

Reszta długo milczała.

- No to jesteśmy w dupie – zaczął filozoficznie Zibbo, gdy cisza zaczęła być drażniąca. Krasnolud właśnie wrócił z wyprawy, do której został przydzielony jako wojskowa ochrona grupy cywilnej.

- Co ty nie powiesz... – mruknęła Yngvild pod nosem.

- Co powiemy kapitanowi? – padło w końcu na głos dręczące wszystkich pytanie – Bo śmierć dowódcy trzeba będzie jakoś wyjaśnić...

- Wszystko trzeba będzie wyjaśnić, począwszy od sprawy z giernkiem – warknęła Yngvild – Dlaczego on to zrobił, do cholery?

- Kto?

- Lann! Cholera, przecież właśnie chcieliśmy mu zapewnić bezpieczną ucieczkę...

- Nas tylko poranił – odezwał się roweńczyk – A czekał na chorążego najwyraźniej. i zabił go z premedytacją, chociaż nie musiał. Tu jakaś osobista sprawa.

- Zamierzacie to tak zostawić? – odezwał się siedzący z boku Arandir

- Co dokładnie?- zapytał Rigo – Lanna? Możemy go wskrzesić, wtedy zabiję go jeszcze raz...

Arandir powstrzymał się od ciętego komentarza. Od czasu, gdy Varthanis skomplikowanym rytuałem przywrócił go do życia, elf zupełnie zmienił podejście do ludzi. Nie, żeby stał się uprzejmy, ale w każdym razie złagodniał.

- Zawdzięczam życie temu nekromancie – odparł ściszym głosem – Chcę wiedzieć, czy zamierzacie to tak zostawić, czy może znajdzie się sposób, aby odwołać go z tamtej strony, tak jak on odwołał mnie.

- Z tą różnicą, elfie – odezwał się Gadjung – że przedtem to on prowadził rytuał wskrzeszenia, a teraz nikt z nas nie potrafi tego zrobić.

- Guzik prawda – odezwała się Candice – Ja potrafię.

Wszystkie spojrzenia powędrowały się w jej stronę. Półelfka lekko zakłopotanym ruchem odgarnęła długie włosy za szpiczaste ucho.

- Potrzebuję miejsca i spokoju, żeby móc pobrać manę.

- Co pobrać?

- Energię magiczną... – popatrzyła na Zibba z politowaniem, należnym komuś, kto nie ma pojęcia o tak podstawowych magicznych czynnościach – Potem potrzebuję kadzideł, świec, wody i pomocy przy wyznaczaniu kręgu. Przy odrobinie szczęścia uda mi się wskrzesić jednego z nich.

- Więc niech to będzie Varthanis – zaproponował Illima – Gdy on wróci, może uda mu się z kolei wskrzesić chorążego.

- Jasne – mruknął Arandir – Po obudzeniu mogłem ustać na nogach dopiero na następny dzień. Jak ty to sobie wyobrażasz?

- Elf ma rację – dodała Candice – To niewykonalne. Mogę przywrócić do życia tylko jednego z nich. Po około dobie ich dusze odejdą stąd bezpowrotnie i wskrzeszenie będzie całkowicie niemożliwe. A ja potrzebuję przynajmniej doby na regenerację sił, inaczej mnie też trzeba będzie wskrzeszać.

Umilkli, zastanawiając się nad rozwiązaniem beznadziejnej sytuacji. I pomoc przyszła z zupełnie nieoczekiwanej strony.

W karczmie od dawna nie było już pusto. Najemnicy hrabiego Rasgalena przysłuchiwali się rozmowie, która ich samych zresztą też dotyczyła. Śmierć Lanna nie uwalniała ich od zarzutów napaści na księcia Kamieńca i jego giermka, niezależnie od kierujących nimi pobudek. I zupełnie niespodziewanie okazało się, że to oni są w posiadaniu rozwiązania problemu.

Do grona siedzących w milczeniu strażników podeszła Mona i bez słowa położyła na stole szarej barwy amulet o dziwnym kształcie.

- Co to ma być...? – zapytał niepewnie Rigo.

- Amulet, proszę panów – wyjaśniła alchemiczka – To jest amulet, który miał przy sobie alchemik, odpowiedzialny za stworzenie trucizny. Rozwiązaliśmy tą sprawę do końca i wkrótce zresztą będziemy mieli odtrutkę.

- Ale co to ma wspólnego z Varthanisem...?

- Ano ma. Amulet bowiem jest magiczny i dość niezwykły – Mona tłumaczyła cierpliwie dalej – Udało się go zidentyfikować. To tak zwany „przedłużacz”...

Kilku strażników podniosło wzrok z zainteresowaniem. Mona uśmiechnęła się kpiąco.

- „Przedłużacz” życia, panowie. Noszący ten amulecik jest w stanie pobierać energię życiową od wszystkich żywych istot, z którymi się styka. Ilość energii zależna jest od długości owego kontaktu, na krótką metę jest prawie nieszkodliwa dla „ofiary”.

- Aha, czyli zakładamy to Varthanisowi na szyję i jest żywy, tak? – odezwał się Borys z entuzjazmem.

- Gdybyś chciał stworzyć nieumarłego, to owszem – zmitygowała go półelfka – Najpierw jego dusza musi wrócić do ciała, a potem dopiero można zastosować ten amulet. Ale to oznacza, że jeśli poświęcimy każdy po odrobinę własnej energii życiowej, to Varthanis będzie w pełni sił po godzinie, a nie po dobie. Co z kolei oznacza, że zdąży pomóc Hodowi, zanim będzie za późno. Pytanie tylko, czy zechcecie poświęcić odrobinę własnego życia, by to zrobić? I pytanie dotyczy także cywilów – zakończyła podniesionym głosem.

- Dlaczego nas? – zirytowała się Mija, od dłuższego czasu obserwująca dyskusję – To wy się pozarliście między sobą, dlaczego mamy w związku z tym robić cokolwiek?

- Prawda – zawtórował jej chanacki mag – Nie widzę powodu, dla którego miałbym poświęcać cokolwiek dla ratowania cesarskich żołnierzy.

- Może dlatego, szanowni państwo – odezwała się Yngvild – że Varthanis i Hodo zostali zabici z powodu awantury, w którą to wy nas wpakowaliście. Bo nie tylko Lann był odpowiedzialny za śmierć tego giermka, prawda?

- Prawda - odezwała się Mija po chwili – Ale nie wiem, dlaczego Lann zabił waszych ludzi i z całą pewnością nie była to nasza wina.

- Lann zabił chorążego, bo ten chciał całą winę zrzucić na niego – odezwał się milczący dotąd Sigbert – Również waszą winę, bo jeśli kapitan się dowie, że tam byliście, staniecie przed sądem.

- Nie dziwię się, że Lann się wkurzył – mruknął Rien.

- A ja się dziwię – odparł Sigbert – bo chorąży dał mu możliwość bezpiecznej ucieczki. Ale Lann nie skorzystał.

- Ale teraz Lann nie żyje, a problem jest nadal – rzekł Zibbo – I jest to także wasz problem.

- To prawda – westchnęła Mona – Byłam tam i czuję się współwinna śmierci tego chłopaka. Dlatego deklaruję, że pomogę.

Mija machnęła ręką.

- Niech będzie – odezwała się – Jeśli to w czymś pomoże...

Pomogło. Sporo czasu trwało, zanim Candice była gotowa do skomplikowanego rytuału. Gromadziła rozmaite składniki, rozrysowywała geometryczne wzory. Część czasu spędziła na czymś w rodzaju medytacji wewnątrz koła, na obrębie którego ustawiła wonne kadzidła. Potem rozpoczął się sam rytuał. Większości obecnych towarzyszyło niemiłe uczucie, choć większość widziała już podobny wtedy, gdy Varthanisowi udało się wyrwać śmierci elfa Arandira. Teraz sam potężny nekromanta potrzebował pomocy.

Rytuał trwał niemal godzinę i pod koniec półelfka zauważalnie osłabła. Gdy Varthanis wreszcie otworzył oczy, trudno było stwierdzić, które z nich jest bardziej osłabione. Borys na rękach wyniósł mdlejącą niemal półelfkę do karczmy i usadził na ławie. Inni wnieśli także Varthanisa. Ponieważ zbierało się na burzę, zabrano do środka także ciało chorążego, by kolejny rytuał nie odbywał się w lejącym deszczu.

Amulet alchemika okazał się działać. Założony na szyję nekromanty w sposób niemal błyskawiczny przywrócił do przytomności osłabionego maga. Po chwili Varthanis spojrzał dookoła bardziej przytomnym wzrokiem.

- Skądś was znam – uśmiechnął się – Ale po tamtej stronie było ciekawiej.

Yngvild nie miała pojęcia, jak ciekawie może być po „tamtej stronie”, ale w tej chwili w karczmie zrobiło się tak ciekawie, jak tylko na tym świecie może być. Bo w tej chwili do karczmy wpadł komendant i towarzyszący mu porucznik.

Strażnicy zerwali się na baczność, cywile umilkli w nerwowym oczekiwaniu. Zibbo, wybrany uprzednio, zajął miejsce chorążego. Kapitan spojrzał przeciągle na leżące pod ścianą ciało przykryte kocem. Oczywiście było, że leżące na zewnątrz ciało Lanna musiał zobaczyć już wcześniej.

- Siadać – zaczął tonem, który nie wróżył nic dobrego – Najwyraźniej macie mi coś do powiedzenia. Słucham. I radzę, żeby tym razem było to przemyślane.

Zibbo wstał powoli.

- Wykonaliśmy poranny rozkaz, przeszukaliśmy miejsce na Górze Kapliczce. Nikogo tam nie napotkaliśmy, nie znaleźliśmy żadnych szczególnych śladów – zaczął niepewnie, siłąc się na spokój.

- Doprawdy? Dwóch nie żyje, reszta jest poraniona – rzekł kapitan sarkastycznie – Sami się pobiliście?

- Po drodze zatrzymała nas grupa ludzi, rozbójników prawdopodobnie – Zibbo najwyraźniej starał się bardzo dokładnie dobierać słowa – Wywiązała się walka, zanim ich pokonaliśmy, część z nas została ranna. Rozbójnicy uciekli.

- Typowe dla was – warknął komendant – W tej potyczce zginął wasz dowódca? Krasnolud spojrzał niepewnie na resztę oddziału. Dostrzegł dyskretne gesty potwierdzenia i zdecydował się przedstawić ustaloną wcześniej wersję.

- Przy tej kapliczce – zaczął – Varthanis, czarodziej, rzucił zaklęcie, dzięki któremu dowiedział się, co tam się stało. I powiedział nam o tym. Dowiedzieliśmy się, kto zabił tego giermka.

- A wcześniej tego nie wiedzieliście...?

- Nie, panie kapitanie.

- Słucham więc.

- Giermek został zabity przez Lanna.

Kapitan uniósł brwi. Zapadła chwila niewygodnej ciszy.

- Słucham dalej.

- Gdy Varthanis powiedział o tym, Lann rzucił się na nas, zabił chorążego i rzucił się do ucieczki. Ale nie zdołał uciec, dogoniliśmy go i zabiliśmy.

- Lann nie był tam sam – głos komendanta był zimny jak lód – Gdzie w tym czasie był rycerz Sigbert?

Sigbert wstał. Panował nad twarzą, ale widać było, że czuje się mocno niepewnie.

- Byłem tam razem z Lannem. Zaatakował mnie najpierw i ranił, nie byłem w stanie pomóc giermkowi.

- Dlaczego nie zameldowałeś o tym?

- Panie kapitanie – odparł Sigbert po chwili ciężkiego milczenia – Fakt, że pozwoliłem się zaskoczyć temu najemnikowi i nie obroniłem giermka, był dla mnie powodem do wstydu.

Yngvild odetchnęła bezgłośnie, do ostatniej chwili nie była pewna, czy Sigbert jednak ich nie zdradzi. Ale kapitan nie zamierzał przyjmować czegokolwiek do wiadomości.

- Powodem do wstydu, powiadasz? I słusznie – warknął – To, że nie zameldowałeś o tym przełożonym i pozwoliłeś, żeby rodzice tego chłopca umierali z niepokoju, podczas gdy ty wiedziałeś że dawno nie żyje, to dopiero powód do wstydu. Powiem więcej, to powód do postawienia cię przed sądem. A tu, na pograniczu, obowiązują sądy doraźne. I jurysdykcja jest w moich rękach - głos oficera nabrał oficjalnego tonu – Sigbercie Clodian, za to, co zrobiłeś niniejszym odbieram ci tytuł szlachecki i prawo używania herbu. Nie okazałeś się godny miana rycerza i szlachcica, od dziś więc będziesz zwykłym kmiotem. Siadaj.

Sigbert pobladł. Yngvild z przeciwnej strony stołu widziała, jak zaciska szczęki i pięść na rękojeści miecza. Spojrzała na Zibba, który też z niepokojem obserwował rycerza. Kapitan mrużąc oczy patrzył na niego gotów do wyjęcia broni. Sigbert opanował się jednak i usiadł ciężko.

- Dobrze więc – głos kapitana nadal był jadowity. Yngvild zaczęła się zastanawiać, ile oficer już wie – Założmy, że wierzę, iż reszta oddziału nie wiedziała o tym wcześniej. Założmy. Ale teraz.. Straż! Dwie osoby do wejścia! – Borys i Rigo zerwali się i stanęli przy drzwiach. Kapitan kontynuował – Teraz chcę wiedzieć, co robili tam ludzie spoza Straży.

Zapadła cisza. Nad stołem krzyżowały się paniczne spojrzenia.

- Żeby uprzedzić wasze bezsensowne zaprzeczanie – stwierdził kapitan – Księżna Eledhwen ma na usługi bardzo dobrych magików. Bez problemu udało im się zniwelować działanie prostego czaru czyszczenia pamięci, którym chcieliście młodemu księciu zamknąć usta. Słucham państwa, najemnicy hrabiego Rasgalena.

Kapitan odszedł od szczytu stołu, podchodząc do grupy pobladłych lekko najemników. Zaczęli wyjaśniać sprawę trucia górników nieco bezładnie, dzięki czemu zapanował lekki hałas. Zibbo nachylił się do towarzyszy.

- Jeszcze chwila i to naprawdę skończy się sądem – syknął.

Candice wbiła w niego spanikowane spojrzenie.

- Jak pozna prawdę, każe ich wszystkich zabić.... – szepnęła.

- Możemy zabić jego – zaproponował szeptem Shamaroth. Yngvild spojrzała na niego ze złością.

- Nie dość jeszcze zabijania niewinnych osób? – warknęła.

- Wyczyszczę mu pamięć – rzekła Candice tonem osoby, którą nagle olśniło – Lepiej, niż zrobili to oni. Obydwaj z porucznikiem zapomną o całej sprawie. A my zajmiemy się Kamieńcem. Ale ktoś ich musi unieruchomić.

- Ja jestem najbliżej – szepnął Zibbo – Zajmę się porucznikiem, a ty rzucaj paraliż na kapitana.

Nie zdążyli powiedzieć nic więcej, bo podszedł porucznik.

- Cisza tutaj!

Nad cały hałas wzbił się podniesiony głos Miji Pendragon

- Nieprawda! Usiłujemy uratować ludzi, którzy umierają w kopalniach z powodu trucizny! Ludzi, za których również pan odpowiada, kapitanie! – nie miała zamiaru bać się wściekłej miny komendanta.

- Mogliście przyjść z tym do mnie! – krzyknął kapitan, wkurzony nie na żarty – Gównu mnie obchodzą wasze pobudki, wzięliście udział w morderstwie!

- Bzdura! – wrzasnęła Mija, aż kapitan cofnął się o krok – Szkoda mi było chłopaka, ale inaczej ludzie umieraliby nadal! Więc proszę nas nie oskarżać o morderstwo, bo to była konieczna ofiara!

- Konieczna... – syknął kapitan – To akurat może pani wyjaśniać jego rodzicom, panno Pendragon. Mnie obchodzi sam fakt – podszedł na powrót do szczytu stołu. Porucznik stał pod ścianą, krok od niego. I krok od Zibba – Jesteście aresztowani i zostanieie postawieni przed sądem.

- Teraz!- krzyknęła Candice. Zibbo zerwał się z szybkością, o którą nikt by krasnoluda nie posądził, przycisnął porucznika do ściany i błyskawicznym ruchem przyłożył mu do gardła ostrze miecza.

- Co to ma znaczyć? – wrzasnął kapitan, wyszarpując szablę. Półelfka wyskoczyła zza ławy i skoczyła w kierunku kapitana, skandując zaklęcie.

- Stój!- krzyknęła Yngvild, i zerwała się z mieczem w rękę, widząc, co stanie się za chwilę. W połowie zaklęcia Candice podeszła do kapitana na długość miecza. Komendant ciął błyskawicznym poziomym cięciem przez brzuch psioniczki. Słowa zaklęcia zamaryły jej na wargach. Kapitan wznosił szablę do dobijającego ciosu. Yngvild odruchowo zablokowała jego cięcie, osłaniając krwawiącą na ziemi półelfkę, ale zawahała się przed wykonaniem ataku. Oficer nie zawahał się. Silnym odbiciem odepchnął jej miecz i ciął ukośnie przez ramię Zibba. Krasnolud wypuścił miecz i usunął się na kolana. Cała scena trwała raptem kilka sekund. Yngvild zamarła z uniesionym mieczem. Ręce jej drżały.

- Co to miało być...? – wrzasnął kapitan – Rzuć miecz!

Wykonała polecenie. Rzucona na podłogę stał zadźwiczęła głucho. Kilka osób zerwało się, by opatrzeć rannych.

- Stać! – zatrzymał ich – Nikt ich nie ruszy, dopóki nie pozwolę! Jeśli natychmiast nie dowiem się, co stało się naprawdę pod kapliczką, oni się wykrwawią!

- Kapitanie...

- Mileczeń! Przed chwilą usiłowaliście zabić oficerów!

Yngvild nie poznała własnego głosu, gdy zaczęła mówić:

- Gdybyśmy chcieli pana zabić, zrobilibyśmy to – rzekła cicho – Chcieliśmy obronić towarzyszy...

Kapitan wbił w nią pełen pogardy wzrok.

- I ty to mówisz, osoba, która w swojej krótkiej karierze zdążyła okryć się hańbą wraz z resztą gwardii? Ty, którą przesłuchiowano w sprawie zabójstwa cesarza. Ty chcesz jeszcze kogoś bronić? Czekaj cię szafot. Oni nadal się wykrwawiają! – dorzucił podniesionym głosem.

Zaczęli mówić. Powoli i nieskładnie. Ale wszystko po kolei. Pominęli tylko szczegóły dziwnej potyczki w wąwozie. Kapitan słuchał bardzo uważnie i po raz pierwszy powstrzymał się od kpiących komentarzy.

- To co zrobiliście – rzekł w końcu spokojniejszym głosem – zasługuje na natychmiastowy sąd polowy. I tak też zapewne się stanie. Tymczasem związać ich – rozkazał strażnikom – i odprowadzić do wartowni. Dowodzenie obejmuje Kulbert.

Strażnicy spojrzeli po sobie zdziwieni. Kulbert był nowy w oddziale, w dodatku nie było tajemnicą, że przeniesiono go na prowincję z powodu picia na służbie. Yngvild zaczynała rozumieć, skąd kapitan miał tak dużo informacji.

- Niniejszym awansuję go do stopnia chorążego. Opatrzyc rannych.
Pochylili się nad leżącymi. Candice już nie żyła.

Deszcz lał jak z cebra. Wewnątrz malutkiego myśliwskiego domku zachęcająco trzaskało ognisko. Na zewnątrz kopyta zamłaskały w miękkiej od deszczu ziemi. Zakapturzona postać, grzejąca się przy ogniu, wstała powoli z niskiej ławy. Wiedziała, że straż czuwająca w ukryciu wokół chatki, nie przepuści nikogo niepożądanego. Ale i tak położyła dłoń na rękojęści ozdobnego sztyletu. Drzwi chatynki otwały się i wszedł mężczyzna otulony w czarny, ociekający wodą płaszcz. Ukłonił się w wejściu. Spod płaszcza ukazał się srebrzysty medalion w kształcie stylizowanego trójpromiennego słońca. Zakapturzona zdjęła płaszcz. Była to kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, odziana w ciemnozieloną aksamitną suknię. Delikatny makijaż podkreślał jej ogromną urodę, gładko zaczesane ciemne włosy zdobił wążutki diademik, a palce - liczne pierścienie.

- Spóźniłeś się – odezwała się pierwsza dźwięcznym, ale chłodnym głosem.

- Przybyłem później – odparł mężczyzna zdecydowanym głosem – Mów, pani, po co chciałaś się spotkać.

Kobieta usiadła, najwyraźniej delektując się jego niecierpliwą ciekawością.

- Wczoraj został zabity jeden z moich ludzi, giermek mojego syna – zaczęła po chwili.

- Jakie to ma znaczenie ...- zaczął mężczyzna, ale przerwała mu ostro.

- Wysłuchaj do końca, zanim zaczniesz doszukiwać się znaczenia. Jego śmierć nie jest istotna, wkrótce zginie wiele więcej. Ale na miejsce wysłałam dziś mały oddział. Oddział ten przypadkiem natrafił na grupkę oberwańców, najwyraźniej wyjętych spod prawa. Moi ludzie rozpoczęli atak, a tamci zamiast uciec, zaczęli zacięcie bronić przejścia. Człowiek, który nimi dowodził, nosił pewien pierścień.

- Wielu nosi pierścienie...

- Ale taki pierścień jest jedyny. Błękitna gemma z białym rysunkiem kobiety...

- Eithel dar Nirna! – mężczyzna zerwał się, chłodna obojętność zniknęła z jego twarzy –
Więc tutaj się skrył!

- Usiądź, nie skończyłam – uspokoiła go kobieta – Tak, z opisu moich ludzi sądząc, to był dar Nirna we własnej osobie. Jednak nie on był tym, którego oddział usiłował chronić. Jeden z moich ludzi ranił z łuku jednego z nich. Ów z pierścieniem wówczas krzyknął „Chronicie cesarza!”, zasłonił go i oberwał podobno drugą strzałą.

Mężczyzna w czarnym płaszczu wbił wzrok w twarz kobiety, mrużąc oczy.

- Co ty mi usiłujesz powiedzieć, Eledhwen? – zapytał w końcu po dłuższej chwili milczenia – Że Justyn, w którego pogrzebie sam uczestniczyłem, żyje...?

- Usiłuje ci powiedzieć, co wiem. Doceń to – odparła spokojnie kobieta – Moi ludzie wycofali się stamtąd, bo z przeciwnej strony nadszedł oddział Straży.

- Kto o tym wie?

- Gdybym chciała aby wszyscy wiedzieli, powiedziałabym o tym na spotkaniu Braterstwa. Ale to jest przeznaczone dla twoich uszu. Jeśli to przez przypadek okaże się prawdą... – zawiesiła głos – to znaczy, że spartaczyliście robotę. A on musi zginąć. Zrozum jedno – głos kobiety przeszedł w ton groźby – wszystko co robię, robię dla Amaveta, jeśli nie zapewnisz mu korony, zdradzę cię bez wahania. Rozumiesz?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Zawsze rozumiałem. Ale jeśli to jest prawda, to znaczy, że mamy problem. I to większy, niż Draig-a-haearn.

- Rozwiąż go więc. Zanim hordy Złotego Lisa tu wtargną, bo wtedy nic nie będziemy w stanie zrobić.

- Hordy nie ruszą ani Kamieńca, ani Zakonu, Eledhwen. Armie podejną pod Styragrad, zniszczą miasto i wszystko co im stanie na drodze. Wtedy twój syn, z Żelaznym Smokiem w ręku, zniszczy ich, a nad resztkami obejmie władzę Złoty Lis, wybawca resztek swojego ludu. I pośle obecnego wodza do diabła w jakiś wyszukany sposób, bo niczego innego nie pragnie bardziej.

- Tego, który nosi kły – szepnęła kobieta w zamyśleniu.

- Proszę, znasz i przepowiednię Najstarszych. Ich też w końcu dopadnę. Ale póki co, jutro wydobędę artefakt.

- Tak...? – zapytała przeciągle – Przecież nie masz medalionu.

- Nie mam. Ale wiem kto ma. Medalion i wszystko inne, by obudzić smoka.

- Doprawdy, nie rozumiem. Dlaczego nie odebrałeś medalionu, kiedy miałeś w ręce tą kobietę...

- Ja nadal mam ją w ręce. Tylko na smyczy. Nie miała go przy sobie. Odczytaliśmy wszystko, o czym wiedziała. Wszystko łącznie z tym, jak cesarz dał jej medalion. Ale nie zdołaliśmy odczytać tego, co z nim zrobiła. A to gwardyjska szkoła, nie powiedziała by nic.

- Jasne - fuknęła kobieta – Gdy już dobędziesz Smoka, daj mi te gwardzistkę, pokażę ci, jak wydobywa się informacje z ludzi. A najlepiej daj mi kogoś, na kim jej zależy.

Mężczyzna spojrział na nią wzrokiem pełnym szacunku mieszanego ze wstrętem.

- Żegnaj, pani – rzekł po chwili – Muszę wracać do obowiązków. Za dwie noce tam gdzie zwykle, do zobaczenia.

Uklonił się oszczędnie i wyszedł. Kobieta, Eledhwen dar Kirian, księżna kamieniecka, usiadła na powrót przy ogniu. W zamyśleniu wyjęła strzałę z opartego o ławę kołczana. Przyjrzała się jej z uśmiechem. Blisko lotek widniał wypalony znak. Stylizowany herb Rasgalenów.

Wyruszyli przed północą, w lejącym deszczu. W komplecie o dziwo. A nawet więcej niż w komplecie, bo zupełnie niespodziewanie dołączył do nich Rien. Rien był zawodowym nauczycielem szermierki i trzeba było przyznać, że miał spore umiejętności. Nie chciał jednak oddać swego miecza na usługi Cesarstwa. Yngvild zdziwiła się, gdy poprosił o pozwolenie na udział w tej wyprawie, a jeszcze bardziej zdziwiło ją to, że chorąży mu na to pozwilił.

Reszta oddziału była w różnej kondycji, ale była, co zważywszy na popołudniową sytuację, zakrawało na cud. Yngvild zastanawiała się, jaki wpływ na to wszystko miał Shamaroth, który spędził dobrych kilka godzin na medytacji i modlitwie. Nie była w stanie ocenić stopnia wpływu sił nadprzyrodzonych na wydarzenia, ale fakt, że bez problemów udało się przywrócić do życia Varthanisa, przywrócić mu siły, nekromancie zaś również bez problemów udało się odwołać zza świątów Hoda, już był zastanawiający. A potem jeszcze Varthanis podjął się odprawienia rytuału wskrzeszenia półelfki, która po ciosie kapitana wykrawała się na podłodze karczmy. Nekromanta, zastanawiając się nad tym, przyznał otwarcie, że właściwie nie zdarza się, aby jednym i tym samym miejscu dość było energii magicznej, aby wskrzesić trzy osoby.

„Cóż” – pomyślała gwardzistka patrząc spod krawędzi kaptura na krasnoludzkiego kapłana „Niewykluczone, że potrafi dużo więcej, niż obłędna i bezsensowna szarża na wrogów”.

Szli dwójkami przy migotliwym świetle pochodni. Przestało padać, ale przy każdym potrąceniu gałązki lały się na nich strugi chłodnej wody. Na szczęście było ciepło. Ze stoków zaczęły unosić się białe opary, nadając okolicy niesamowity wygląd.

Pierwszy szedł Arandir, kryjąc się poza obrębem światła pochodni, które raziło go w oczy. Elf doskonale orientował się w terenie i szedł właściwie „z pamięci”, z rzadka wspomagając się mapą. Szedł tak cicho, że Yngvild, idąca za nim, w nocnej ciszy lasu nie słyszała jego kroków.

Doszli nad urwisko, u stóp którego rozciągał się znany im wąwóz. Zeszli powolutku wąziutką zwierzęcą ścieżką w poprzek stoku, pilnując każdego stąpienia. Każdy nierozsądny krok mógł skończyć się kilkunastometrowym lotem w dół. W połowie ścieżka zaniknęła na dobre i dalej zeszli na przełaj przez zarośla. Wyszli dokładnie w miejscu, gdzie Szlak Zębaty wchodził pomiędzy skaliste ściany. Yngvild z uznaniem skłoniła głowę w kierunku Arandira. Elf uśmiechnął się lekko.

Przed wymarszem rozważali dość długo ryzyko wpakowania się w zasadzkę. Słuszne argumenty głosiły jednak, że gdyby grupa banitów chciała ich pozabijać, zrobiliby to wtedy podczas bitwy. Dlatego też zrezygnowali z podejścia z obydwu krańców wąwozu i zdecydowali się iść główną drogą, zgodnie z wcześniejszą umową. Nie zmniejszało to jednak ani trochę faktu, że wszyscy byli przygotowani na ewentualność zasadzki.

- Dwóch na górę – zarządził szeptem chorąży – Arandirze, cichcem na przód, Zibbo – tylne straż.

Ruszyli, skupieni i gotowi na atak. W pełnym wysokich zarośli wąwozie niesione pochodnie bardziej przeszkadzały niż oświetlały teren, niewiele więc widzieli poza kręgiem światła. Podłoże, pełne luźnych odłamków łupkowej skały, nie pozwalało iść cicho. Mogli zatem domyślać się, że łatwo będzie ich zaskoczyć, tym niemniej podskoczyli wszyscy na dźwięk zwykłego:

- Witajcie.

Z osłoniętej krzakiem leszczyny wnęki skalnej, którą pierwsze osoby już minęły, wyszedł na ścieżkę zakapturzony mężczyzna. Otulony był w ubłocony i zużyty płaszcz burej barwy. Zanim zrozumieli, że jest sam, wszyscy niemal zdążyli wyciągnąć miecze. Jak duch spod ziemi wyrósł za nim Arandir, światło pochodni błysnęło na ostrzu elfickiej szabli. Złość malująca się w oczach elfa świadczyła, że nawet on minął to miejsce, nie zauważywszy intruza.

- Opuście broń – poprosił cicho banita – Mam was gdzieś zaprowadzić.

Nie czekając na ich odpowiedź, ani na wykonanie prośby, odwrócił się i kilkoma zwinnymi ruchami wydostał się na górę skalnego wału. Spojrzeli po sobie. Hodo, któremu tarcza wcale nie ułatwiała sprawy, ruszył zaraz za przewodnikiem.

Czekała ich długa droga przez mokry od deszczu las. Przewodnik najwyraźniej kluczył i plątał drogę, prowadząc ich zygzakami, raz z góry, raz pod górę. Wreszcie grząskim korytem strumienia zeszli na dno doliny.

- Dym – szepnął Arandir. Rzeczywiście, po kilku kolejnych minutach zobaczyli światła ognisk. Przewodnik wprowadził ich w środek liczego obozowiska. Yngvild zdążyła rozpoznać kilku spośród kręcących się przy ogniskach ludzi. Przy głównym ognisku rozłożony był prowizoryczny namiot, reszta obozowiska również wyglądała tak, jak gdyby nocujący tu ludzie mieli rankiem natychmiast stąd odejść. Policzyła szybko tych, których mogła dostrzec, było ich trzynaścioro. Na powitanie wyszedł ów brodaty herszt, który rozpoznał jej medalion. Medalion cesarski, poprawiła się w myślach. Przewodnik podszedł do niego.

- Co z nim? – szepnął z troską w głosie. Herszt opuścił głowę.

- Zdążyliście w ostatniej chwili. Witajcie – odezwał się do stojących lekko niepewnie na ścieżce strażników – Ty tutaj dowodzisz? – zwrócił się do Hoda. Krasnolud skinął głową – Podejdź więc. I ty też, nosząca medalion. Właściwie, wszyscy podejdźcie.

Podeszli posłusznie do niewielkiego namiociku. Na posłaniu z futer leżał blady jak ściana młody mężczyzna. Rozrzucone obok bandaże i opatrunki świadczyły o tym, że przyczyną jego stanu jest rana. Gdy podeszli, mężczyzna otworzył oczy. Na dłoni, spoczywającej na futrzanym przykryciu Yngvild dostrzegła pierścień z dużą błękitną gemmą. Widziała już kiedyś ten pierścień. Przyjrzała się uważniej twarzy mężczyzny, ale jej zastanawianie przerwał on sam.

- Jestem Eithel dar Nirna – szepnął z widocznym trudem.
- Pamiętam cię, panie – powiedziała Yngvild przyklękając przy posłaniu – Widywałam cię w Styragradzie.
- To było dawno – głos mężczyzny łamał się i zanikał, więc z trudem rozróżniali słowa – Cesarz Justyn był moim przyjacielem.... Wpadłem na trop spisku...Ale byli zbyt potężni. Zostałem wrobiony w bzdurne zarzuty... i skazany... na śmierć. Cesarz mnie ulaskawił, ale skazano mnie na wygnanie....
- Jak możemy ci pomóc, panie? – zapytał Hodo, nachylając się nad rannym.
- Nie możecie...- szepnął ten w odpowiedzi – Oni mają swoich ludzi wszędzie, na najwyższych stanowiskach w kraju.... Dano ci medalion – zwrócił się do gwardzistki – abys wydobyla artefakt... i uratowała Smoka....
Yngvild opuściła głowę.
- Zrobiłam, co było w mojej mocy – szepnęła.
- Ale czego ci nadal brakuje – odpowiedział. Sięgnął pod posłanie i wydobyl niewielki kawałek papieru, złożony i zapieczętowany. Na laku widniał cesarski herb ze smokiem – To jest to, czego nie masz, a co powierzono mnie... Jest tu też treść pewnej przepowiedni. Przeczytaj ją uważnie, bowiem zaczęła się sprawdzać.... – mężczyzna przerwał i zaniósł się kaszlem. Stojący obok brodacz i jakaś kobieta pochylili się, by podać mu wody – Pospieszcie się – szepnął jeszcze.
- Jak możemy pomóc tobie? – odezwała się Yngvild niepewnie – Trzeba leków? Opatrunków?..
Mężczyzna nie odpowiadał. Kobieta stojąca u wezglowia uklęknela i pochyliła się nad nim. Gdy się podniosła, miała oczy pełne łez. Pokręciła głową patrząc na brodacza. Ten westchnął.
- Już nie możecie mu pomóc. Nie żyje.
- Jak to się stało? Kto...? – zapytał stojący u wejścia do namiotu Rigo. Brodacz popatrzył na niego, jak na kogoś, kto nie wie oczywistych rzeczy. Schylił się i podniósł z za poły namiotu ułamany kawałek strzały. Miała czerwone pierzaste lotki i stylizowany znaczek, wryty na drzewcu. Herb Rasgalenów. Rien rozpoznał go natychmiast, a jego mina świadczyła o zdziwieniu i zmieszaniu.
- Zginął od strzały – powiedział brodacz to, czego już się domyślili – Takiej. Zbrojni, z którymi się starliśmy, strzelali z takich strzał.
- Dlaczego? Jaki konflikt jest między wami a ludźmi hrabiego? – zapytał Hodo. Herszt westchnął.
- Macie w rękach medalion, od którego zależą losy Styrii, a tak mało wiecie. Eithel powiedział wam o spisku, którego ofiarą padł niegdyś. Tutaj, w tych górach, w których ukryto Żelaznego Smoka, są również. A może raczej, zwłaszcza tutaj. Resztę dopowiedzcie sobie sami. Byliście na tym forcie?
Popatrzyli na siebie z zakłopotaniem.
- Mieliśmy pewne problemy... – powiedział w końcu chorąży – CO zatem jest na tym forcie?
- To miejsce, gdzie się spotykają. Czasem. Powiadomię was, kiedy zechcą się znów zebrać. Ale nie próbujcie rozwiązać tego mieczem, są dużo potężniejsi, niż możecie sądzić. A teraz... wybaczenie – westchnął znów – mamy pewien przykry obowiązek do spełnienia. Góry Srebrzyste bogatsze będą o jeden grób...
- Jesteśmy wdzięczni za informacje. Może możemy dopomóc...
- Proszę wybaczyć, panie chorąży, ale wolimy pozostać we własnym gronie. Przed wami ważniejszy dużo obowiązek, jutro ważna noc.
- Wiemy – kiwnął głową krasnolud – Powiedz tylko, jak mamy się stąd wydostać... Wasz przewodnik trochę skomplikował drogę...

Odprowadzono ich z powrotem na leśną drogę, ten sam banita, który przyprowadził ich do obozowiska, ruszył z nimi w las, wciąż mokry od deszczu. Wszyscy byli już tak przemoczeni, że bagnisty strumień, którego korytem poszli, nie zrobił na nich żadnego wrażenia. Przewodnik wskazał drogę wzdłuż strumienia, nakazując znaleźć wejście do tunelu, i zawrócił. Chcąc nie chcąc ruszyli w górę, ślizgając się na błotnistej stromiźnie. Tunel rzeczywiście ukazał się ich oczom po kilkuset metrach. Ale wejście do niego było raczej rozmiarów psa, niż człowieka.

- Pięknie...- mruknęła Yngvild. Każdy kolejny podchodzący do tunelu powielał jej komentarz z mniej lub bardziej wulgarnym zabarwieniem. Ale przed nimi był zupełnie nieznan teren i stromy, błotnisty stok.

Przeprawa zajęła im dobrą godzinę. Yngvild poszła pierwsza, wnosząc pochodnie, które zapaliła w środku. Potem wnieśli tarcze i broń. W końcu udało się i wszystkim wojownikom przedostać wąziutkim przejściem. Ostatni z tunelu wydostał się Zibbo, tarmosząc ciężką tarczę. Z sapaniem i stękaniem wylazł na powierzchnię.

- Prawie jak orgazm....- sapnął. Yngvild nawet nie próbowała tłumić śmiechu, ruszając dalej do góry. Po dłuższej chwili marszu znaleźli się na powrót na znajomej ścieżce, którą zeszedli nad wąwóz. Do strażnicy było już niedaleko.

Wreszcie zasiedli na powrót w karczmie. W obozie czuwała już tylko warta. Hodo bez słowa położył na stole otrzymane od banity zapieczętowane pismo. Złamali cesarską pieczęć i rozłożyli kartkę. Ze środka wypadła druga karteczka, zapisana pięknie kaligrafowanym pismem. Shamaroth zaczął czytać.

*bicz boży nad wami
jak falą powodzi zaleją nasze ziemie
poprowadzi ich kły noszący
słońcem was spalą
sprzymierzą się z lisem by kąsać smoka
a lis z nimi by kąsać swoich
w dniu gdy smok upadnie
łza szukać będzie łzy
gdy miecze zostaną złamane
bliski bliski koniec smoczego władania*

- Przepowiednia Najstarszej... – odezwał się Rien. On jako jedyny w tym gronie był u tajemniczej Czuwającej.

- I zaczęła się sprawdzać...

- Smok upadł... – szepnęła Yngvild – a miecze zostały złamane. Medalion ma kształt łyzy – odezwała się głośniejszym głosem – a nam zagraża słońce Indry. To już się dzieje....

Zamilkli. Wciąż nie znali miejsca ukrycia Draig-a- Haearna. Wciąż nie mieli elementów potężnego rytuału, który miał go obudzić.

- Wezwanie Żelaznego Smoka, zaklęcie wg zasad magii Akademii Arhebar...- Arandir odczytał na głos fragment drugiego arkusza. Varthanis poderwał się i wyrwał mu papier. Błyskawicznie przeleciał wzrokiem treść.

- Zaklęcie wydobywania! – powiedział podekscytowany – Zaklęcie dla rasy ludzkiej, by wydobyć na powierzchnię Żelaznego Smoka. A więc mamy wszystkie!

Arandir i Shamaroth skinęli głowami. To oni byli w posiadaniu zaklęć starszych ras, rasy te przysłały ich tu bowiem, by uchroniły artefakt przed zachłannością tych, którzy nie mieli do niego prawa. Yngvild wołała na razie nie myśleć, jakie rozkazy otrzymali obydwaj w kwestii artefaktu i co zamierzają zrobić, gdy Draig-a-Haearn będzie już w ich rękach. Na razie należało go wydobyć. A termin był jutrzejszej nocy/

- Więc mamy już wszystkie zaklęcia?- zapytała – Pozostaje tylko znaleźć miejsce...

- Prawie już znamy miejsce – odparł Borys – U Obieżyświata zamówiliśmy mapę. Powinna być na jutro. Droga była...

- Oddam wam... – westchnęła gwardzistka – Względnie odda wam przysły cesarz – dodała cichutko, tak by najemnicy nie usłyszeli.

- Dobrze więc – odezwał się tonem głównodowodzącego Varthanis – Do jutra każdy z was, panowie – zwrócił się do Shama i Arandira – ma znać inkantację na pamięć razem z gestami. Ja zajmę się wszystkimi akcesoriami. Wyruszamy wieczorem, choćby nie wiem co.

Arandir wzruszył ramionami.

- Lasto beth lammen! Angren Lhug Draig – a – Haearn... zaczął recytować elf – Znam już inkantację – zakończył – A co jeśli wasz dowódca jednak znajdzie nam zajęcie na jutro?

Hodo zagryzł wargę.

- Wtedy będziemy się zastanawiać. Na razie – spać też trzeba. Do namiotów.

Po chwili w karczmie zostało raptem kilka osób. Rien usiadł przy stole, naprzeciw Hoda.

- Panie chorąży – zaczął – Doceniam i dziękuję za zaufanie, którym mnie pan obdarzył, zabierając na tę wyprawę – Hodo kiwnął głową – Dużo się dowiedziałem, ale jest jedna rzecz...

- Domyślam się – odparł krasnolud – Hrabia Rasgalen...

- Nie znam hrabiego i nie zamierzam za niego ręczyć – rzekł poważnie szermierz – Ale wicehrabia Fein... Nie wierzę, że bierze w tym udział... Naprawdę za niego mogę poręczyć...

- Ja też nie wiem, że wicehrabia mógłby w tym maczać palce – odezwała się niespodziewanie Yngvild.

Hodo spojrzał uważnie na Rien, ale dostrzegł tylko szczerłość. Przynajmniej tak sądził.

- Wierzę. Ale mimo wszystko... Proszę zachować to dla siebie...

- Nie mogę tego panu obiecać – odparł szermierz wprost – Wobec wicehrabiego wiąże mnie słowo.

Po wyjściu Rien zostali w karczmie w czwórkę, Zibbo, Arandir, Hodo i Yngvild. Gwardzistka położyła na stole zwinięty kawałek papieru.

- Omus wykonał nasze zlecenie – uśmiechnęła się – Chociaż teoretycznie może nie być już potrzebne.

- Jesteś tego pewna? – powiedział Zibbo – Sądzisz, że nasz chanacki przyjaciel nie wywinie nam żadnego numeru?

No właśnie, chanacki przyjaciel. Abel, mag z dalekiego południa. Nie od dzisiaj wiedzieli, że miał konszachty ze skórojadami po drugiej stronie granicy. Nie wiedzieli tylko, czy powiedział im całą, albo choćby część prawdy. Bo właściwie też i dlaczego miałby. A przecież z łatwością mógłby przekazywać barbarzyńcom informacje, mógłby bez trudu wpakować ich w zasadzkę. Co prawda, gdy dowiedzieli się, czego Abel szuka na pograniczu, przyczepili mu ogon w postaci Arandira. Ale jednak elf nie mógł chodzić za chanem zawsze, czego najlepszym dowodem była sytuacja podczas polowania na sylwana, kiedy to Abel po prostu oddalił się na chwilę niezauważony. Kilka dni temu zamierzali więc zastawić na śniadoliciego czarodzieja pułapkę. Zdobyć podpis i pieczęć hetmana. Wystawić rozkaz informujący o jakiejś rzekomej arcyważnej przesyłce. I czekać. Omus wykonał dla nich pieczęć i podpis na czystej kartce. Ale w międzyczasie udało im się poczęstować Abła mikstura prawdomówności alchemiczki Mony. Oświadczył, że nie jest zdrajcą.

- Oczywiście, że nie jestem pewna – odparła – Oczywiście, że przy panującym wtedy zamieszaniu chan mógł nawet nie przełknąć tej cholernej mikstury. Ale z drugiej strony...

- Yngvild, nie ma drugiej strony – powiedział Hodo zdecydowanie – Pojutrze idziemy wydobyć coś, na czym ważą się losy Styrii. Chcesz ryzykować?

Opuściła głowę.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale tak na dobrą sprawę, nie wiesz nawet, komu we własnym oddziale możesz zaufać.

Hodo spojrzał po twarzach obecnych.

- Wam mogę – oświadczył z rozbrajającą szczerością – Ale wiem, do czego zmierzasz i masz rację. Jeśli mamy wybierać się po artefakt, czas sobie nawzajem zaufać. I wyeliminować tych, którym ufać nie można. Hrabia Rasgalen ma jeszcze miksturę.

Fein Rasgalen prawie płakał, kiedy Hodo tłumaczył mu konieczność użycia jego drogo zakupionej mikstury. Ale w końcu dał się przekonać. Usiedli wokół ogniska w wartowni. Jeśli jednak chcieli posłużyć się eliksirem w małej grupie... to im nie wyszło.

Ustalili precyzyjne pytania, każdemu sprawdzanemu zabierali broń i zapobiegliwie uniemożliwiali ucieczkę. Zaczęli oczywiście od własnego grona. Nikt nie przyznał się do zdrady czy działania przeciwko drużynie. A wtedy nawinął się chan.

- Siadaj i pij – rozkazał chorąży, gdy zabrali mu sabere – Uważać na jego dłonie, to mag. Słuchamy. Co robisz na pograniczu?

Czarodziej spojrzał mu śmiało w oczy.

- Mogłem ci to powiedzieć bez eliksiru. Przysłano mnie tutaj.

- Kto?

- Mój władca.

- Po co?

- Aby nawiązać kontakt ze szczepami barbarzyńców, które nazywacie skórojadami. Aby zawiązać z nimi sojusz i zniszczyć Styrię.

Zapadła długa cisza. Yngvild wstała powoli i wyciągnęła miecz.

- Podaj mi jeden powód, dla którego miałabym cię teraz oszczędzić, chanie – warknęła.

- Podam ci więcej niż jeden. Bo nie nawiązałem owego kontaktu, gdyby nie to, żaden eliksir by tego ze mnie nie wydobył. Bo w obecnej sytuacji jestem po waszej stronie. Bo w danej chwili jestem wam potrzebny.

- A kiedy już wydobędziemy artefakt? Co zrobisz?

- Nie wiem – odparł rozbrajająco – To co będę musiał i mógł zrobić. Z pewnością dowie się o nim mój władca.

- O ile zdołasz stąd wyjechać.... – warknęła gwardzistka, ale odsunęła ostrze od jego twarzy. Chan rzeczywiście mógł na razie być przydatny. Poza tym, na razie nie był winien żadnej zdrady, a zabicie kolejnego cywila nie byłoby szczególnie mądrym posunięciem. Puścili więc maga.

Ona sama była ostatnia spośród przesłuchiwanym. Wypiła łyk i poczuła rozchodzące się po ciele ciepło. Wyjęła miecz i oddała chorążemu. Zaczęli pytać. Nie, nie zdradziła drużyny. Nie wiedziała, co powiedziała na przesłuchaniu w komandorii zakonnej. Nie, nie zabiła cesarza. Tak, historia otrzymania przez nią medalionu jest prawdziwa.

- Czy w przyszłości zamierzasz zdradzić drużynę?

Spojrzała po twarzach.

- Tak – odpowiedziała, sprawiając, że kilka ostrzy skierowało się w jej stronę – Jeśli tylko zwrócicie się przeciwko Cesarstwu, zdradzę was bez wahania.

Zabiegi z eliksirem prawdy tylko w niewielkim stopniu poprawiły stopień zaufania w oddziale. Nadal ufała sobie wąska grupka osób. A i w tej grupie, w obrębie oddziału zaufanie miało swoje granice. Tym niemniej chwilowo wszelkie animozje i podejrzenia zostały odłożone na bok. W nocy bowiem mieli obudzić smoka.

A w dzień zjawił się Neil. Neil był tropicielem, zwiadowcą, traperem i diabli wiedzą czym jeszcze. Ale nade wszystko Neil był łucznikiem i to zawołanym. A potem pokazał co potrafi w turnieju szermierczym.

Turniej trwał właściwie cały dzień, ogłaszany był od dłuższego czasu. Obiecaną nagrodą był elegancki miecz, fundowany podobno przez hrabiego Rasgalena. Yngvild i Hodo wystartowali więc, licząc, że ewentualne zwycięstwo pozwoli nieco wzbogacić fundusze oddziału, które były opłakane. Zwłaszcza po tym, jak kapitan anulował wypłatę żołdu po wczorajszej awanturze. Wspomaganie się nawzajem w turnieju nie pomogło, umiejętności rywali

były zbyt wysokie. Nagroda przeszła koło nosa, wędrując do kieszeni Neila, który wygrał w wielkim stylu. Choć Yngvild i Hodo zgodnie uznali, że przydałby się taki w oddziale, Neil nie zamierzał jednak oddać swego miecza ani łuku na usługi Cesarstwa.

Cały dzień lało.

Wyszli wieczorem, spodziewając się czterogodzinnego marszu. Wyszli w mieszanym składzie, bowiem osoby z grupy cywilnej wyraziły zainteresowanie, przejęcie i chęć pomocy. I zgodziły się w przypadku ataku podporządkować rozkazom. Wokół owego podporządkowania wyniknęła cała awantura, podsycona pogardliwie rzuconym przez Hoda pod adresem cywili określeniem „plebs”. Mija Pendragon, niespodziewana rzeczniczka interesów wicehrabiego, nie zgodziła się przyjąć komendy krasnoluda. Nie zgodziła się z łomotem i hałasem, mniej czy bardziej słusznie, ale w rezultacie spora grupa osób zdecydowała się zostać w obozie.

Wyruszyli w czternaście osób. Arandir wziął na siebie trud znalezienia drogi przez mokry od deszczu las. Po dłuższym czasie wyszli na polne drogi, na których utknęli w błocie po kostki, a nieraz wyżej. Deszcz padał cały czas. Niebo było ciężkie od ołowianych chmur, wiszących niziutko nad horyzontem. W oddali, niczym dumna twierdza, wznosiła się ponad równiną samotna góra. Masyw Smoczy Grzbiet, cel ich wędrówki. Po ponad godzinie minęli sporą osadę. Za nią trafili na brukowany trakt, który doprowadził ich pod sam niemal masyw. U jego stóp minęli sporą faktorię handlową. I to był koniec łatwych dróg.

Masyw Smoczy Grzbiet pocięty był drózkami i ścieżkami, które nic wspólnego położeniem na mapie nie miały. Kilkakrotnie więc zagłębiali się w las, bo Arandir był pewien, że to właśnie jest ta właściwa. NO, albo prawie pewien. Gdy po raz kolejny, po dłuższym marszu w mokrej trawie, ścieżka zaczęła skręcać w niewłaściwym kierunku, elf przystanął i zaklął głośno. Jako, że rzadko to robił, spojrzeli na niego zdumieni.

- Co się gagicie – mruknął – Na tej cholernej mapie Obieżyświata nic się nie zgadza. Szlag mnie trafi. Jesteśmy prawie u celu, a od ponad godziny błądzimy po masywie. Jak tak dalej pójdzie, nie zdążymy.

Rozłożyli mapę na tarczy Hoda, elf osłonił ją płaszczem od deszczu. Usiłowali przeanalizować narysowane tam drogi, ale rzeczywistość nijak miała się do rzeczywistości.

- A w cholerę z taką mapą – odezwał krasnolud – Wracajmy do głównej drogi.

- Czemu niby?

- Moja kobieca intuicja – uśmiechnął się chorąży – tak właśnie mi podpowiada.

Arandira żart najwyraźniej nie rozbawił. Za to innych owszem.

- Wiesz co – burknął elf – Tą twoją intuicję należałoby chyba przywiązać do drzewa i przesłuchać, bo coś za dużo wie. Może jak przypalimy jej pięty, to powie nam jak trafić...

Ale okazało się, że intuicja chorążego niespodziewanie miała rację. Wróciwszy do drogi, weszli w następną ścieżkę. I teren wreszcie zaczął przypominać ten właściwy. Ścieżka zrobiła się węższa, obok niej pojawił się strumień. Poszli wzdłuż niego.

Zapadający zmrok zmusił ich do zapalenia pochodni. I jak zwykle przestali widzieć cokolwiek poza obrębem światła. Ale po kilkudziesięciu metrach ich oczom ukazało się niewielkie jeziorko. Jego brzegi były zarośnięte trzinami. Czarną taflę marszczyły drobne krople deszczu. Nad powierzchnią wody unosił się delikatny opar, nadając miejscu nieco niesamowitości. Ruszyli w milczeniu wzdłuż brzegów.

- Patrzcie – odezwała się Candice, która szła pierwsza. Stała nad niewielką kamienną płytą. Na płycie wyryty był znany im już znak Czuwającej i jej imię – Iath. Znaleźli.

Już po kilku minutach w przemoczonych ubraniach zaczęli się trząść z zimna. Chwilowo więc kwestia przetrwania przysłoniła ratowanie Cesarstwa i zarządzono rozpalenie ogniska. Poszukiwanie rozpałki dało także dodatkowy pretekst dla przeszukania okolicy. Kilka osób zostały wyznaczonych do wartowania na prowadzących do jeziorka drogach.

Tymczasem Varthanis, Sham i Arandir zaczęli kreślenie kręgu. Nakreślone solą linie dziwnym trafem nie rozpuszczały się w deszczu. W wyznaczonych miejscach ustawili świece.

Za znak smoka posłużył karwasz ze znakiem Straży. Wreszcie przyszło do wyznaczania osoby, która pełnić będzie rolę przeznaczoną dla cesarza.

- „Kto z rąk cesarskich wziął medalion i w ręce cesarskie go odda” – przeczytał Shammoth – Wypada, Yngvild, że to ty.

- Kuszące- odparła z przekąsem – Ale ja nie mam żadnego prawa reprezentować cesarza. Wystarczy mi, że podejrzewa się mnie o zabicie ostatniego cesarza, nie chce jeszcze podejrzeń o jakieś ciagotki do tronu.

- Więc powinien to być najwyższy stopniem wojskowy – odezwał się Varthanis – Logicznie rzecz biorąc, zgodnie z prawem to on jest najbliższym cesarskiego tronu. Hodo?

- Nie chcę się wtrącać – wyszczerzył się Illima – Ale to chyba chodzi o człowieka, a chorąży jest krasnoludem...

- Cholerka – uśmiechnął się Hodo – A już miałem nadzieję, że zostanę cesarzem.

- Następny stopniem jestem ja – rzekł radośnie Kulbert. Hodo przestał się uśmiechać. Nie było tajemnicą, że uważał podchorążego za donosiciela i zdrajcę.

- Niezupełnie – wtrącił niespodziewanie Edric – Najwyższym stopniem wojskowym jest wicehrabia. Ukończył szkołę wojskową w stopniu porucznika. Prawda?

- Prawda – skrzywił się Fein Rasgalen – To znaczy, że mam wejść do tej wody, prawda....?

- Prawda – potwierdził Varthanis – Zatem ustalone – dorzucił, nie czekając na decyzję wicehrabiego – Do roboty, bo już czas.

Yngvild zdjęła z szyi medalion i podała wicehrabiemu. Reszta drużyny stanęła wzdłuż brzegu jeziora. Magowie stanęli na swoich miejscach, w sypanych solą kręgach. Któryś z gnomich czasometrów cichutko wybił północ. Dziesięć uderzeń serca....

- Ferra Dragne! Draig - a - haearn! – rozległ się uroczysty i mocny głos Varthanisa - Appedicare Rumex! Panedeme a Bellam a Umbra ad nem. Edell Kora! Dwegar Kora! Tembere Kora! Repensar nem de vespian! Impera Reghi Attenaurum tea! Ellevar a Atrium Ciska. Czas przewidziany dla Najstarszej.

- Rin a dor dragir, Dreig - a - haearn! Vedeme noror rrin nadan rotyn warta te barak te samman te rodeb! salvet nadan thudul ta! Mrin a lugh! – wyrecytował Shammoth w chrapliwym dialekcie Mortheimu. Po chwili śpiewnie zawtórował mu po elficku Arandir:

- Lasto beth lammen! Angren Lhug Draig - a - Haearn! Nennade beleg kano et nar et dae et dagor! Amarth te! Rommen lin!

Wicehrabia podniósł się z klęczek i powoli wszedł w wody jeziora. Zanurzył się niemal po pas. Ale nic się nie stało.

- Cholera! – syknął Varthanis – Wicehrabia nie jest Styryjczykiem.

- Ja jestem! – rzekł Kulbert i szybkim ruchem zrzucił płaszcz. Nie przekraczając granic kręgu wszedł do wody.

Jednocześnie magowie, wiedzeni jakąś niespodziewaną równoczesną myślą, zawołali

- Draig - a- Haearn! Przybądź!

Nie wiedzieli, czy spowodował to zaimprovizowany okrzyk, czy wejście do wody podchorążego, czy też po prostu tak miało być. Woda zasyczała, przed oczami stojącego po pas w lodowatej toni ukazały się bąbelki. Przez chwilę przemknęło im przez myśl, że ich oczom za chwilę naprawdę ukaże się smok. Ale usłyszeli tylko cichy plusk. Wicehrabia w geście triumfu podniósł w górę rękę z jakimś przedmiotem. Skrzyneczką.

Starannie wygasili krąg, zmywając wodą solne linie. Skrzyneczkę zanieśli na brzeg, do ogniska, przy którym od razu grzali się dwaj zmoczeni oficerowie. Yngvild chciała podejść, ale zastąpił jej drogę Edric. Rigo i Candice stali obok niego, otaczając ściśle skrzyneczkę.

- Nie da się otworzyć – oświadczył kozak, tarmosząc gniewnie wierzchnią płytę skrzynki. Hodo podszedł bliżej, a po chwili przez krąg przepchnął się także Kulbert z medalionem w rękę.

- Ślepi jesteście? – mruknął – tu jest wycięcie w kształcie łyzy- Ułożył medalion w zagłębieniu. Coś szcęknęło w środku. Nieruchoma przedtem czarna wierzchnia płytka drgnęła.

Przesunął ją bez trudu, wyjął medalion i oddał Yngvild. Na dnie skrzyneczki leżało zawiniątko. Odpakowali mokre szmaty i ich oczom ukazał się grot włóczni, grawerowany w dziwne znaki, krasnoludzkie runy, elfie litery. I ze znakiem smoka. Varthanis przepchnął się przez tłumek, a przysuwając rękę do artefaktu, aż drgnął.

- To ma spora moc – oświadczył. Hodo podniósł włócznię do góry.

- To właśnie jest Draig-a- Haearn. Wybawienie Styrii. A teraz zwijajmy się stąd, zanim...

W pół słowa przerwał mu huk. Kulbert z niesłychaną przytomnością umysłu wyrwał mu grot z dłoni i wrzucił w swoje szarawary, po czym zatrzasną skrzyneczkę. I zrobił to w ostatniej sekundzie, bo z ręką na skrzynce znieruchomiał. Od strony, skąd doszedł huk, zbliżało się dwóch zakonników. Yngvild rozpoznała jednego z nich.

- Komtur...! – słowa uwięzły jej w gardle, bo zakonnik wykonał krótki gest ręką. Poczula wiążące ją niewidzialne pęta. Nie mogła się ruszyć! Mało nie udusiła się wściekłością. Anzelm Aubrycht wszedł między nich powolnym dostojnym krokiem.

- Proszę – rzekł cynicznie- Jednak nie zabrakło wam odwagi, by obudzić smoka. Znakomicie. Warto było wypuścić was na tej smyczy. Co prawda i tak zawiśniecie, ale może jeszcze nie dzisiaj. Zabierz im go.

Drugi z zakonników był młodszy i najwyraźniej bardziej gadatliwy. Podeszedł do Kulberta i wyrwał mu zamkniętą skrzynkę.

- Indra będzie panował nad tym krajem – wyrecytował egzaltowanym głosem – Wreszcie będzie odbierał należną mu cześć. Wasze nieprawości zmyje powódź, gdy jutro o świcie jak fala ruszą hordy barbarzyńców. A Indra tę powódź zatrzyma, rękami naszego zakonu. Uzbrojonymi w Dregahern.

- Dość – przerwał mu komtur, podchodząc do gwardzistki. Yngvild szarpnęła się w bezsilnej próbie zerwania zaklęcia, ale na próżno. Zakonnik wziął w rękę wiszący na jej szyi medalion i szarpnął. Zabolało, mocny łańcuszek wgrzył się jej w skórę na karku i pękł – To nie należy do ciebie – rzekł chłodno. Schował medalion i w pośpiechu odwrócił się. Młodszy zakonnik ruszył za nim. Komtur zrobił kolejny ruch ręką i między gałęziami rozbłysnął świetlny prostokąt. Gdy w niego weszli, jasny błysk oślepił obecnych. I chyba jednocześnie osłabił zaklęcie.

- Gdzie jest włócznia?! – Yngvild podbiegła do grupy, która trzymała skrzyneczkę. Kulbert dwuznacznym gestem wsadził rękę w spodnie, poszperał i wyjął grawerowany grot.

- Tutaj – wyszczerzył się jak dzieciak, zadowolony z psikusa. Hodo spojrzał na niego z szacunkiem.

- Dobra robota – przyznał – A teraz w drogę.

Las nagle przestał być cichy. Opar nad jeziorkiem zgęstniał, dookoła zaroilo się od szelestów. Coś jęknęło upiornie w zaroślach. Raz. I drugi.

- Wyośmy się stąd... – jęknął niepewnie Shamaroth, który właśnie wrócił, wygoniony przez Yngvild po próbie publicznego nasikania na ognisko – tam coś się dzieje...

- Coś się tu budzi... – Hodo rozejrzył się z obawą – Szyk marszowy i w drogę!

Ruszyli prawie błyskawicznie, minęli wąziutką groblę i odpływ z jeziorka... Ale i tak byli za wolni. Światło rozbłysło ponownie.

Pamiętając unieruchamiające zaklęcie, Kulbert rzucił się w dół stoku, reszta nie zdążyła. Komtur najwyraźniej stracił cały swój zimny spokój. Trzymając jedną dłoń gotową do rzucania zaklęć, drugą dobył miecza i podeszedł do wicehrabiego

- Włócznia.

- Nie mam...- szepnął Fein, z trudem łamiąc zaklęcie.

- Natychmiast, albo będę zabijał was po kolei! Włócznia!

- Nie było ... – młody Rasgalen nie dokończył, komtur wbił mu miecz sztychem między żebra. Wicehrabia padł na ziemię. Kilka osób szarpnęło się w gniewie, łamiąc więzy zaklęcia, które tym razem najwyraźniej było słabsze. Dlatego Vatrhanisowi udało się je zerwać. Skoczył do tyłu i wrzasnął zaklęcie rozproszenia, unosząc dłonie w górę. Komtur był jednak szybszy.

Błyskawicznym ruchem wyprostował rękę, z dłoni wystrzeliła czerwona kula, z trzaskiem uderzając maga w brzuch. Nekromanta, trafiony w splot słoneczny, jęknął głucho i osunął się na ziemię. Krew popłynęła mu z ust i stracił przytomność.

Drugi zakonnik podszedł do Mony.

- Włócznia!

Alchemiczka nie zdołała odezwać się przez zaklęcie blokujące. Zakonnik pchnął. Kobieta padła na błoto. Komtur podszedł do chorążego.

- Włócznia – krasnolud zmrużył oczy, ale nie opuścił wzroku.

- Nie mam – odpowiedział głośno.

- Zabiję ich wszystkich.

- I tak to zrobisz.

Komtur ciął z rozmachem przez bark, krasnolud osunął się na kolana, po czym padł na twarz. Zakonnik podszedł do Candice. Stojący obok Borys szarpnął się. Drugi zakonnik podbiegł, przykładając mu ostrze do gardła. Komtur podniósł miecz nad psioniczką, ale nie ciął. Nie wypuszczając broni zamachnął się i mocno uderzył dziewczynę w brzuch. Półelfka zwinęła się w pół i opadła na kolana. Borys nagłym szarpnięciem zerwał zaklęcie, uderzeniem łokcia trzasnął w zęby zakonnika i doskoczył do komtura, usiłując wyszarpnąć szablę. Nie zdążył, zakonnik posłał go na ziemię pchnięciem energii i płytkim cięciem przejechał Candice po brzuchu. Rozrzedzona krew psioniczki buchnęła jasnym strumieniem. Borys zerwał się natychmiast, ale zatrzymał się przed ostrzem miecza przyłożonym sztychem do gardła. Rozłożył ręce w geście poddania, choć wściekłość aż nim trzęsła. Ukląkł przy Candice, drżącymi rękami usiłując zabandażować cięcie i zatamować krwawienie.

- Nie trudź się- rzekł komtur chłodno, stając nad półelfką z mieczem skierowanym sztychem w dół. Borys znieruchomiał, gotów skoczyć na niego pomimo wiszącego nad nim ostrza – Włócznia, albo przybiję ja do ziemi!

- Stój!- krzyknął Kulbert, wychodząc z zarośli – Zostaw ją!

- Nie...- jęknęła Yngvild przez blokadę. Podchorąży zignorował ją i wyciągnął do komtura rękę z grotem.

- Bierz i zostaw ich – warknął. Zakonnik dotknął włóczni z wahaniem, bez słowa zacisnął na niej rękę z widoczną satysfakcją, jak ktoś, kto długo marzy, by coś zdobyć i chce się delektować chwilą triumfu. Ktoś z żołnierzy znów szarpnął magiczne więzy, budząc komtura z rozmarzenia. Obrócił się bez słowa, znów rozbłysnął prostokąt, błysnęło oślepiające światło. A potem nastąpiła cisza. I ciemność.

Yngvild osunęła się na kolana w geście zrezygnowania. Shamaroth doskoczył do rannych, ukląkł nad Candice rozpoczynając inkantację. Dzięki błyskawicznej reakcji kozaka psioniczka jeszcze żyła, ale nie odzyskała przytomności. Pozostałych opatrzone konwencjonalnie lub eliksirami, ale potrzebowali dłuższej chwili, by móc podjąć marsz.

W otaczającym jeziorko lesie rozległy się szelesty. Coś znów przeciągle jęknęło. Upiorne odgłosy zaczęły się nasilać. Zapalili wszystkie pochodnie, pomagając iść rannym ruszyli przez las. Znów zaczęło padać, ale nie robiło im to już specjalnej różnicy.

Wyszli z powrotem na pola. Wiał lekki wiatr i zrobiło się zimno, wszyscy byli kompletnie przemoczeni. Kulbert trzął się z zimna, wicehrabia dodatkowo jeszcze od świeżej rany. Borys wziął na ręce wciąż nieprzytomną i bezwładną Candice, co wcale nie ułatwiło mu marszu. Hodo ledwie szedł, zaciskając dłoń na ranionym barku. Arandir obejrzał się.

- Jeśli nie przyspieszymy, będzie źle – odezwał się do Yngvild, patrząc na szczękających zębami towarzyszy – Albo dojdziemy do obozu szybko, albo wcale.

- Wiem – przytaknęła gwardzistka. Ruszyli szybkim tempem, które dla zmęczonego oddziału było niemal mordercze. Mokre ubrania krępowały ruchy i obcierały, mokre buty doskwierały, trąc niemiłosiernie stopy. Miecze i tarcze zaczęły straszliwie ciążyć. Ale fakt, że po godzinie marszu większości nie było już tak dramatycznie zimno. Choć wszyscy byli wyczerpani do granic możliwości. A zanim dotarli do strażnicy, przekroczyli te granice kilkakrotnie. Weszli

w obręb obozu po drugiej w nocy, po trzech godzinach ciężkiego marszu w błocie, wodzie i zimnie.

W czasie marszu nie rozmawiali niemal ze sobą. Gdy usiedli w karczmie, mrużąc oczy od ostrego światła, też właściwie nie mieli ochoty rozmawiać. Zbywali milczeniem pytania oczekujących w obozie. Chociaż właściwie ich miny mówiły same za siebie.

Podczas drogi Yngvild cieszyła się w zasadzie, że padało. Przynajmniej deszcz zmywał jej z twarzy łzy. Wściekłość, rozpacz i dojmujące poczucie przegranej. Poczucie, że zawiodła w najważniejszym zadaniu, jakie postawiono przed nią kiedykolwiek. Gdy w karczmie chorąży zapytał:

- Co dalej? – była już spokojna. Popatrzyła na niego.

- Przegrałam – odpowiedziała smutno – Słyszałeś sam. O świcie ruszają hordy, które zaleją mój kraj. A ja utraciłam jedyną rzecz, która mogła go uratować. Nie wiem, pozostaje chyba tylko zginąć w walce.

- Daj spokój – powiedział, ale bez przekonania.

- Pójdę jutro do komadorii – stwierdziła.

- Po co? Sądzisz, że zdołasz im go odebrać? - wtrącił się Shamaroth.

- Nie wiem – odparła – Może zdołam. A jeśli nie, to nie będzie miało znaczenia.

- Przestań – zirytował się Hodo – Jeśli nadchodzą hordy, twój miecz jeszcze będzie potrzebny. Więc daj spokój, bo w ten sposób niczego nie zdziałasz.

Nie odpowiedziała. Po chwili była w karczmie sama.

- Widzisz, co jest warta umowa z nimi?

- Co ci poradzę, jasny szlag! Widocznie woleli zaoszczędzić i pofatygować się osobiście.
- Gównu mnie to obchodzi! Nie po to marnowałem czas i narażałem tyłek. Omal cię nie zabił, sukinsyn!...

- Uspokój się. Jest jeszcze Gildia.

- I co mianowicie z tego? Zamierzasz szturmować komandorię, żeby im to odebrać?

- Ja nie zamierzam. W każdym razie nie sama. Są tu inni, którym zależałoby bardziej na tym. A im będzie łatwiej to wydrzeć niż Zakonowi.

- Masz rację, ale...Psiakrew!!!

Yngvild otworzyła oczy, usiłując rozróżnić rzeczywistość od koszmarnego snu.

Najwyraźniej zasnęła oparta o drewnianą karczemną ławę. Pierwszą rzeczą jaką zauważyła, było, że na zewnątrz jest jeszcze ciemno. Musiało być tuż przed świtem. Rozmawiający umilkli, najwyraźniej niepewni, ile usłyszała. Tymczasem nie usłyszała nic. Albo prawie nic. A to co usłyszała, wydawało się jej wciąż częścią sennych majaków.

- Witaj, Borys - uśmiechnęła się blado - Candice. Rigo. Edricu.

Najemnicy spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem. Kozak położył doń na rękojeści szabli. Rigo wstał. Candice roztarła dłonie. Gwardzistka wyczuła niebezpieczeństwo bardziej odruchowo niż logicznie, wstała, ostentacyjnie wyciągając miecz.

- Coś się stało...? - zapytała.

- Dlaczego tu śpisz...?- zapytał kozak, najwyraźniej niepewny, czy powinien atakować.

- A co cię to obchodzi? - Yngvild poprawiła mundur wciąż jeszcze mokry po nocnej wyprawie - A wy co, warta?

Rigo i Borys spojrzeli po sobie.

- Tak właśnie - odezwał się najemnik, powolutku wyciągając miecz - I prywatne rozmowy...

Huknęły otwierane drzwi i do karczmy wszedł Kulbert.

- Zmiana warty, chłopaki - rzucił luźno. Rigo opuścił ręce. Yngvild schowała broń.

- Niech więc zostaną prywatne - powiedziała i wyszła, zanim obecni zdążyli zareagować.

Chłodne powietrze przedświtu przywróciło jej przytomność umysłu. O co chodziło kozakowi? Jakich konszachtów świadkiem przypadkiem się stała? Czy to ważne zresztą... Usiadła przed swoim namiotem, wpatrując się w szarzejące na wschodzie niebo. Wschód... Więc to dziś nastąpi początek końca. Dzisiaj ruszą. A ona zawiodła. Poczucie honoru i ambicja podpowiadały jej, że trzeba pójść do komandorii i chociaż spróbować odebrać włóczę. Bohatersko zginąć w beznadziejnej walce byłoby łatwiej niż znów znosić brzemień hańby niewykonanego zadania. Jednak rozsądek i poczucie obowiązku mówiło co innego. Głosem chorążego i słowami "twój miecz będzie jeszcze potrzebny". Zdjęła mokre po wyprawie wysokie buty. Zapatrzona w niebo usiane gwiazdami zasnęła ponownie. Nie zdążywszy zauważyć, że za górami na południu niebo podświetliła luna pożaru.

Poranną ciszę przerwał huk wystrzału. Yngvild zerwała się, poznając broń komendanta, chwilę później rozległ się dźwięk alarmowego rogu.

- Straż Pogranicza!!!! Alarm bojowy!!!! - rozległo się na zewnątrz. W namiotach zakotłowało się. Nie dalej niż dwie minuty po wystrzale na placu przed karczmą stał niemal komplet Straży. I spora część cywilnych najemników. Komendant w pełnym uzbrojeniu stanął przed nimi. Jego głos brzmiał inaczej niż zwykle gdy stwierdził:

- Zaczęło się - strażnicy zastygli w milczeniu - Trzy godziny temu niezwykle liczne hordy easterlingów przekroczyły granicę. Największe siły uderzyły na Kłodzko. Miasto wciąż się broni. Mniej liczne, ale liczące po kilkadziesiąt do kilkuset osób oddziały wtargnęły w nasze granice w kilkudziesięciu miejscach. Zniesiona z powierzchni ziemi została większość posterunków najbliższej granicy. My musimy ich zatrzymać. Najbliższe nam oddziały barbarzyńców dotrą do nas za niespełna dwie godziny. Macie czas na przygotowanie się skompletowanie broni - kapitan zawiesił głos - trzeba się liczyć ze stratami, przygotujcie zaplecze medyczne. I najważniejsze - zakończył poważnie - Co jest chyba oczywiste, ogłaszam stan wojny. Niniejszym wszystkie osoby cywilne noszące broń zostają zobowiązane do służby wojskowej, osoby niewalczące - do pomocy na zapleczu. Dowodzenie obejmuje osoba najwyższa stopniem.

Hodo wystąpił przed szereg, gotów przejąć dowodzenie, ale zatrzymał o głos Miji Pendragon.

- Chwileczkę! On już nie jest najwyższy stopniem!

Chorąży spojrział na nią pytającym wzrokiem. Bardka zmierzyła go z satysfakcją.

- Wicehrabia Fein Rasgalen jest oficerem rezerwy w stopniu podporucznika - wyszczerzyła zęby radośnie - wstąpił do szeregu, panie chorąży.

Fein spojrział na nią lekko rozkojarzonym spojrzeniem, jakby dopiero co przypomniał sobie, że rzeczywiście tak jest. Kapitan westchnął.

- Ma pani rację, panno Pendragon. Dowodzenie oddziałem przejmuje podporucznik hrabia Rasgalen.

Strażnicy spojrzeli po sobie. Każdy doskonale zdawał sobie sprawę, czym na polu bitwy grozi dowodzenie w rękach żółtodzioba, którego jedynym doświadczeniem bojowym były lekcje w szkole oficerskiej. A wicehrabia bez wątplenia był żółtodziobem.

- Tak więc - kapitan przerwał rozlegające się w szeregach szepty - za dwie godziny jesteście gotowi do wymarszu. Jeśli nie zdołam do was dołączyć, nie czekacie na mnie. Zabezpieczacie teren północnych fortów i wszystkie umocnienia.

- Co ze strażnicą - zapytał chorąży. Kapitan spojrział przeciągle

- Diabli z nią, w tej chwili liczy się zabezpieczenie obiektów strategicznych.

Zrozumiano?

Chóralne "tak jest" odbiło się echem od stoków. I prezentowało się zdecydowanie bardziej pewnie, niż morale, którego było wyrazem.

- Czekam na rozkazy - odezwał się chorąży, gdy kapitan zniknął w budynku strażnicy. Wicehrabia rozejrzał się dookoła lekko spłoszonym wzrokiem.

- Nie mam doświadczenia... - zaczął. Hodo uniósł brwi.
- To pana problem.
- No niezupełnie - wtrącił się Zibbo - Nie idziemy na poligon doświadczalny. Pomijając nasze własne bezpieczeństwo, mamy zdaje się zatrzymać skórojadów, których jest dużo jak cholera. Wolałbym jednak, aby dowodził ktoś z większym doświadczeniem...
- Ja też... - dodał wicehrabia- Panie chorąży...
- Taaak?
- Dla dobra oddziału... wolałbym, aby w bezpośrednim starciu zachował pan dowodzenie...
Mija fuknęła gniewnie.
- Dałby pan rade, panie hrabio.
- Nie zamierzam tego sprawdzać kosztem życia ludzi - odparł Fein z niespodziewanym zdecydowaniem- Mija, to nie jest tylko kwestia moich ambicji.
Hodo spojrział na niego z szacunkiem
- W miarę moich możliwości postaram się pomóc. Może pan na mnie liczyć, poruczniku - zasalutował z ukłonem. Mija westchnęła i odwróciła się na pięcie.
- Mięczak - mruknęła pod nosem, odchodząc w kierunku wartowni.
Na placu zostali Strażnicy.
- Zadbać o dostateczną ilość bandaży - rozkazał krasnolud - Za resztę pieniędzy oddziałowych zakupić eliksiry...
- Nie trzeba - uśmiechnęła się Mona Liebthal, oparta o słup karczmy - Idę z wami i wszystkie moje eliksiry są do waszej dyspozycji.
Chorąży ukłonił się w podziękowaniu.
- Naostrzyć broń, kto może zaopatrzyć się w tarcze. Za półtorej godziny widzę was tutaj gotowych do walki. Jasne?!
- Tak jest!!!
- Mam nadzieję, że idziesz z nami - odezwał się do gwardzistki, gdy zostali sami na placu. Yngvild opuściła głowę.
- Wydałeś rozkaz.
- Tak jakby to coś dla ciebie znaczyło - uśmiechnął się.
- Podobno mój miecz się przyda - odpowiedziała uśmiechem - Zresztą - dodała poważnie - Jakie szanse mogłabym mieć w komandorii? Jeśli cesarstwo ma upaść, a my z nim, to przynajmniej sprzedajmy życie jak najdrożej.
- Po co ten dramatyzm - zapytał - Jeszcze żyjemy, Kłodzko wciąż się broni, będzie co bogowie zdecydują. Ale - dodał - Zanim wyruszymy, kapitan powinien wiedzieć o wszystkim.

Obóz cały wrzał. Kapitan i reszta oficerów raz po raz pojawiali się, by wydawać kolejne rozkazy. Cywilni najemnicy gorączkowo przygotowywali broń, jedni ciesząc się z czegoś, co uważali za przygodę, inni pomstując na armię, która musi korzystać z pomocy ludności niemundurowej. Strażnicy ze względny spokojem posilali się i zastanawiali nad przebiegiem walki. Broń mieli dawno gotową. Yngvild przyglądała się ich twarzom. Sigbert był spokojny i poważny jak zawsze. Starannymi ruchami gładził osełką ostrze Zerwikaptura. Illima nie tracił humoru nigdy i taki drobiazg, jak zbliżające się hordy, nie był w stanie zmasać mu z twarzy uśmiechu. Zibbo za to sprawiał wrażenie wystraszonego, czujnie rozglądał się dookoła i na każdy hałas przy wejściu chwycił za leżącą pod stołem broń. Varthanis jak zawsze mruczał pod nosem, wertując niezliczone skrypty i notatki. "Dobrze że mamy go po swojej stronie" pomyślała. Siedzący obok Borys zaglądał mu przez ramię w teksty. Candice szykowała strzały. Podobnie jak Neil, który z pieczołowitością i nieskrywaną satysfakcją kleił i prostował lotki strzał, ewidentnie ciesząc się ze zbliżającej się bitki. Yngvild poczuła czyjeś świdrujące spojrzenie i dostrzegła stojącego przy drzwiach Riga. "Poranna rozmowa w karczmie" -

pomyślała - "O co do cholery chodzi...?" Najemnik nie spuścił wzroku gdy na niego popatrzyła. W jego spojrzeniu wyczuła groźbę. Nie było jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Nagle jej uwagę zwrócił rumor przy drzwiach. Do karczmy weszło dwóch rostrych typów. Yngvild miała wrażenie, że widziała ich już przedtem. Zauważyła, że Zibbo zerwał się, jakby zamierzał uciekać, ale usiadł prędko. Bo dwóch typów wrzuciło do środka trzecią osobę.

Yngvild poznała go, to był Rien, młody mistrz szermierki. Popchnięty od wejścia potknął się i prawie upadł na środku, ale wyprostował się, odgarniając zadziornym ruchem z twarzy niesforne ciemne kosmyki. Kapitan, rozmawiający akurat z kimś odwrócił się

- Co to ma być, do cholery?!

- Pan dowodzi tą placówką? - odezwał się jeden z ludzi głosem zupełnie wypranym z szacunku.

- Ja. A kto pyta?

- Moje nazwisko nie jest istotne. Istotne jest to, że w pana placówce ukrywa się przestępca.

- Wyjaśnij - głos kapitana nabierał znanej wszystkim barwy, która sygnalizowała nadchodzącą burzę.

- Ten człowiek... - zaczął cywil. Najwyraźniej nie rozpoznawał barw głosu komendanta.

- Nie do ciebie mówię, kmiecie! To jest teren placówki wojskowej! Więc milcz niepytany! - warknął kapitan. Cywil zamilkł - Rien, wyjaśnij.

Szermierz wyprostował się.

- Ci ludzie zostali przysłani przez księżną Eledhwen z Kamieńca. Usiłują mnie szantażować.

- Czego chcieli?

Rien spojrzął po obecnych niepewnym wzrokiem, obawiając się powiedzieć za dużo. Dostrzegł dyskretne skinienie Hoda.

- Abym im oddał coś, czego nie mam i nie miałem. Pewien artefakt.

Strażnicy spojrzeli po sobie. Yngvild stanęła obok Riga, blokując wyjście z karczmy.

- Doprawdy? - rzekł kapitan przeciągle. Drugi z cywili przerwał mu.

- Ten człowiek posługuje się fałszywym dokumentem! Nigdy nie skończył Akademii Miecza, choć tak twierdzi. Usiłował wyłudzić zapłatę od księżnej. Żądam, aby Straż wymierzyła mu sprawiedliwość należną za fałszerstwo i oszustwo!

- Skończyłeś?...- warknął kapitan przez zęby - Nie udzieliłem ci głosu, gnojku, to nie Kamieniec. Ten człowiek został rano przyjęty w szeregi straży i jest pod moja opieka, rusz go jeszcze raz i zawieszysz - na sugestywny ruch dłoni kapitana cywil odsunął się co prędzej od Riena.

- Poza tym - kontynuował kapitan - od godziny mamy na pograniczu stan wojny. To oznacza, że obowiązuje prawo wojenne, a prawa cywilne zostają zawieszane. Ten człowiek będzie potrzebny w walce. Jeszcze coś? - dodał tonem groźby. Wyższy z gości najwyraźniej nie zrozumiał.

- W imieniu księżnej żądam, aby...

Kapitan skinął głową. Stojący najbliżej Borys i Arandir dobyli mieczy i stanęli tuż przy nich. Yngvild i Rigo za ich plecami.

- Wynocha - syknął kapitan z naciskiem. Tym razem pojęli.

- Słucham, panie szermierz - powiedział kapitan spokojniejszym tonem, gdy już wyszli - To prawda?

Szermierz opuścił głowę.

- Nie zamierzam się usprawiedliwiać - odparł cicho - Niestety to prawda.

Kapitan uniósł brwi.

- Cóż. Nie poddał się pan szantażowi. To się chwali. Słowo się rzekło, przyjmuję pana zatem w szeregi straży. Proszę nie znieść pokładanego w nim zaufania. A teraz - kapitan wbił spojrzenie w Hoda - Teraz chcę wiedzieć, jaki artefakt, panie chorąży!

Gdy Hodo doszedł do przebiegu poprzedniej nocy, wszyscy byli przekonani, że kapitan znów wyśmiewa ich niekompetencję, zakpi z przegranej. W końcu rozbroiło ich tylko dwóch zakonników. Ale kapitan nie zakpił.

- Macie więcej szczęścia niż rozumu - skwitował, gdy chorąży skończył opowiadać - Zadarliście z Zakonem i najwyraźniej nie zdajecie sobie sprawy, co to znaczy. A pokazali wam tylko próbkę ich możliwości. Nie zdajecie sobie także sprawy, co to znaczy, nie poinformować przełożonego o sprawie tej wagi.

- Z całym szacunkiem, kapitanie ...- zaczęła Yngvild.

- Milczeć, nie udzieliłem ci głosu - warknął oficer.

- Nie wiedzieliśmy, czy można panu zaufać... - dokończył za nią chorąży.

- A teraz już wiecie, tak?

- Poręczono za pana.

- Taaak? Cóż za łaskawość. Co nie zmienia faktu, że większość czasu działaliście samowolnie, bez zgody dowódcy.

- Panie kapitanie – Yngvild wstała – Otrzymałam rozkaz od najwyższego dowódcy. Nie śmiałabym go nie wykonać, nawet wbrew pańskim rozkazom.

Kapitan zmierzył ją wzrokiem.

- A jednak pani go nie wykonała – rzekł dobitnie. Gwardzistka zacisnęła zęby.

- Jeden pana rozkaz, kapitanie, a pójdę do komandorii odebrać artefakt.

Kapitan roześmiał się kpiąco.

- Oczywiście. Ale na razie nic nie zrobimy nawet z artefaktem, jeśli wejdą tu skórojady. Na razie mamy ich zatrzymać. A potem ... Przyjdzie czas na wyrównanie rachunków z Zakonem. Północne Forty muszą zostać w naszych rękach. Ja z mniejszym oddziałem idę pod Dzikowiec, wy idziecie pod dowództwem porucznika Rasgalena. Choć wolałbym, abys, panie chorąży, pomagał mi podczas bezpośrednich starć.

- To zostało już ustalone – potwierdził wicehrabia – Nie zamierzam udawać, że mam doświadczenie wojenne.

- Ale pan posiada, panie chorąży, prawda? – kontynuował kapitan – Brał pan udział w kampanii przeciw chanom, walczył pan na Wrotach?

Hodo potwierdził skinieniem i odruchowo spojrzął na stojącego pod ścianą Abla.

- Easterlingowie są groźniejsi niż wojownicy pustyni – rzekł kapitan – O Chanacie wiemy prawie wszystko. O nich – nic. Jeśli prawdą jest, co mówiliście przed chwilą, to ponad to są zdeterminowani i przepelnieni szalem bojowym – spojrzął poważnie po twarzach – Obyście zdołali och zatrzymać. Chwała Cesarzowi!!!

Ruszyli składnym szykiem tuż przed południem. Pospiesznie przekroczyli Bramę Polową, zmierzając w górę obszaru fortecznego. Yngvild szła przodem w zwartym szeregu tarczowników, zadowolona ze zdobytej tuż przed wyjściem okrągłej tarczy. Za nimi szła trójka łuczników, osoby nieuzbrojone szły w środku oddziału, osłaniane przez zbrojnych. Szyk zamykał Zibbo.

Kilkadziesiąt metrów przed oddziałem biegli zwiadowcy, patrolując okolicę. Minęli pierwsze umocnione wzniesienia, gdy Jarlos wrócił do dowódców.

- Jakież sto metrów przed nami – wydyszał – Widać kilku, ale pewnie jest więcej. Siedzą na wzniesieniu, powyżej drogi z lewej strony.

Wicehrabia słyszalnie przełknął ślinę, patrząc pytająco na chorążego.

- Tarczownicy pójdą przodem – powiedział Hodo, widząc prośbę w oczach Feina – Podprowadzą łuczników tak blisko jak się da, osłaniając ich. Ostrzelamy ich, potem podejdziemy po najmniejszym nachyleniu.

Wicehrabia skinął głową.

- Tarczownicy przodem! – wydarł się – Za nimi łucznicy!

Hodo uśmiechnął się za tarczą. Porucznik zaiste trochę jeszcze musiał się nauczyć.

Do muru tarcz dołączyli Rigo i Zibbo. Nie musieli specjalnie szukać. Pierwsze pociski chemiczne poszybowały w ich stronę, gdy tylko wyszli zza zakrętu. Poszybowały strzały, z głuchym stukiem odbijając się od tarcz. Szereg szedł dalej. Trzymając zwarty szyk weszli na zakrzaczony stok pagórka, na szczycie którego widać było barbarzyńców.

- Strzał! – wrzasnął Hodo. Tarczownicy opadli na kolano, łucznicy wypuścili strzały. Na wzgórku rozległy się okrzyki bólu i złości. Zza krzaków wychynęły odziane w futra postaci, rozległy się wrzaski w niezrozumiałym języku. Kolejna salwa strzał, ktoś z tyłu wrzasnął, trafiony. W sam środek pierwszego szeregu wpadł pocisk trującego dymu. Krztusząc się skoczyli do przodu, ale poleciały kolejne pociski. Na wzgórku stanął człowiek z kosturem, na końcu którego widniała zwierzęca czaszka. Wykrzyczał coś chrapliwie, powietrzem wstrząsnęła eksplozja, siła uderzenia zwała z nóg tarczowników. Zanim zdążyli wstać, wojownicy z opętańczym wrzaskiem ruszyli biegiem na nich.

- Szereg! – krzyknął Hodo, stając pewnie na nogach. Pozostali dołączyli, składając tarcze na zakładkę. Pierwsi, którzy dobiegli, odbili się od ściany tarcz. Następni wyhamowali, siekąc z furją. Buzdygany i bojowe cepy głucho zadudniły o drewno.

- Naprzód!

Luźniejszym szykiem ruszyli, wspomagani przez łuczników. Z okrzykiem wpadli pomiędzy walczące w szale postaci. Barbarzyńcy jeden za drugim padali pod ciosami, reszta w pośpiechu wycofywała się ze wzgórka.

- Naprzód! Na nich! – wydarł się wicehrabia, dołączając do pierwszych szeregów i biegnąc za uciekającymi.

- Stój! – zdążyła wrzasnąć Yngvild. Ostatni barbarzyńcy zawrócili nagle i uderzyli na szarżujących bezładnie cesarskich. Kilku padło, wojownicy pobiegli za swoimi.

-Wracać! Do szeregu! – krzyknął Hodo – Opatrzyc rannych! Panie wicehrabio – rzekł ciszej z wyrzutem – To nie było mądre.

- Daliśmy im po tyłach – wyszczerzył się młodzieniec, najwyraźniej przepelnięty euforią pierwszego w życiu bitewnego zwycięstwa – Będę mówił, kiedy będę potrzebował pomocy.

Chorąży zgrzytną zębami, ale zmilczał. Tymczasem Mona biegła od jednego do drugiego rannego, raz po raz rozlegał się syk eliksiru, który lecząc cięte rany, boleśnie palił skórę. Yngvild zauważyła chanackiego maga, opatrującego jednego z wojowników.

- Dlaczego właściwie tu jesteś? - zapytała podchodząc – Ciebie nie obejmuje prawo wojenne. Nie musisz.

Południowiec wbił w nią spojrzenie błękitnych oczu. Wyczuwana intuicyjnie szczerłość była jedną z przyczyn, dla której gwardzistka nie zabiła go na wieść o jego misji.

- Nie muszę – przyznał, patrząc jej prosto w oczy – Ale chcę doczekać czasów, gdy Styria padnie pod ciosami naszych saber i bułatów, a nie przez zdradę z rąk nieokrzesanych barbarzyńców. Mam nadzieję, że spotkam cię wtedy, gwardzistko.

Uśmiechnęła się z szacunkiem i sympatią.

- Gdy doczekamy tych czasów, poszukam cię na polach bitewnych – odparła salutując mieczem. Gdy już odchodziła, dobiegło ją ciche:

- „Chanysie”, nie „chanie”, do jasnej cholery!

Tymczasem padły rozkazy wymarszu. Ruszyła znów w pierwszym szeregu. „Gdzie poza pierwszym szeregiem mogłabym być?” – uśmiechnęła się w myślach. Ruszyli pośpiesznym truchtem przez trudny zakrzaczony teren, pełen niewielkich skarp i wąwozów. Wdrapując się na kolejne strome wały, osłaniali się wzajem od ostrzału. Dogonili uciekających po kilkuset metrach. Już nie uciekali.

Cesarscy weszli na sporą płaszczyznę i od razu przypadli do ziemi kryjąc się za wykrotami i pniami drzew, bo nad ich głowami syknęły strzały. Przed nimi piętrzył się blisko

dziesięciometrowy wał, tak stromy, że nie sposób byłoby wejść bez użycia rąk. Z prawej strony widniał otwór sporego tunelu, nad którym wążutka ścieżynka wiodła na górę wału. Po lewej ścieżka okrążała wał i znikła za nim.

Z góry poleciały pociski dymne i wybuchowe. Ci, którzy wpadli na płaszczyznę pierwsi, cofnęli się za ostatnią skarpe. W ślad za pociskami poleciały okrzyki w chrapliwym języku i kilka zaklęć. Z hukiem na środku łąki wybuchła ognista kula.

- Gdzie, do cholery, jest Rasgalen?! – warknął Hodo, osłaniając się tarczą przed płomieniem – Wystrzelają nas tu, trzeba ruszać!

Rigo wystawił głowę znad osmalonej tarczy.

- Wicehrabia zdaje się został z tyłu.

Krasnolud zaklął plugawie, wyrażając się niemiło o matce pana wicehrabiego, ale nad głowami śmignął kolejny pocisk i nim dokończył, zakrztusił się duszącym dymem.

- Nie czekaj na niego! – krzyknął Zibbo osłaniając rękawem twarz – Atakujmy, bo zaraz nie będzie miał kto tam iść!

Chorąży wstał, ignorując pociski, i rozejrzał się.

- Illima! Sigmar! Lewą stroną ścieżka chyba obchodzi ten wał – wskazał, gdy wezwani podbiegli – Musicie dostać się na drugą stronę.

- Na pewno obchodzi – odezwał się niespodziewanie Obieżyświat. Nawet nie zauważyli, kiedy dołączył do oddziału. Miał na sobie pocieszny przedpotopowy hełm, za duży na niego w dodatku, i podzwaniał zardzewiałą koleczugą – Poprowadzę.

- Teraz czy czekać na resztę? – zapytał Illima – I na dowódcę....?

Hodo spojrział na niego z lekkim wyrzutem, po czym obejrzał się i dostrzegł wicehrabiego wdrapującego się na skarpe.

- Teraz – zdecydował – I to natychmiast.

Wojownik ruszył truchtem, a za nim wielki barbarzyńca i Obieżyświat. Po chwili zniknęli im z oczu, kryjąc się na załomami wału. Chorąży westchnął i podszedł do wicehrabiego.

- Trzeba jak najszybciej się tam dostać, bo inaczej nas tu wystrzelają – powiedział. Fein spojrział na niego, na wał i znów na niego.

- Przecież tam się nie da wejść!

Hodo zacisnął zęby.

- Tam się musi dać wejść! – powiedział z naciskiem. Zapadła chwila milczenia, przerywana gardłowymi okrzykami przeciwników na wale. Nagle na górze zapadła cisza, usłyszeli skandowane słowa inkantacji, powietrze rozdarł przeraźliwy świst i za ich plecami rozległ się potężny wybuch. Ci, którzy zdążyli osłonić się przerzuconymi na plecy tarczami, zostali rzućni o ściany ziemnych skarp. Pozostałych potężny podmuch odrzucił o kilka metrów, w kilku przypadkach łamiąc kości. Rozległy się jęki, Shamaroth i Mona zerwali się, by leczyć.

- Musi się dać wejść! – wrzasnął wicehrabia, pokonując dzwonienie w uszach - Tarczownicy! Na nich!

Tarczownicy zastygli w oczekiwaniu, patrząc wymownie na chorążego. Hodo uśmiechnął się półgębkiem z tajoną satysfakcją.

- Za mną! – krzyknął, ruszając. Podbiegli do wału, osłaniając się od gradu strzał, które posypały się z góry. Za plecami usłyszeli inkantację, wykrzyczaną z melodyjnym południowym akcentem. Nad wałem błysnęło błękitnie, usłyszeli serię huków. Wypuszczona przez Abła seria piorunów powaliła kilku barbarzyńców w dość nieprzyjemny sposób. Tymczasem prawą stroną ruszyli łucznicy i lekkobrojni. Neil, osłaniany przez Gadjunga, wbiegł na ścieżkę nad otworem tunelu, posyłając w tłum barbarzyńców strzałę za strzałą. Kilku padło, kilku ryknęło z wściekłością, ruszając w kierunku nacierających. Zanim dobiegli do łuczniaka, na wał wskoczył Rien, wywijając długim mieczem. Dwóch odzianych w futra wojowników z jękiem padło na ziemię. Neil w międzyczasie trafił kolejnych kilku. Rien krzyknął z triumfem i ruszył naprzód. I wtedy trafił na berserkera. Potrafił radzić sobie z ludźmi w stanie szału bojowego, ale ten przewyższał młodego szermierza niemal dwukrotnie wzrostem i z pewnością ponad dwukrotnie

wagę. Rien zastawił się przed ciosem okutej maczugi, ale sama siła uderzenia zmiotła go z wału. Z jękiem zjechał po skarpie, z ust pociekła mu strużka krwi. Neil cofnął się o krok i wpakował olbrzymowi strzałę prosto w brzuch. Ten nawet nie zauważył, ani tej, ani trzech kolejnych. Brzechwy strzeliły jak zapalki, gdy potężnym zamachem posłał na dół wału Gadjunga i ruszył na łucznika. Ten cofnął się i wystrzelił jeszcze raz. Bez efektu. Zrobił krok do tyłu... i runął w dół prosto na kamienie leżące w tunelu. Odgłos padającego z wysokości ciała usłyszeli nawet tarczownicy podchodzący pod wał.

- Bogowie! – krzyknął Rigo, odwracając się, zupełnie niepotrzebnie, bo w tym samym momencie łucznik wpakował mu strzałę w bark. Najemnik zaklął i wyrwał grot, krew zalała mu koszulę.

- Nie oglądaj się! Do góry! – wrzasnęła Yngvild. Tarczę niosła praktycznie nad głową i nie dostrzegła stojącego nad nią szamana. Przez zgiełk wybuchów nie usłyszeli inkantacji, zrozumieli dopiero gdy jęzory płomieni osmały im włosy zza krawędzi tarcz, a siła podmuchu rzuciła na ziemię u stóp wału. Łuczniczy z góry doprawili dzieła zniszczenia. Kolejna strzała dosięgnęła chorążego, zostawiając mu krwawy ślad na ramieniu.

Yngvild nie zdążyła podnieść tarczy. Wystrzelona niemal pionowo z góry strzała syknęła i wybiła się jej w prawy obojczyk, prawie przybijając do ziemi. Chciała wyrwać strzałę, ale lewa ręka wciąż przymocowana była paskiem do tarczy. Zobaczyła, jak na górze łucznik znów naciąga cięciwę, celując w nią. Strzała syknęła ... i odbiła się od tarczy Riga, którą najemnik osłonił ją przed strzałem. Hodo, osłaniając ją drugą tarczą, wyrwał grot i podniósł ją z ziemi, odciągając za najbliższe drzewo.

- Dzięki – uśmiechnęła się do obydwóch, zębami przytrzymując wiązany na ramieniu bandaż. Odpowiedzieli skinieniem.

Jednocześnie z lewej strony wału rozległy się krzyki i odgłosy wybuchów.

- Cholera, zauważyli naszych – stwierdził Zibbo to, co było oczywiste. Hodo zebrał się z ziemi.

- Do góry, musimy im pomóc bo ich wytluką!

Jakby w odpowiedzi na jego rozkaz usłyszeli tubalny głos Shamarotha. Inkantacja odbiła się echem. Olbrzymi berserker zachwiał się i złapał obiema rękami za głowę.

- Zabij najbliższego towarzysza! – krzyknął Sham tonem bezwzględnej rozkazu, najwyraźniej kontynuując zakłęcie przejęcia umysłu. Barbarzyńca zaszamotał się jak ktoś atakowany przez rój os.

- Atakuj!

Ale berserker opadł na kolana, podniósł leżący na ziemi krótki miecz i obrócił ostrzem ku sobie. Zanim Shamaroth zdążył wydać rozkaz, rzucił się na sztych broni i osunął na ziemię.

- Dobra szkoła – mruknął z podziwem Hodo – Tarczownicy! Do góry!

Podnieśli tarcze, ruszając jeszcze raz. Ostrzał był słabszy, z prawej strony nad tunelem na wał wtargnęli już inni, a część barbarzyńców odciągnęli Illima z Sigmarem. Tym niemniej na górze wału przywitały ich ciosy bojowych cepów. Huknęło po tarczach. Yngvild osłoniła tarczą głowę, tnąc szerokim cięciem po nogach stojącego nad nim skórojada. Zwalił się z wrzaskiem na drugą stronę wału. Wskoczyła na górę, opuściła tarczę i stanęła oko w oko z szamanem. Zdążyła osłonić się przed zakłęciem, ale rzuciło ją na ziemię. Nie zdążyła wstać, napastnik stanął nad nią, skandując kolejną formułę... Nie dokończył, kozacka szabla ze świstem opadła mu na plecy. Borys wyszczerzył się do gwardzistki i zeskoczył z wału na drugą stronę, w pogoni za uciekającymi skórojadami. Ruszyła za nim.

Na dole była już większość cesarskich, większość jednak popełniła ten sam błąd co poprzednio. Rzucili się w beładną pogoń. I skończyło się podobnie jak poprzednio, zanim Hodo w ogóle zdążył zwołać ludzi z powrotem do szyku. Gdy barbarzyńcy zawrócili, większość tych, którzy pobiegli za nimi, padła raniona. Reszta stanęła w szereg przy chorążym.

Wpadli w nich z dziką furią i wrzaskiem, z taką siłą rozpędu, że naprędcie ustawiony szereg rozpadł się. Yngvild cofnęła się o krok, ale jednego zatrzymała tarczą. Cięła poziomo

znad tarczy, po szyi, napastnik padł. Następnego trzasnęła rantem tarczy w twarz, ale kolejnych miała już za plecami, bo reszta cesarskich cofnęła się pod naporem. Usłyszała świst i poczuła ukąszenie stali. Szabla o nieregularnym kształcie przejechała jej po lewym barku, z chrupnięciem zatrzymując się na kości. Tarcza opadła. Osunęła się na kolana, słysząc jak przez mgłę wykrzyczane swoje imię. Nie chcąc za wszelką cenę stracić przytomności, otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą uniesioną do ciosu włócznię, ale nie miała siły zasłonić się. Czyjaś krew chlusnęła jej na twarz i czyjaś tarcza zasłoniła ją przed ciosem. Zapadła ciemność.

Obudził ją okropny ból. Zrastające się z nienaturalną szybkością tkanki piekły i rwały. Nieświadomie krzyknęła i otworzyła oczy. Nad nią klęczała Mona z buteleczką eliksiru i chorąży, wciąż osłaniając ją tarczą. Gwardzistka zwinęła się z bólu.

- Dziękuję... – jęknęła, usiłując wstać – po raz drugi, panie chorąży.... - podniosła się na kolana. Hodo podał jej miecz.

- Kiepsko to wyglądało – powiedział z uśmiechem – Wstawaj, wciąż jesteś potrzebna.

Eliksir zadziałał tak, jak powinien. Po kilku minutach ból ustąpił, po następnych kilku o ranie przypominała tylko lekka sztywność ramienia. Gdy stanęła na nogi, okazało się, że nie była jedyną osobą, która ciężko oberwała. Illima i Sigmar z trudem zbierali się z ziemi, kilku następnych jeszcze było opatrywanych. Ale dowódcy nie pozwolili odpocząć zbyt długo. Wataha wycofała się za fosę, trzeba było natychmiast ruszać w pościg.

Wąskimi ścieżkami na krawędziach fos mogli poruszać się tylko jeden za drugim. Czołówka oddziału pobiegła truchtem między zaroślami, podchodząc pod kolejne strome skarpy. Wreszcie wyszli na płaszczyznę i ruszyli nieco szybciej. Nie wszyscy jednak wytrzymali tempo, ludzie byli zmęczeni i poranieni. Nie pomogły ani rozkazy, ani przekleństwa chorążego.

Ale barbarzyńcy czekali. Wąska ścieżka kończyła się pionowym kilkumetrowym murkiem z kamienia, po obydwu stronach ścieżki teren opadał stromo do fosy i na stok. I znów z góry posypał się grad strzał i pocisków dymnych.

- Cholera jasna – Hodo nie wykazywał specjalnego zrozumienia dla zmęczenia reszty oddziału – W ten sposób będziemy dalej obrywać! Szybciej tutaj!!!

Dobiegali kolejni, kryjąc się za wykrotami i pniami drzew. Szykowała się powtórka sytuacji spod wału. Krasnolud zmierzył wzrokiem murek i stok po lewej.

- Dacie radę utrzymać się tutaj dłuższą chwilę? – zwrócił się do Zibba i reszty tarczowników. Skinęli głowami – Nie atakujcie, bo was wybiją. Blokujcie tylko tych, którzy stoją na górze, niech myślą, że zamierzacie szturmować.

- A my zajdziemy ich lasem – dokończył Arandir, gotów do biegu. Po chwili dołączył Rien i Sigbert z Obieżyświatem, obydwaj podzwaniając kolczugą. Arandir ruszył zwinnie i niemal bezszelestnie po stromym stoku. Nie mieli szans za nim nadążyć. Zanim ruszyli, niespodziewanie dołączyła do nich Mija Pendragon.

Tymczasem tarczownicy podeszli pod mur. Kolejne pociski padały dookoła, odbijane tarczami, bądź skopywane nogami. Na przemian podchodzili i uskakiwali przed zakłęciami. Po dłuższej chwili z lewej strony dobiegł ich wrzask, świdrujący uszy aż do bólu. Potem okrzyki atakujących. Spojrzeli po sobie.

- Do góry – zdecydował Zibbo - Ja prawą, ty lewą – wskazał gwardzistce wejście po osypanych kamieniach. Niosąc tarcze nad głową, powoli brnęli do góry. Neil usiłował osłaniać ich z łuku, ale i tak potężne uderzenia buzdyganów omal nie zrzuciły ich z muru. Ale odgłos walki zbliżał się.

Dostrzegła Borysa, który w biegu wpadł na wymachującego dwoma mieczami barbarzyńcę. Kozak w pośpiechu podniósł leżącą obok najbliższego zabitego broń i zamachnął się dwoma ostrzami na raz, najwyraźniej tylko wkurzył skórojada. Ogarnięty szałem bojowym wojownik zaatakował wściekle, Borys zanurkował pod ostrzami i błyskawicznym zwrotem umknął za najbliższy pień. Jak na życzenie, zza drzewa wyskoczył Sigmar. Wielki młot bojowy ze świstem spadł na szarżującego skórojada. Barbarzyńca z jękiem uderzył w drzewo. Kilka metrów dalej.

Tymczasem Yngvild wypróbowanym na wale ciosem po nogach usunęła broniącego wejścia skórojada i stanęła na rozległej płaszczyźnie. Przed nią barbarzyńcy w pośpiechu formowali szereg, z dołu biegli już cesarscy. Po chwili dwa szeregi zwały się z łomotem. Rzuciła się do walki, wpadając z boku w zdezorientowanych wojowników. Uderzając na boki tarczą zrobiła wokół siebie trochę miejsca i zaczęła ciąć tych, którzy w porę nie zorientowali się, z której strony ich atakują. Rękojeść miecza zrobiła się śliska od krwi. Po chwili spotkali się na środku polany z resztą oddziału. Pozostali przy życiu barbarzyńcy w panice zrywali się do ucieczki.

Tym razem nie próbowali gonić ich w bezładzie. Hodo ciężko dysząc zbierał ludzi do szyku. Wyszli z potyczki prawie bez szwanku, więc natychmiast ruszyli w pościg.

- Co to było? – zapytała pokonując zadyszkę – Ten wrzask?

Hodo roześmiał się.

- To Mija – odparł – Ona jest niesamowita!

Po chwili wpadli na szeroką drogę. Przed nimi widniał most przez fosę. A po drugiej stronie mostu czekała wataha. Pierwsi stali w regularnym szeregu, trzymając przed sobą włócznie i topory. Za nimi stało kolejnych kilkudziesięciu.

- Stopniały trochę ich szeregi – mruknął Rigo dołączając obok Yngvild do szeregu. Gwardzistka uśmiechnęła się. Tarczownicy znów ruszyli pierwsi zwartym szykiem. Łucznicy zajęli pozycje na wałach po bokach mostu. Do pierwszego szeregu dołączył Sigbert z Zerwikapturem. I Obieżyświat.

Zwarli się na środku mostu. Żelazo uderzyło o drewno z łomotem, poleciały drzazgi i iskry. Barbarzyńcy natarli z dzikim wrzaskiem, zagłuszając niemal zupełnie wydawane rozkazy. Więc siekli bez rozkazu, dbając jedynie, by nie wyjść przed zbawienny szereg. Ranieni padali, stojący w tylnych szeregach odciągali ich poza strefę walki. Pierwszy padł Obieżyświat, zgarnięty ciosem okutej żelazem maczugi. Stoczył się z wału do fosy. Po chwili Borys padł trafiony włócznią. Hodo zwinął się z bólu, trafiony w ramię strzałą. Szereg wycofał się poza most.

W pośpiechu opatrywali rannych, bo barbarzyńcy nie zamierzali na nich czekać. Krok za krokiem parli naprzód, powstrzymywani tylko ostrzałem łuczników. Tarczownicy natarli znowu. Tym razem impet ataku odrzucił skórojadów z powrotem na środek. Walka zawrzała na nowo.

Od uderzenia buzdyganu rozpadła się tarcza Yngvild. Odrzuciła niepotrzebne deski i ujęła miecz w obydwie dłonie. Obok niej Rigo wrzasnął z bólu, trafiony ciśniętą włócznią i zjechał do fosy po stromym stoku. Yngvild została na lewej flance bez tarczy. Obok niej Hodo osunął się na ziemię, trafiony włócznią. Widząc straty w szeregach cesarskich barbarzyńcy przypuścili wściekły atak. Jednocześnie Yngvild z przerażeniem usłyszała krzyk na tyłach. Skórojady przedarły się tyłem przez fosę i uderzyli w bezbronnych za plecami walczących. Kątem oka zobaczyła Abla broniącego się desperacko przed kilkoma napastnikami. Za jego plecami Mona usiłowała wciąż leczyć rannych. Chanacki mag dokonywał cudów waleczności, ale przed łukiem nie był w stanie się obronić. Wystrzelona z odległości kilku kroków strzała przebiła mu lewy bark. Sabera wypadła mu ze zmartwiałych dłoni, krew, rozrzedzona jak u każdego maga, chlusnęła na jasną koszulę. Osunął się na kolana i padł na twarz. Mona krzyknęła i lekceważąc strzały i uniesione nad jej głową ostrza, przypadła do leżącego na ziemi chana, w panicznym pośpiechu szukając eliksiru tamującego krwawienie. Nie przeżyłaby tego, gdyby nie bardka. Mija, widząc co się dzieje, ciosami długiego miecza obaliła dwóch napastników, po czym wpadła między nich. Jej potworny wrzask powalił na ziemię najbliższych, inni dobili ich błyskawicznie. Fein Rasgalen, osłaniany przez Riena, pogonił kolejnych skórojadów do diabła. Neil i Arandir posyłali w tłum jedną strzałą za drugą. Neil klęczał, nie mogąc ustać na ranionej podczas upadku nodze. Po chwili zostały im tylko puste kołczany.

Tymczasem w pierwszy szereg walczących wpadli kolejni. Yngvild, uderzona obuchem topora, runęła do fosy, ciężko uderzając plecami o kamienie. Z trudem podniosła się, plując krwią, ale dołączyła na powrót do walczących. Coraz trudniej było im utrzymać pozycję na

środku mostu. Kolejne natarcia spychały och do tyłu. Dołączyli Hodo i Neil. Obok niej stanął Arandir. Elficka klinga zaśpiewała w zetknięciu z żelazem przeciwnika. Wzmocniony szereg ruszył do przodu.

Nagle w powietrzu rozległ się świst rzucanego pocisku dymnego. Cesarscy przygotowali się do cofnięcia. Ale pocisk nie upadł. Umykającym oczom ruchem Arandir ciał powietrze. klinga odbiła pocisk, który poszybował prosto w szereg przeciwnika. Zanim zorientowali się, co się stało, kilku leżało przyduszonych trującym dymem. Reszta cofnęła się w panice.

- Teraz!!! – wrzasnął chorąży, ruszając biegiem naprzód. Szaloną szarżą ruszyli za nim, tnąc zapamiętałe. W szeregach skórojadów zakotłowało się. Ci najbardziej z brzegu umarli, zanim padły rozkazy odwrotu. Reszta rzuciła się do ucieczki, zostawiając ciała kilkudziesięciu poległych.

Zatrzymali się na rozkaz, zaniechując pościgu. Trzeba było opatrzyć licznych rannych. Część trzeba było nieść. Mona nie zdążyła z eliksirem. Abel zdążył się wykrwawić.

Neil usiadł ciężko na ziemi. Krew z ranionego kolana wypływała mu dołem nogawki. Yngvild rozejrzała się za pomocą, ale Mona leczyła innych. Gwardzistka westchnęła i uklękła przy łuczniku.

- Nie trzeba – odezwał się, ale przerwała mu.

- Nie możesz opóźnić pościgu - rozcięła nogawkę i westchnęła ponownie. W szerokie rozcięcie na kolanie wbite były kawałki kamieni i ziemia. Początkowo chciała tylko zatamować krew, ale Neil obruszył się.

- To trzeba oczyścić!

- Będzie bolało – ostrzegła.

- No i co? – odparł zawiadacz z lekceważącym uśmiechem. Wyciągnęła myśliwski nóż, zdezynfekowała go nad płomieniem i delikatnie otworzyła ranę, wydłubując kawałki skały. Łucznik nawet się nie skrzywił. popatrzyła na niego z niemym szacunkiem. Zdezynfekowała ranę mocnym alkoholem. Musiało boleć, ale twarz Neila nawet nie drgnęła. Pokręciła z niedowierzaniem głową, wiążąc bandaż.

- Niezwykły z siebie człowiek – uśmiechnęła się z szacunkiem.

- To nic takiego – odpowiedział z uśmiechem – nie pierwsza, nie ostatnia rana.

Po chwili wrócili wysłani przodem zwiadowcy. Pościg dobiegał końca.

- Zabarykadowali się na forcie Widmo.

- Stamtąd nie ma wyjścia – stwierdził w zamyśleniu Hodo – Szybciej, ruszcie się! Przy odrobinie szczęścia tam ich dopadniemy!

Dopadli ich rzeczywiście. Fort Widmo był otoczony z każdej strony kilkumetrowej głębokości fosą, miał tylko jedno główne wejście. Stali tam, zagradzając wąskie przejście, w większości ranni, ale wciąż groźni. Kolejni stali na wałach, naciągając łuki. Pozostało ich kilkunastu.

- Nie będzie to łatwe – ocenił Hodo, gdy rozłożyli się przed fortem. Chwilowo zyskiwali liczebną przewagę, ale w wąskim wejściu nie miało to znaczenia.

- Jest lepiej niż myślisz, panie chorąży – odezwał się niespodziewanie Obieżyświat.

Zamiast starego hełmu miał teraz na głowie zakrwawiony bandaż i zaiste wyglądał jak wojenny bohater – Na ten fort jest wejście od tyłu, mało znana wąziutka ścieżynka. Wyznacz lekkobrojnnych, a zaprowadzę ich tam.

Arandir wstał bez rozkazu. Dołączyli do niego Rien i Mija oraz Omus. Tarczownicy znów mieli ruszyć frontem z głównym uderzeniem. Yngvild zeszła do fosy i zaraz przywitał ją świst dymnego pocisku. Skoczyła na bok w pokrzywy i po chwili dołączył do niej, krztusząc się, Zibbo. Nim opadł dym, na dole byli także Rigo i Hodo. Z góry schodzili kolejni, by pomóc rannym lub zastąpić ich w szeregu.

- No dobrze, jak dobrze pójdzie to będzie ostatnia bitka – westchnął Zibbo – No dalej, psie końcówki! – wydarł się w kierunku przeciwników – Możecie nam na kant...!!!

W odpowiedzi posypał się grad strzał. Oczekali schowani za tarczami, po czym ruszyli pod górę. Ukształtowanie terenu uniemożliwiało szturm. Stromy stok kończył się barykadą z gałęzi, za którą stali wojownicy barbarzyńców. Z górnego wału leciały kolejne pociski. Huknęło o tarczę i Rigo, który najwyraźniej nie miał tego dnia szczęścia do łuczników, wrzasnął nagle i osunął się na ziemię. Strzała, która odbiła się od krawędzi tarczy, uderzyła go prosto w oko. Krew zalała mu twarz. Pozostali odciągnęli go do tyłu i wyciągnęli na krawędź fosy. Tarczownicy ruszyli naprzód, ale szturm wydawał się być beznadziejny. Każde podejście do barykady kończyło się zażartym starciem, ostrzałem i koniecznością wycofania. Wreszcie jednak z góry wałów usłyszeli krzyki.

- Weszli – szepnął Hodo – Naprzód!

Skórojady na barykadzie spojrzeli za siebie z obawą, ale nie ustąpili. Z wału dochodziły odgłosy zawziętej walki. Uderzyli więc z całą siłą, na jaką było ich stać po kilku godzinach walki i pościgu. Neil i Sigbert, którzy dołączyli do szturmujących, wpadli w końcu na barykadę, siekąc długimi mieczami cofających się w panice obrońców. Błysk światła na ostrzu zwrócił jej uwagę i Yngvild spojrzała w górę. Na krawędzi wału dostrzegła Arandira. Elf trafił wreszcie na równego sobie przeciwnika. Barbarzyńca, podobnie jak elf zbrojny w krzywe ostrze, wydawał się być równie szybki jak on. Ruchy kling umykały oczom. Wreszcie Arandir pełnym gracji zwinnym ruchem zanurkował pod ostrzem przeciwnika i wpakował mu ostrze w brzuch aż po rękojeść. Zastygli na chwilę w tej pozycji, barbarzyńca osunął się martwy na ziemię. Elf znieruchomiał, opuścił szablę i opadł na kolana.

- Arandir!!!- wrzasnęła i ruszyła biegiem na górny wał. Nie dostrzegła już, jak elf padł na ziemię.

Na wale wciąż trwała walka. Na wąskich ścieżkach walczone o każdy metr. Gwardzistka zakłęła, gdy drogę do przeciwników zatarasowali jej własni towarzysze. Zeskoczyła ze ścieżki w sięgające jej ponad szyję trawy i zarośla, i kilkoma szybkimi ruchami przecięła sobie drogę. Wskoczyła pomiędzy zaskoczonych barbarzyńców. Niewysoka kobieta z futrem na ramionach skoczyła na nią z okutym żelazem bojowym cepem. Przyjęła cios na tarczę i cięła płasko w brzuch. Krew chlusnęła jej na dłonie. Omal nie poślizgnęła się zresztą na nasiąkniętej krwią ścieżce. Zanim dobiegła do walczących, większość barbarzyńców padła martwa, bowiem samo jej wtargnięcie na tył odwróciło ich uwagę, dając cesarskim możliwość zadania ciosu. Ostatni, broniąc się desperacko, padli na górnych wałach.

Zatrzymali się, ciężko dysząc, ma środkiem fortu. Brudni od błota i krwi, nieludzko zmęczeni. Borys stanął nad ostatnim zabitym i wytarł klingę w futro.

- Sława!!!! – wrzasnął triumfalnie roweńskim zwyczajem.

- Sława!!! – odpowiedzieli mu odruchowo okrzykiem, w którym ulatywała wściekłość i strach, nienawiść i chęć mordy.

Elfa znaleźli na zachodnim wale. Żył jeszcze, ale cięcie było tak głębokie, że pomimo zastosowania eliksiru i opatrunku nie odzyskał przytomności. Omusa nie udało się uratować. Ciało jego, Abła i skrytobójcy Dinina zdecydowali więc zanieść do obozu. Zbyt wielu niezgodnych z logiką wskreszeń byli świadkami, by lekceważyć tę szansę. Ciała poległych na forcie wrogów znieśli na stos, który podpalili.

- To tylko jeden z ich oddziałów – odezwał się Hodo, patrząc w zamyśleniu w płomienie – Dobrze walczyli.

- Trzeba odzyskać artefakt – rzekł Borys, świdrując chorążego spojrzeniem – Nic nie zrobimy bez niego.

- Wiem – odparł krasnolud – Ale zdobycie komandorii graniczy z cudem. Albo raczej z samobójstwem.

- Boisz się, Hodo? – uśmiechnął się złośliwie Rigo.

- Nie sądzę, by się bał – wtrąciła niespodziewanie Mija Pendragon, stając obok chorążego – Przecież już zdecydował, że pójdziemy na komandorię. Prawda? – uśmiechnęła się zalotnie. Hodo zmrużył oczy podejrzliwie.

- Nie czas i nie miejsce na ta rozmowę. Ustawiać szyk i do strażnicy!

Po powrocie zapanowała euforia, jakby co najmniej udało się zmieść z powierzchni ziemi połowe barbarzyńskich hord. Polało się chłodne piwo, karczmarka Sara z radosnym entuzjazmem krzątała się przy zmęczonych wojakach. Opatrzono rannych, rozpoczęto rytuały przywracające dusze ciałom. Wzniesiono liczne radosne krzyki zwycięstwa i toasty. Wszystko wskazywało na to, że mają się z czego cieszyć.

Kapitan nie wracał z patrolu.

Yngvild nie cieszyła się. Mijające minuty i godziny oddalały ją od celu, od wyprawy na zakonną komandorię. Jednocześnie nie chciała iść z beznadziejną misją, sama, zwłaszcza, że w profesji skrytobójcy czy złodzieja nie czuła się specjalnie dobrze. Jej profesją był pierwszy szereg. Kilka osób podzielało zresztą jej nastrój. Arandir, obolały po ciężkiej ranie, z której nawet eliksir z trudem g uleczył, siedział samotnie w rogu karczmy sącząc coś z kuflla. Dyskretnie i spode łba przyglądał się urokliwej karczmarce podobnym nastroju siedział Zibbo, oparty plecami o ścianę, z mieczem na kolanach. Na drugim końcu stołu Varthanis przepisywał jakieś notatki. Za barem Mona podgrzewała na palenisku jakiś eliksir. Powoli zbliżał się wieczór, Opadały emocje przygasła euforia zwycięstwa. Pojawiało się zmęczenie.

Hodo usiadł obok gwardzistki, odkładając lekko wyszczerbiony w bitwie miecz na sąsiednią ławę.

- Kapitana nadal nie ma - stwierdził cicho - Obawiam się, że pod Dzikowcem nie poszło równie dobrze jak tutaj.

- Jak długo czekamy? - zapytała.

- Nie wiem - przyznał - Ale gdybym miał decydować, to wolałbym iść w nocy. Mimo wszystko.

- Nawet jeśli kapitan nie wróci do nocy?

- Ciasteczko? - uśmiechnęła się hobbitka, z wdziękiem zbierając sprzed nich brudne naczynia. Hodo wziął i podziękował.

- Trzeba się liczyć z tym, że nie wróci, ale nie mamy czasu - wtrącił się Arandir, nie zmieniając nonszalanckiej pozycji - Musicie w końcu zrozumieć, że nie ma chwilowo ważniejszych spraw niż ta.

Yngvild spojrzała na niego z irytacją.

- Wiem o tym, Arandirze. Ale wokół zaczęła się wojna. Artefakt w ręku Zakonu jest przynajmniej bezpieczny przed skórojadami. Kiedy wpadnie tu horda... Co przyjdzie cesarstwu z artefaktu, jeśli zginiemy z nim w ręku?

- Niczego nie rozumiesz - fuknął elf z wyższością - Z artefaktem w ręku nie zginiecie.

- Dobrze więc- przerwał Hodo - ruszymy w nocy. Co z placówką? Zostawimy cywilnych bez opieki?

Yngvild uśmiechnęła się.

- Są arogancy i niewdzięczni, może przydałaby im się lekcja...Żartuję - przerwała pod zirytowanym spojrzeniem chorążego - Weźmy więc tych, którzy zechcą iść, czy to z oddziału czy z najemników. Reszta uzbrojona będzie strzec placówki.

- Pójdę z wami w nocy - odezwał się milczący dotąd Zibbo - ale nie wrócę.

- Co? Dlaczego? - wyraził zdziwienie wszystkich chorąży- Co się dzieje, do cholery?

Zibbo przygryzł wargę.

- Dogonili mnie.

- Kto?

- Gildia.

- Zamierzasz nadal to taić czy może powiesz w końcu o co chodzi? - zirytował się Hodo.

- Po co wam to?

- Może żeby ci pomóc, tak dla przykładu...?- mruknęła gwardzistka - I może jeszcze dlatego, że nazwa Gildii Kupieckiej jest nam znana skądinąd i wolelibyśmy wiedzieć.

Krasnolud westchnął.

- Pracowałem dla nich kilka lat. Jako przewodnik karawan.

- I za to cię ścigają?

- Jako przewodnik na ich zlecenie zabiłem całkiem sporo osób - dokończył Zibbo, opuszczając głowę.

- Chwila, to jest organizacja kupiecka, nie mafia - zdziwił się Arandir

- Oni w sposób bezwzględny kontrolują handel, niewygodne osoby, konkurencja, giną na bagnach lub w płomieniach, z rąk takich jak ja - rzekł Zibbo - Po jakimś czasie miałem tego dosyć. Ale z Gildii się nie odchodzi. Zabiłem kilku z nich i uciekłem, ścigali mnie dłuższy czas. I znaleźli tutaj. Wczoraj.

- Co?! - zapytali prawie chórem.

- Wczoraj - powtórzył - otrzymałem ultimatum, albo zrobię co zechcą albo zginę. I wy razem ze mną.

- Czego chcieli? - zapytał poważnie Hodo. Zibbo podniósł głowę.

- A jak sądzisz?

- Artefaktu - dokończył Arandir - Do kiedy dali ci czas?

- Do teraz.

Zamilkli, rozglądając się dookoła, jakby za chwilę miały się karczynie pojawić wynajęte zbiry. Zrobiło się straszliwie cicho. Yngvild nagle zdała sobie sprawę, że nie słyszy dźwięku, który od dłuższego czasu był tłem ich rozmowy. Brzdęku wycieranych ceramicznych naczyń...

- Hodo... - zaczęła, wstając. Jej słowa zagłuszył nagły huk. Wybuch przewrócił ławę na której siedzieli. Zerwali się natychmiast, by zobaczyć sporej wielkości kulę błękitnego dymu, rosnącą w oczach. Nim zdążyli zareagować, trujący opar wypełniał pomieszczenie. Krztusząc się i dusząc Yngvild usiłowała dostrzec Zibba. Dostrzegła za to kilka postaci, usłyszała krótką inkantację. Znała to zaklęcie. Rzuciła się w bok, ale unieruchomienie i tak ją dosięgło. Padła na ziemię, mobilizując całą siłę, by zerwać blokadę. Ale to było mocne zaklęcie. Od trującego dymu niemal się udusiła. Dotarł do niej dźwięk tłuczonego szkła, odgłos szamotaniny i uderzeń, potem głuchy stuk ciężkiego ostrza o blat stołu. Potem wszystko ucichło.

Zaklęcie było sile, ale krótkie, blokada puściła po minucie. Gwardzistka zachłysnęła się powietrzem i wstała ciężko kaszląc. Obok niej zbierał się z ziemi Varthanis, przeklinając pod nosem. Mona, która zbierała spod baru resztki stłuczone fiołki, podniosła się gwałtownie.

- Bogowie! - krzyknęła, podbiegając do leżącego obok stołu krasnoluda. Z blatu krople krwi kapąły na klepisko. Zibbo podniósł się ciężko, przyciskając do siebie prawe ramię. Ubranie miał całe zalane krwią. Hodo i Arandir wpadli do karczmy biegiem.

- Zniknęli - warknął ze złością elf - Nie zdołałem ich dogonić. Jakby się rozplnęli w powietrzu.

- Może zrobię wam chłodnego napoju? – odezwała się usłużnie śliczna hobbitka, która nagle z powrotem znalazła się za barem – Co tu się właściwie stało?

- Nie teraz, Saro. Co z tobą? – Hodo dostrzegł zakrwawione ubranie Zibba. Ten usiadł ciężko, blady jak ściana. Mona lekko drżącymi rękami podniosła buteleczkę, w której przed chwilą zmieszała dwa eliksiry. Alchemiczka rzadko przejmowała się widokiem ran i krwi, ale kiedy podeszła do krasnoluda, zbladła. Lewa ręka, którą Zibbo przyciskał kurczowo do tułowia, nie miała dłoni. Elixir zasyczał na ranie, krasnolud słyszalnie wciągnął powietrze. Przez chwilę myśleli, że zemdleje, ale wytrzymał. Yngvild rzuciła się w kierunku baru, złapała dzban z wodą i szmatkę.

- Oberwałeś jeszcze gdzieś? – zapytała gorączkowo. Zibbo spojrzał na nią jakby z wyrzutem.

- Sam się opatrzę – mruknął.

- Pomogę ci – zaofiarowała się Mona.

- Nie! – prawie krzyknął. Spojrzeli na niego zdziwieni – Sam się opatrzę. Czy możecie....
Yngvild dostrzegła krew kapiącą z nogawki płóciennych spodni krasnoluda. I dostrzegła miejsce, gdzie były rozcięte. Uniosła brwi.

- Wyjść. Oczywiście - odparła ze zrozumieniem - Gdybyś potrzebował pomocy... - fuknął gniewnie w odpowiedzi. Wzięła więc alchemiczną pod rękę i wyszły na chwilę przed karczmę. Wydawało się, że nikt niczego nie zauważył. Większość siedziała w wartowni, kilka osób snuło się po placu. „To i dobrze” pomyślała „Biedny krasnolud”

Wróciły do środka po dłuższej chwili. Panowie siedzieli w pochmurnym nastroju przy stole.

- Następny będzie ktoś z was – rzekł Zibbo ponuro – Zdaje się, że muszę się stąd wynosić natychmiast...

- Spokojnie – zmitygowała go – Czego od ciebie chcą?

- Draig-a-haearna – odparł, patrząc w blat – I medalionu. Za pierwszym razem kazałem im iść w cholerę. Nie doceniłem ich.

- Trochę dużo o nas wiesz, nie sądzisz? – odezwał się Hodo – Wiedzieli nawet takie szczegóły, jak to, że jesteś leworęczny... - spojrzał przeciągle w kierunku baru. Arandir i Yngvild powędrowali wzrokiem tam, gdzie patrzył, na rudowłosą hobbitkę, polerującą właśnie ceramiczne talerze. Jak mogli być tak głupi!!! Wszyscy troje przypomnieli sobie toczoną niegdyś z hobbitką rozmowę, wiedzieli przecież, że miała kontakt z Gildią Kupiecką, choć ona twierdziła, że tylko kupuje od nich towar.

- Przemysłnik...! – przypomniał sobie Arandir. Człowiek, przyłapany na przemyśle broni, zmuszony zaklęciem przez Varthanisa i Candice przyznał, że pracował dla Gildii. I wspomniawszy, że Gildia w Silberbergu jest silna. Potem było coś o skrzynce kontaktowej w zajeździe Villsvin...

- Jasny szlag!!! – syknęła Yngvild – To ona!

Wtedy Zibbo wstał i zrobił coś, czego wszyscy najmniej chyba oczekiwali. Yngvild zamierzała schwytać hobbitkę i wyciągnąć od niej trochę informacji. Tymczasem krasnolud zdrową ręką podniósł z ławy miecz i podszedł do karczmarki. Bez słowa przyłożył zdziwionej hobbitce ostrze do gardła i zanim zdążyli zareagować, pociągnął. Sara złapała się rękami za gardło, ciemna krew buchnęła jej spomiędzy palców. Upadła na podłogę za barem. Zibbo z niemałą satysfakcją wytarł ostrze o i tak zakrwawione ubranie.

- Cholera! – krzyknął choraży, gdy odzyskali mowę – Co najlepszego narobiłeś!!!

Zibbo spojrzał na niego chłodno.

- To ona mnie wydała – rzekł, jakby to miało wyjaśnić jego zachowanie – Przez nią zostałem okaleczony i muszę uciekać.

- Mogliśmy wydobyć z niej informacje – mruknął Arandir – martwa się nam nie przyda.

- A dlaczegoż to – zapytał Varthanis, od dłuższej chwili ze spokojem obserwujący zajście – Z martwego ciała, gwardzistko, łatwiej wyciąga się informacje, niż z żywego. I mniej drastycznie – uśmiechnął się nieco demonicznie. Yngvild zadrżała. Widzieli to już raz, właśnie wtedy, gdy wypytywał trupa zabitego przemysłnika. Nie było to miłe wspomnienie....

- Dobrze, informacje to jedno – Mona sprowadziła ich na ziemię – Ale zdaje się, że znów zabiliście cywilną osobę, winną czy nie, ale mogą być problemy. Przypomnijcie sobie giermka.

Przypomnieli sobie. Mona stanęła przy wejściu, pilnując by nikt nie wszedł. Hodo z Arandirem wynieśli ciało tylnym wyjściem na stok powyżej zajazdu. Varthanis został w karczmie.

- Ech, partacze – westchnął z wyższością, wskazującą ewidentnie na pewne doświadczenie w tym temacie. Stanął w pobliżu miejsca, gdzie krew hobbitki zalała klepisko za barem. Wyrecytował inkantację. Yngvild przyglądająca się wszystkiemu, miała wrażenie, że powietrze drgnęło lekko, gdy zakończył. Ślady krwi zniknęły.

- Co to było? – zapytała – zaklęcie czyszczące podłogę...? – Varthanis spojrzał na nią jak na kompletną ignorantkę, którą zresztą w kwestii magii była.

- Pamięć miejsca została wymazana. Ktokolwiek zechce szukać hobbitki, to miejsce nic mu nie powie. Teraz czas na pozbycie się ciała.

- Czyli co dokładnie?

- Rozkawałkowanie. Przyspieszenie rozkładu tkanek. I wymazanie pamięci miejsc, gdzie je zakopiecie – rzekł nekromanta bez najmniejszej emocji w głosie. Gwardzistka popatrzyła na niego z lekkim wstrętem.

Po kilkunastu minutach było po wszystkim. O całym zajściu przypominało tylko zakrwawione ubranie krasnoluda i zabandażowana ręka.

- No dobrze – uśmiechnął się szeroko Varthanis, najwyraźniej zadowolony ze swojej roboty – teraz czas na niesforną duszyczkę.

Przywołanie duszy zajęło nekromancie kilka sekund. Yngvild nie mogła wyjść z podziwu, choć w naturalny sposób zabiegi maga budziły w niej lekką odrazę.

- Przyjdź i odpowiedz na pytania ...- zakończył mag inkantację. Znow poczuli coś w rodzaju drgnienia powietrza, jakby poruszyła nim niewidzialna fala.

- A figę! – usłyszeli całkiem wyraźnie Znikąd. Spojrzeli po sobie lekko zdziwieni. Varthanis uniósł brwi.

- Mów, bo będzie bolało!

- Wypchaj się! – rozległ się piskliwy głosik, po chwili przechodzący w piskliwy jęk, gdy nekromanta dorzucił kolejną formułę – Dobrze, no, ała! Przestań, boli!! CO chcesz wiedzieć, zły człowieku?

- Wydałaś mnie Gildii, prawda? – odezwał się Zibbo, odruchowo szukając potwierdzenia dla swoich podejrzeń.

- Wcale nie... Ała!!! No....Auć! Tak, wydałam tego głupiego krasnoluda! On zdradził Gildię!

Zibbo fuknął ze złością. Nieco bezsilną, zważywszy na fakt, że więcej już hobbitce zrobić nie mógł.

- Po co Gildii artefakt...?- zapytał nieco bezsensownie. I taka też dostał odpowiedź.

- Dla władzy, oczywiście. Bo kto go ma, ma cesarstwo. I kto go ma, dyktuje warunki.

- Cholera, przypomnij sobie jakieś ważniejsze pytania – mruknął Varthanis. Na czole nekromanty pojawiły się kropelki potu, kolejne rzucane z rzędu zakłęcie najwyraźniej go męczyło. Zibbo zamilkł na chwilę.

- Po co Gildii pełne zboża magazyny? – zapytał wreszcie – Po co gromadzicie takie ilości zapasów?

Głos na chwilę ucichł. Gdy się odezwał był już mniej piskliwy.

- Głupi krasnoludzie! Już wkrótce spłoną wszystkie pola i wszystkie zapasy. Po przejściu hord nie zostanie nic. Wtedy to my będziemy decydować, kto przeżyje, a kto zdechnie z głodu!

- Idź do piekła ...- mruknęła Yngvild. Varthanis stęknął cicho.

- Nie utrzymam jej dłużej... - rzekł tonem usprawiedliwienia. Usłyszeli dziewczęcy chichot, dochodzący z nieokreślonej oddali. Po chwili wszystko umilkło.

- Magazyny zboża...?- zaczął Hodo – Skąd to wiesz?

- Mówiłem, pracowałem dla nich... – Zibbo usiadł na ławie – Ostatnie zlecenia, które dostawałem, dotyczyły przejęcia transportów ze zbożem i dostarczenia ich do podziemnych magazynów.

- Gildia uczestniczy w spisku – stwierdziła Yngvild rzecz oczywistą – Ilość poważnych przeciwników rośnie... Musimy odzyskać artefakt...

- Zaraz zacznie się ściemniać – odparł Hodo – Wyruszymy przed północą.

- Chyba ci się nie przydam w tej walce, panie chorąży – westchnął Zibbo, ponuro patrząc na owinięty bandażami kikut dłoni – w ogóle w walce na niewiele się przydam.

- Bzdura – zaprzeczył Hodo – Jedną ręką też można walczyć.

- Chwila – uśmiechnął się Arandir – Nie takie cuda tutaj widywałem, zawrócono mnie z za progu śmierci i żyję. Myślę, przyjacielu, że niepotrzebnie rozpaczasz...

Jakby w odpowiedzi na słowa elfa drzwi karczmy otwarły się z hukiem i wszedł radosny jak pierwiosnek kapłan Shamaroth.

- Co jest...? – skrzywił się, widząc ich nieciekawe miny – Znów coś zbroiliście...?

„Gdyby nas ktoś teraz widział”.... pomyślała. Siedziała na pieńku, nawet nie usiłując tłumić targającego nią śmiechu. Chwilę wcześniej za ten śmiech Zibbo omal nie wybił jej zębów. No, ale jak do cholery miała się nie śmiać, obserwując grupkę, stojącą w kręgu, powtarzającą śpiewnie jak mantrę „Jądro... Ręka... Zibbo... rośnij...”

Po zejściach w karczmie, o których dokładnym przebiegu wiedzieli tylko obecni przy nich, okazało się, że w zasięgu mocy kapłańsko magicznych leży przywrócenie krasnoludowi utraconej kończyny. Jak również... innej części ciała, okazało się bowiem, że cięcie, które przeszło przez część uda i krocze, poharatało mu... to i owo. Nie zamierzała nawet dociekać, na której z tych części ciała Zibbowi bardziej zależało. Chociaż... gdy w karczmie podawano kolację, podbiegła do krasnoluda urocza jasnowłosa dziewczyna, z radosnym uśmiechem wręczając mu koszyk pełen gotowanych jaj.

- To dla ciebie, Zibbo! – wyszczerzyła ząbki w ślicznym uśmiechu. Krasnolud omal się nie rozplakał.

Rytuał, który Yngvild właśnie oglądała, trwał już dobre pół godziny. Nie miała pojęcia, w jaki cudowny sposób uczestniczącym w nim osobom udało się zachować powagę, bo ją właśnie łapały skurcze mięśni brzucha od ciągłego śmiechu. Zresztą, z uczestników rytuału raz po raz ktoś wybuchał tłumionym śmiechem, tylko Zibbo jakoś był śmiertelnie wręcz poważny.

- Nie widziałaś czasem Sary?

Pytanie zaskoczyło ją i z trudem zachowała kamienną twarz.

- Nie – odparła, nie odwracając się nawet do Candice, która zadała to pytanie – Od południa nie widziałam jej na oczy.

Półelfka westchnęła i odwróciła się. Yngvild od razu odechciało się śmiać. Przypomniała sobie poranne śpięcie w karczmie, gdy przypadkiem usłyszała coś, czego nie miała usłyszeć.

„Może to jednak przypadek” pomyślała, patrząc za odchodzącą psioniczką „Ale tak czy owak trzeba uważać na plecy”.

W nerwowym oczekiwaniu wieczór dłużył się dramatycznie. Korzystając z czasu jaki pozostał do ustalonej godziny wyjścia, większość oddział poszła spać. Ubiegła ciężka noc dała się wszystkim we znaki. Kapitan nadal nie wrócił.

Yngvild nerwowo przygotowywała uzbrojenie, zastanawiając się, co właściwie będzie potrzebne w starci u z kapłańską magią. Przypomniała sobie kolejne porażki, uwięzienie, przesłuchanie, unieruchomienie nad jeziorkiem. Każde kolejne zetknięcie z Zakonem uświadamiało jej, jak potężny to przeciwnik. Rozmyślając o tym, zupełnie zapomniała, że nie jedyny.

Usłyszała rumor w wartowni i krzyk Miji Pendragon. Niemal jednocześnie nocnym powietrzem wstrząsnął odgłos wybuchu. A po nim dwa kolejne. Rzuciła się biegiem po schodach, prawie wpadła na wybiegających z wartowni ludzi.

- Namioty! - rzucił krótko Rien i pobiegł na dolną półkę.

- Kto? Ilu?

- Skórojady, kilku - odparła w biegu Mija. Między namiotami niemal zderzyli się z odzianymi w futra wojownikami. Z szybkością, której by się po bardce nikt nie spodziewał, Mija uskoczyła w bok i zawinęła mieczem zza pleców, tnąc jednego z nich pionowym cięciem przez bark. Padł. Z namiotów wybiegali kolejni uzbrojeni, słychać było odgłosy walki. Zanim Mija i Yngvild dobiegły do ostatniego namiotu, teren był czysty. Na stoku powyżej karczmy majaczyły uciekające postacie.

- Zbierz oddział na górze - powiedział chorąży, w pośpiechu wciągając but - Idziemy w pościg.

- Co z nami? - zapyta Mija - Chcecie zostawić nas tutaj bezbronnych?

Hodo zmierzył ją wzrokiem i uśmiechnął się. Bardka stała umazana krwią, z rozwianymi włosami, oparta o sporej wielkości dwuręczny miecz, którego w walce nie powstydziliby się potężny chłop. Pasiasta sukienka z dekoltem poplamiona była od krwi przeciwników. Wyglądała jak zdjęta z alegorycznego obrazu.

- Panno Pendragon - odparł z rozbawieniem - Jeśli pani jest bezbronna, to ja jestem elf. Ale nie zamierzam nikogo zostawić w obozie - dodał poważniej - Pomijając fakt, że osoby cywilne zostały przydzielone do pomocy Straży, wolałbym nie rozdzielać naszych sił. Na górę, wyruszamy!

Ruszyli niemal natychmiast, pospiesznym truchtem. Od czasów, gdy sprawiało im trudności ustawienie szyku na drodze, minęło sporo czasu i było to widoczne.

Arandir pomknął w ciemności, jak zwykle bezszelestny, niewidoczny dla oddziału. Jarlos był trochę mniej niewidoczny, biegł nieco niepewnie kilkanaście metrów przed pierwszym szeregiem. Elf wrócił biegiem już przed Bramą Polową.

- Czekają na nas na Bramie - zameldował szeptem chorążemu.

- Wejdziemy w pułapkę - odezwał się niepewnie Idący za krasnoludem Fein Rasgalen.

- Ale przygotowani - odparł krasnolud pewnie, choć po chwili zreflektował się nieco przypominając sobie, że jednak nie on tym razem dowodzi - Pańskie rozkazy?- zapytał. Wicehrabia spojrzął na niego z mieszaniną determinacji i obawy.

- Proszę przejąć komendę nad tą akcją - odparł - Tak będzie najlepiej.

- Tak jest.

Zwolnili kroku wchodząc między kamienne ściany Bramy Polowej. Panowała absolutna cisza. Elf bez słowa wskazał ręką wały po bokach. Chorąży skinął głową, Arandir ruszył w tamtym kierunku. W ciszę nocy wdarł się dziki wrzask. Elf błyskawicznie odskoczył do swoich, widząc, że wypłoszenie przeciwnika się udało.

- Krąg - krzyknął Hodo, wojownicy zbiegali już z wałów. Cesarscy utworzyli krąg, chroniąc w środku nieuzbrojonych. Tym razem szarża zbiegających z góry barbarzyńców rozbiła się o tarcze.

Starcie trwało nie dłużej niż kilka minut, gdy napastnicy zorientowali się, że nie rozerwą szyku, zerwali się do ucieczki, zostawiając kilku poległych.

Ruszyli za nimi szlakiem północnych fortów. Otwarta przestrzeń poniżej pierwszych umocnień przywitała ich chodnym wiatrem, w oddali na równinie majaczyły światelka miast i osad. Światelka majaczyły też dużo bliżej, na stoku poniżej nich. Tam, gdzie absolutnie nie powinno ich być...

- Lisi Most - mruknął Hodo - To chyba nie jest tylko oddział zwiadowczy... Jeśli ktoś chce zawrócić...- rzekł szeptem odwracając się do tyłu.

- Bardzo śmieszne, panie chorąży - fuknęła Mija gniewnie - Lepiej zajmij się pan walką, nie myśleniem.

Hodo nie skomentował.

- Dwóch zwiadowców drogą w dół, biegiem! Jarlos! Bez pochodni...!

- Nie potrafię bez światła, co o ja jestem jakiś elf? - jęknął zwiadowca, poprawiając czapeczkę. Hodo zaklął brzydko.

- Ja pójdę - odezwała się Yngvild, oddając tarczę idącemu za nią Illimie. Razem z Arandirem ruszyli truchtem w dół. Przebiegli nie więcej niż dwieście metrów. Ich oczom ukazał się Most Lisi, kamienny nasyp umożliwiający przekroczenie fosy. Był jasno oświetlony od światła pochodni. Kilkoro barbarzyńców kręciło się w zasięgu wzroku. Za załomem stoku luna ognisk odbijała się migotliwie od pni i gałęzi drzew. Bez słowa porozumieli się wzrokiem, elf zawrócił biegiem do oddziału. Yngvild zanurkowała w przydrożne zarośla, bo od mostu ruszyło

w jej stronę dwóch wojowników. Najwyraźniej dostrzegli światło pochodni na górze i szli to sprawdzić. Przypadła do ziemi, starając się ukryć twarz. Minęli ją, a po chwili wrócili do swoich biegów. Z góry widać było zbliżające się światła pochodni jej oddziału.

Wstała, gdy zrównali się z nią. Kilka osób w pierwszym szeregu zerwało się z bronią gotową do użycia.

- Spokojnie - zmitygował ich Hodo, który najwyraźniej w ciemności widział lepiej niż większość - Ilu?

- Około jedenastu na moście, ale nie wiem, ilu jest przy ogniskach za mostem. Dwóch przed chwilą zawróciło ze zwiadu - zameldowała, zakładając tarczę - Wygląda na to, że trafiliśmy na obozowisko jednego z oddziałów, takiego jak ten, który znieśliśmy po południu.

Hodo spojrział pytająco na Feina.

- Damy radę? - zapytał ten niepewnie, ale odpowiedział mu gniewny pomruk większości oddziału. Wszyscy byli już gotowi na bijatykę. Tylko Mona westchnęła ciężko i poprawiła na ramieniu torbę pełną leczących eliksirów.

- Na przód więc.

W pierwszy szereg poszli tarczownicy, w drugi - osoby z włóczniami i długą bronią. Gdy doszli do mostu, Candice i Neil zajęli pozycje na wałach powyżej przejścia.

Na moście zakotłowało się. Wojownicy najwyraźniej w pośpiechu wołali swoich dowódców, bo przez chwilę panował bałagan. Ale zanim oddział dotarł do krawędzi fosy, stanęli w zwartej grupie. Hodo zdecydował się zadziałać oficjalnie:

- W imieniu Cesarstwa Styrii wzywam was do poddania się!

Yngvild zdziwiła się, bo sądziła raczej, że nikt spośród przeciwników nie będzie znał styryjskiego. Tymczasem na zawołanie chorążego odpowiedział chrapliwy głos.

- Cesarstwo... śmierć! Wy śmierć!

Zakończył krzykiem, który najwyraźniej był sygnałem do ataku. Runęli biegiem na cesarskie szeregi.

- Trzymać szereg!!! - wrzasnął Hodo, zapierając się mocno na nogach. pod naporem szarzy szereg cofnął się o krok, ale się nie rozpadł. Kontratakując uderzyli wysokimi cięciami sponad tarcz, starając się nie odsłaniać towarzyszy.

- Do przodu!

Postąpili o krok spychając dzikusów na środek mostu. I jeszcze krok. Nad nimi rozśpiewały się strzały. Neil, Candice i Arandir raz po raz posyłałi w tłum pierzastą śmierć. Trafiali bez trudu, siedząc na wysokich wałach ponad walczącymi. Ale barbarzyńcy też mieli łuki, krótkie refleksy, w większości poowijane futrami i kawałkami skór. Puszczona zza mostu salwa przeniosła poza pierwszy szereg, na tyłach rozległy się krzyki. Kolejna salwa była celniejsza, ale większość strzał uderzyła w drewno tarcz. Z prawej strony szeregu oberwał tylko Rien, którego Rigo odciągnął w drugi szereg. Najwyraźniej ktoś kierujący łucznikami skórojadów doszedł do wniosku, że pierwszy wynik był lepszy, kolejne salwy poleciały w tylne szeregi. Przez łomot i huk uderzeń Yngvild usłyszała Mone, każącą kryć się za wałami. Gwardzistka stała na lewej flance pierwszego szeregu, odbijając jednocześnie ciosy z boku i z przodu. Uzbrojony w olbrzymi miecz wysoki barbarzyńca nie odpuszczał ani na chwilę.

- Schodź! - krzyknęła do walczącego obok Illimy, sygnalizując chwilowe zejście z miejsca w szyku. Wskoczyła do przodu, markując cios w kierunku sąsiedniego przeciwnika. Odebrała tarczą cios wielkiego koncerza, odwróciła się i cięła z boku w odsłoniętego w wypadzie barbarzyńcę. Zwałił się na ziemię bez jęku.

Szereg parł do przodu. Przekroczyli środek mostu i krok za krokiem posuwali się dalej. Wtedy przestało być łatwo. Zza załomu stoku biegiem dołączyło do bitki kolejnych kilkunastu skórojadów. Z impetem wbili się w szyki, trając częściowo własnych ludzi. Pośród nowoprzybyłych Yngvild dostrzegła odzianych w peleryny i długie szaty szamanów. Syknęły odpalane lonty i seria pocisków z trującym dymem poleciała w stronę cesarskich. Odskoczyli, nakrywając rękawami twarze. W szeregach skórojadów ktoś dał sygnał do szarzy. Wpadli w

zdezorientowanych lekko tarczowników, odrzucając ich do tyłu. Ale szereg utrzymał się. Zza Mostu zaczęły padać kolejne zaklęcia, poleciały pociski, pogarszając i tak niewielką widoczność. Z hukiem poleciały pociski energii, a za nimi z osłepiającym rozbłyskiem wybuchła ognista kula, tym razem zwalając z nóg większość pierwszego szeregu. Zanim podnieśli się z ziemi, barbarzyńcy już wisieli nad nimi. Nastąpiło straszliwe zamieszanie, szyk poszedł w rozsypkę.

- W szereg!!! - nad bitewny harmider wybijał się głos chorążego. Hodo widząc, że barbarzyńcy wpadli na tyły, usiłował ustawić z powrotem szyk bojowy. Niespodziewanie impet skórojadów okazał się być ich zgubą, zwaleni z nóg tarczownicy w większości bowiem nie ucierpieli od płomienia. Gdy stanęli na nogach, barbarzyńcy znaleźli się w otoczeniu. Po chwili szereg stał z powrotem. W miejsce rannych wchodzili ludzie z drugiego szeregu.

Arandir i Neil, wystrzelili większość pocisków, dobyli mieczy i dołączyli do walczących. Yngvild niespodziewanie znalazła się w samym środku szyku. Wciąż walczyli obok niej Rigo z jednym okiem zawiązanym krwawym bandażem, i Hodo, pozbawiony tarczy, która poszła w drzazgi po uderzeniu cepa. Niespodziewanie w szeregu znalazł się też wicehrabia. Katem oka Yngvild złowiła jego desperacką walkę. Nie posądzała wicehrabiego o taką dozę odwagi i bohaterstwa, by stawać w pierwszy szereg. Tym czasem młody porucznik nic sobie nie robiąc z ryków wroga, wyskakiwał raz po raz z celnymi atakami długiego miecza.

- Dobrze - uśmiechną się Hodo, który najwyraźniej też zauważył Rasgalena - Do przodu! Krok!

Na komendę posunęli się do przodu, spychając wojowników w skórach. Kilku stoczyło się po nasypie do fosy.

- Krok!

Na środku mostu pojawił się wojownik, o głowę przewyższający pozostałych. Co oznaczało, że od Yngvild wyższy było od wie. Wicehrabia, który właśnie wyskoczył w malowniczym kontrataku przed szereg, wrzasnął dziko i zaatakował. Olbrzymi wojownik nawet nie wysiłał się na odbicie ciosu. Uchylił się i uderzył potężną okutą żelazem maczugą. Hrabia poleciał kilka kroków do tyłu. Yngvild i Arandir, który niespodziewanie pojawił się obok niej, zamknęli szereg i ruszyli równocześnie. Gwardzistka blokowała tarczą, elf ciął zza niej. Po drugim ciosie maczugi tarcza rozpadła się na pół. Yngvild z trudem ruszając lewą ręką, ujęła miecz w obie dłonie. Ruszyli. Elf oberwał pierwszy, trzaśnięty samą końcówką w głowę padł na nasyp. Yngvild przez chwilę usiłowała zatrzymać olbrzyma sama, ale po chwili krótki oszczędny cios maczugi w prawą stronę twarzy pozbawił ją przytomności. Padając usłyszała jeszcze kolejny wybuch ognistej kuli.

Gdy wróciła jej świadomość, zawahała się otworzyć oczy. A jeśli przegrali i jest w niewoli? Na pobojuwisku? Dobiegł ją znajomy głos z krasnoludzkim akcentem.

- Co z nią? - otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz Mony. Nie była jedyną zresztą opatrywana na zapleczu osobą, obok leżał Arandir i Fein Rasgalen z ręką na temblaku. Hodo, który zadał pytanie, właśnie kończył opatrywać rękę, rozciętą po połamaniu tarczy.

- Żyję, panie chorąży - odezwała się, ale natychmiast umilkła, bo uderzona szczeka boleśnie puchła. Łomot dochodzący z dołu wskazywał, że na moście nadal walczą.

- Cholera, nie przejdziemy - mruknął krasnolud, podnosząc miecz - Nie jest dobrze.

Do rannych podbiegła Mija, umazana krwią jak demon.

- Hodo - wrzasnęła - Nie dacie rady tu przejść! Musisz ich przekonać że ich walka nie ma sensu!

- Jak mam to zrobić niby?

- Znasz plany spisku - gwardzistka poparła Miję, z trudem artykułując słowa - Przekonaj ich, że sprowadzono ich tu tylko po to, by ich zniszczyć.

- Mamy list od komtura do hrabiego Rasgalena, z pieczęcią Zakonu. Powinien wystarczyć jako dowód.

List został znaleziony wczorajszej nocy. Właściwie sam przyszedł, niesiony przez nieumarłego który wdarł się na teren obozu. Nie doszli jeszcze do tego, jaka śmierć go spotkała i jaka klątwa go ożywiła, za życia najwyraźniej był kurierem. Trasa z komturii zakonnej w Bardzie na zamek Silberberg rzeczywiście biegła przez zajazd Villsvin. Yngvild dowiedziała się o liście od Miji. Która zapewniła, że poinformuje o nim chorążego.

- Jaki list...? - zapytał Hodo, patrząc pytająco to na jedną to na drugą kobietę. Yngvild spojrzała na Miję.

- Mówiłam mu...- odezwała się tonem usprawiedliwienia.

- Nie czas na to, daj mi ten list - krasnolud złapał kartkę we złamaną zakonną pieczęcią - Chodź - mruknął do Yngvild.

Wpadli w szereg, gdzie Zibbo, Neil i Kulbert usiłovali utrzymać linię obrony

- Stać!!! - wrzasnął Hodo, wychodząc przed szereg i unosząc do góry ręce. Yngvild stanęła obok niego, gotowa usunąć każdego, kto nie zrozumie pokojowego gestu. Kilku spośród barbarzyńców rzeczywiście zamachnęło się do ciosu, ale pozostali powstrzymali ich - Stać! - powtórzył krasnolud - Chcę rozmawiać z waszym dowódcą!!!

Zapadła chwila ciszy. Yngvild gorączkowo zastanawiała się, w jaki sposób przekażą informację ludziom, nie znając ich języka. Ale obawiała się niepotrzebnie. Spośród wojowników wyszedł jeden, niewysoki, w czerwonym kilcie.

- Ja dowodzę. Ty kto?

- Hodo, krasnolud, chorąży armii Cesarstwa Styrii. Chcę rozmawiać.

- O co? - zapytał tamten z trudem dobierając słowa obcego dla niego języka.

- Chcę rozmawiać tylko z dowódcą.

Barbarzyńca ruchem ręki nakazał pozostałym odsuniecie się. Odstąpili o kilka kroków. Hodo nakazał to samo swoim.

- Mów - odezwał się pierwszy skórojad.

- Wasza armia zostanie zniszczona - zaczął krasnolud, ignorując kpiący śmiech wojownika - Zastawiono pułapkę i na was i na nas. Aby zniszczyć Styrię waszymi rękami, a potem zniszczyć was. Brniecie w pułapkę. Musze rozmawiać z kimś kto dowodzi waszymi wojskami.

Wojownik spoważniał.

- Czym dowiedziesz co mówisz? - zapytał. Chorąży podniósł rękę z listem. Barbarzyńca zawahał się. Najwyraźniej wiedział, do czego służy papier. Ale czytać nie umiał.

- Poślę po niego - odezwał się w końcu - Wejdz na środek, bez żelaza, sam.

- Z jednym człowiekiem.

- Dobrze, z jednym.

Obydwa szeregi wycofały się poza most. Hodo skinął na Yngvild, oboje oddali miecze towarzyszom. Gwardzistka wzięła pochodnię. Stanęli na środku mostu czekając.

- Wiesz, co jest w tym liście? - odezwał się cicho krasnolud.

- Wiem.

- Nie powiedziałaś mi o tym - rzekł z wyrzutem.

- Wybacz... - odparła niepewnie - Naprawdę byłam przekonana że wiesz...

Zamilkli, bo od strony ognisk zbliżała się grupa wojowników. Pośród nich jeden wyróżniał się wzrostem, posturą i strojem. Nosił ozdobną futrzaną pelerynę. Gdy wszedł na most, otoczony przez swoich ludzi z pochodniami, dostrzegli, że nosił coś jeszcze. Sporej wielkości naszyjnik z dziczych kłów.

- "Kły noszący"... - szepnęła Yngvild. Szereg wojowników rozstał się, wszyscy padli na kolana. Dowódca, z którym Hodo rozmawiał wcześniej, podszedł do nich, wyprzedzając świętą wodza.

- Na kolana! - warknął. Hodo i Yngvild zmierzili go wzrokiem dobitnie mówiącym, jak bardzo zamierzają klękać przed barbarzyńskim wodzem. Wojownik wbrew umowie miał jednak miecz w ręku. Podniósł go groźnie, ale wódz powstrzymał go.

- Dość! - rzekł wcale nie głośno, ale dowódca skulił się, jakby dostał w plecy batem. Padł na kolana w pełnej pokory pozie - Cesarska Straż Pogranicza - odezwał się wódz, patrząc na mundury - Jeden z ostatnich żywych oddziałów.

- Wciąż jednak żywy - odparł Hodo - Za to wy wkrótce będziecie martwi.

- Przyszedłeś tu grozić mi? - zmrużył oczy barbarzyńca.

- Nie - odparł spokojnie chorąży - Przyszedłem cię ostrzec. Prowadzisz swoich ludzi w pułapkę.

- Prowadzę swoich ludzi na Styragrad. Za dwa tygodnie za zgliszczach waszej stolicy będą tylko wyć psy.

- A za trzy tygodnie z twojej armii zostaną niedobitki.

- Wytlumacz - syknął wódz przez zęby. Towarzyszka mu eskorta, najwyraźniej rozróżniając odcienie głosu przywódcy, dobyła mieczy. Straż za plecami Hoda i Yngvild również. Chorąży powstrzymał ich gestem.

- Wiesz co do jest Draig-a-Haeer? - zapytał. Wódz zamilkł.

- Wiem - odparł po chwili - ale on należy do cesarza, a wasz cesarz nie żyje.

- Wczorajszej nocy sami wydobyliśmy Draig-a-Haeern na powierzchnię.

- Kłamiesz - wódz wciąż mówił przez zaciśnięte zęby - Gdybyście go mieli, nie znieśliśmy w przeciągu dnia wszystkich waszych placówek granicznych.

- Nie wszystkich - uśmiechnął się Hodo złośliwie - Moja placówka ma się świetnie, za to ciała twoich wojowników spłonęły po południu na jednym z fortów. Ale nie powiedziałem, że mamy artefakt - uprzedził - odebrano go nam i jest w rękach Zakonu Indry. Zakon sprowadził was tutaj, by waszymi rękami zniszczyć Cesarstwo. Gdy spalicie Styragrad, zostaniecie zniszczeni mocą Draig-a-haeerna, a Zakon obejmie władzę na gruzach Styrii.

- Kłamiesz! - krzyknął barbarzyńca, podchodząc gwałtownie. Chorąży nie cofnął się.

- Dlaczego miałbym kłamać? - zapytał zimno, wyciągając dłoń z listem - Potrafisz czytać?

Wódz złapał kartkę, przeleciał oczami linijki tekstu. Hodo spojrzał z obawą na Yngvild, nie będąc pewnym treści listu. Gwardzistka lekko skinęła głową, list zawierał dokładnie to samo, co Hodo zdążył przed chwilą powiedzieć.

Barbarzyńca warknął i zmiął w ręce papier. Milczał przez dłuższą chwilę, wreszcie potężnym głosem wydał okrzyk w swoim języku. Odziani w skóry wojownicy patrzyli na niego pytająco. Warknął po raz drugi i w szeregach zakotłowało się. Wódz ruszył do swoich, ale zatrzymał się po chwili.

- Nie sądźcie, że skończyłem z wami - warknął odwracając się do Hoda. Krasnolud skłonił się lekko.

- Będziemy gotowi, gdy wrócisz.

- Najpierw zajmijcie się tymi, którzy zdradzili was i mnie - fuknął barbarzyńca - Daliście mi coś, ja dam coś wam. Ci, którzy nazywają siebie Braterstwem... Tej nocy spotkają się na najwyższej górze, w kamiennym forcie.

Odwrócił się na pięcie, wojownicy, których mijał, padali na kolana.

- Chciałbym mieć kiedyś taki posłuch - mruknął krasnolud - Cholera, myślałem, że mogę ci ufać! - dodał z wyrzutem.

- Możesz mi ufać - Yngvild fuknęła z irytacją - Trzeba było wstać, jak cię budzili, a nie ... - opuściła głowę - Naprawdę sądziłam, że wiesz.

- Źle sądziłaś. Ale mniejsza z tym. Słyszałaś? Najwyższy fort.

Wrócili do swoich. Większość leżała ranna, bo eliksiry Mony skończyły się. Wicehrabia miał złamaną rękę, pozostali byli poparzeni i potłuczeni. Wybrali więc część oddziału zdolną do drogi na fort, resztę Obiezyświat poprowadził z powrotem do strażnicy.

Pomimo zmęczenia i ran ruszyli biegiem pod górę. Arandir bezbłędnie wyprowadził ich na osypującą się krawędź fosy starego fortu. Dookoła panowała absolutna cisza, jednak gdy podeszli bliżej, dostrzegli światło w jednym z otworów okiennych. Zgasili pochodnie. Elf pobiegł na zwiad i wrócił po chwili z informacją, że w kazamacie nikogo nie ma. W ciemności zeszli do zagruzowanej fosy i wspięli się wąziutką ścieżką na sam fort. Rzeczywiście nie było tam żywego ducha, na ziemi jednak widniał wyznaczony przez zapalone świece krąg.

Przetrzęsli dokładnie wszystkie pomieszczenia. Było pusto.

- Albo już tu byli i poszli - odezwał się Arandir - albo dopiero przyjdą.

- Albo w ogóle ich tu nie będzie - mruknęła Mija krytycznie.

- Ktoś jednak tu był - powiedział Rigo, poprawiając zakrwawiony opatrunek. Brak oka w fatalny sposób utrudniał mu walkę.

- Cóż, do świtu jeszcze trochę czasu - zdecydował Hodo - Możemy poczekać.

- A jeśli przyjdą, powiemy "dobry wieczór, już nas tu nie ma" - zakpiła bardka. Chorąży zacisnął zęby i powstrzymał się od riposty.

- Podzielimy się na kilka grup - stwierdził, przyglądając się pomieszczeniu - Ukryć się można za tym nasypem - wskazał sporą stertę gruzu w końcu pomieszczenia - W sąsiednim pomieszczeniu. W tym tuneliku.

- Tutaj mało miejsca - odparła Yngvild, wychodząc z niskiego przejścia - Trzy metry dalej jest przepaść.

- Część osób zostanie na zewnątrz - kontynuował chorąży - W odpowiednim momencie zamkną pułapkę.

- Chcesz ich schwytać? - spytała Yngvild z niedowierzaniem.

- Nie wiem jeszcze - przyznał - To będzie zależało od sytuacji, ilu ich będzie, z jaką obstawą. I kim będą. Jeśli dam sygnał do ataku, walczymy. Jeśli nie, spróbujemy jak najwięcej się dowiedzieć.

Podzielili się na mniejsze grupy. Na zewnątrz został Sigbert z podchorążym, Zibbo i Rigo. W drugim pomieszczeniu Borys, Mija z resztą najemników. Kilka osób wraz z chorążym zostało za nasypem. Yngvild i Arandir ukryli się w tuneliku. I już po pierwszych minutach oboje ciężko tego żałowali. W tuneliku panował przeciąg tak silny, że wiatr śwista głucho na rancie tarczy, którą Yngvild pożyczyła od kogoś w zamian swojej. W mokrych od deszczu ubraniach po chwili zrobiło się im tak zimno, że z trudem powstrzymywali szczykanie zębów.

Zapadła niczym nie zmacona cisza, dzwoniąca w uszach. Mijały kolejne minuty w nerwowym oczekiwaniu. Na każdy najmniejszy szelest czy mocniejszy powiew wiatru, którego odgłosy dochodziły z zewnątrz, wszyscy nerwowo chwyтали za miecze.

Yngvild miała wrażenie, że minęły długie godziny. Z nieprzyjemnego, przerywanego przez dojmujące zimno półsnu wyrwał ją w końcu szelest przy drzwiach. Od przeciwległej ściany tuneliku odbił się snop światła. Przeszedł ktoś z pochodnią. Oboje przytulili się do ścian.

Tymczasem do pomieszczenia w milczeniu wchodziły kolejne osoby. Słyszeli stukot obcasów, raz czy dwa usłyszeli dźwięczne brzdęknięcie miecza o kamień. Po dłuższej chwili obecni w sali stanęli nieruchomo, bo hałas umilkł. W absolutnej ciszy gwardzistka usłyszała znajomy, znenawidzony głos.

- Witam was, siostry i bracia, w tą noc zwycięstwa. Ja, Anzelm Aubrycht, z łaski Indry Zwycięskiego komtur Najświętszego Zakonu Pana Słońca, mam zaszczyt rozpocząć spotkanie świętego Braterstwa. Mówcie.

Yngvild zgrzytnęła zębami za złością.

- Witajcie - odezwał się dźwięczny kobiecy głos - Ja, Eledhwen dar Kirian, księżna Kamieniecka, również mam dla was świetliste informacje. Stworzona przez kontrolowanego przez mnie alchemika trucizna została wypróbowana i przyniosła nadspodziewane efekty. Wywołuje nie tylko przenoszoną przez morowe powietrze epidemię, ale także tych, co umarli z jej przyczyny, zachowuje od rozkładu, dając ciałom iskrę żywotności. Trucizna ta stać się może doskonałą bronią w rękach tych, co użyją jej właściwie. Ponad to - głos kobiety stał się bardziej

zdecydowany - oświadczam, że z ogromnym trudem udało mi się prześledzić drzewo genealogiczne mego rodu. I potwierdzam raz jeszcze, na co mogę przedstawić wszelkie dowody, że w chwili obecnej syn mój, Amavet dar Kirian, jest jedynym i najbardziej uprawnionym spadkobiercą cesarskiego rodu.

Po dłuższej chwili ciszy odezwał się kolejny głos.

- Potwierdzam te informacje. Ja, Evryl hrabia Rasgalen, palatyn na Silberbergu, informuję, że jestem także w posiadaniu odtrutki na rzeczoną truciznę, która również zresztą została sprawdzona w moich kopalniach. Z radością przyjmuje informacje, że zwycięstwo jest bliskie. Oczekuję zatem, że Raegen w niedługim czasie odzyska niepodległość. Pod moimi rządami.

-Ja - na dźwięk tego głosu zadrżeli. Znali go doskonale – Velet Morren, porucznik cesarskiej Straży Pogranicza, informuje, że przeważająca większość placówek granicznych na wschodniej ścianie w dniu dzisiejszym została zniszczona. Obronę uniemożliwiły im sprzeczne rozkazy i liczne mistyfikacje. Placówka pod Silberbergiem ulegnie wkrótce. Komendant Thor Biarson został w dniu dzisiejszym zabity podczas akcji pod Dzikowcem. Informuję, że zgodnie z założeniami większość oddziałów granicznych jest w rozsypce, morale żołnierzy najniższe od lat. Zaręczam, że z radością przyjmą oni powrót prawdziwej władzy, jako szansę na przywrócenie im godności munduru. Oraz odpowiedniego żołdu.

- Ja, Haleth Linaven, w imieniu Gildii Kupieckiej informuję, że jesteśmy w posiadaniu odpowiedniej ilości zboża, aby po przejściu hord móc zapewnić przetrwanie tym, którzy na nie zasłużą. W pełni kontrolujemy także handel bronią i stałą z Morthaimem.

- Jestem Złoty Lis, sługa świętego ognia - zabrzmiał chrapliwy głos o ewidentnie obcym akcencie - Dziś ruszył hordy wzdłuż całej granicy i zniósł w niebyt cesarską obronę. Przed dwoma godzinami moi ludzie weszli do Kłodzka, które w tej chwili płonie. Za niespełna dwa tygodnie tak samo spłonie Styrgrad. W ogniu ofiary spłoną wówczas ci, którzy zawierzili fałszywemu wodzowi i poszli za nim. Ja, prawowity wódz Iriów, wyprowadzę wówczas tych, którzy przetrwają z łaską świętego ognia.

- A więc dzieło oczyszczenia rozpoczęte - rozległ się głos komtura - Chwała niech będzie Indrze zwycięskiemu. Bracia i siostry, wczorajszej nocy bóg oddał w nasze ręce Draig-a- hern - komtur zrobił efektowną pauzę - Moc Styrii skupiona w tym przedmiocie jest bezpieczna w naszych rękach. Ci, którzy stali nam na drodze, nie żyją, bądź umrą wkrótce. Artefakt pozostanie bezpieczny w komandorii aż do jutra. W samo południe pod eskortą moich ludzi wyruszy bowiem do Styrgradu, by tam dopełniło się dzieło. Chwała niech będzie Indrze...

Ktoś podszedł do wylotu tuneliku, błysnęło światło pochodni. Yngvild i Arandir przyłgnęli do ścian. Człowiek trzymający pochodnię jak na nieszczęście właśnie się schylił, poprawiając buta. Podnosząc głowę spojrzął prosto w oczy gwardzistki, w których odbiło się światło pochodni.

- Ktoś tu jest... !!! - zdążył krzyknąć, kończąc krzyk charczeniem, gdy sztych miecza elfa przebił mu gardło.

- Teraz!!! - rozległ się okrzyk chorążego. Ukryci za nasypem i w drugiej kazamacie wpadli na środek pomieszczenia. Szóstka ludzi w obszernych płaszczach z kapturami zachowała absolutny spokój. Komtur uśmiechnął się złośliwie. Yngvild, trzęsąc się z zimna i wściekłości, skoczyła w jego stronę. Wyciągną rękę i pchnięcie energii odrzuciło ją i kilka innych osób na kilka kroków. Rzuciła się z powrotem w jego stronę, ale drogę zastąpił jej porucznik. Kilka osób skoczyło na niego, ale musieli się cofnąć przed niewielką ognistą kulą. odziany w lisie futro szaman posłał kilka kolejnych kul prosto w atakującego go Riena. Szermierz zwinął się na podłodze z poparzoną twarzą.

- Jesteście bardziej szaleni niż sądziłem - syknął przez zęby komtur - Umrzecie tutaj! - na potwierdzenie swoich słów pchnął przed siebie ręką. Potężna fala energii rzuciła nimi o przeciwległą ścianę i nasyp, za którym kryli się uprzednio. Candice próbowała rzucać zaklęcia, ale każde kolejne było rozprasane, zanim dosięgło kogokolwiek. Spiskowcy stanęli obok siebie

w samy wyjściu kazamaty. Mogli swobodnie wyjść w każdej chwili. Yngvild rzuciła się raz jeszcze z mieczem w kierunku zakonnika.

- To ty, uparta gwardzistko - uśmiechnął się złośliwie - Nie dość ci było bólu wtedy? - wypuścił z dłoni lśniący pocisk, ale uskokczyła, tnąc płasko cięciem od lewej do prawej. Wściekłość w niej aż wrzała. Zadzwoiła klinga, komtur dobył swojej broni i w wyrazem triumfu na twarzy podniósł do cięcia.

Ale ostrze nie opadło. Za plecami spiskowców nieoczekiwanie wyrosły ciemne postacie. Komtur jęknął i zapłuł się krwią, sztych miecza Zibba wyszedł na kilka centymetrów poniżej mostka. Krasnolud wyszarpnął ostrze i splunął z pogardą.

- Cholera, ten był mój! - wrzasnęła ze złością gwardzistka.

- Bez prywaty mi tutaj! - odkrzyknął Hodo. Wpadł na porucznika, uderzając w zęby głowicą miecza. Ten runął do tyłu, trzymając się rękami za rozbita twarz. Borys oszczędnym cięciem przejechał mu po brzuchu.

- Cholerny zdrajco - warknął chorąży, poprawiając sztychem. Krew zalała oficerski karwasz z czerwonym znakiem smoka.

Sigbert zamaszystym cięciem pozbawił głowy szamana. Kulbert wpadając pomiędzy walczących samym impetem obalając odzianą w zielony aksamit wysoką kobietę. Ta uderzyła głową o kamienie i straciła przytomność. W ogólnym zamieszaniu gwardzistka przestała dostrzegać, kto kogo bije. Starła się z wysokim mężczyzną w aksamitnym płaszczu, ale zanim zdążyła go ciąć, padł uderzony przez kogoś z tyłu. Niewysoka kobieta w skromnym podróżnym stroju skuliła się pod ścianą zakrywając rękami głowę.

- Stać! - wrzasnął Hodo widząc Borysa zamierzającego się na nią szablą - Stać! - powtórzył - Tą weźmiemy żywą.

Ciężko dysząc zastygli nad ciałami zabitych, jakby nie mogli uwierzyć, że udało się pokonać tak potężne osoby. Yngvild stanęła nad ciałem komtura.

- Teraz jesteśmy kwita - mruknęła cicho.

- Przeszukać ich - rozkazał chorąży - I sprawdzić czy wszyscy nie żyją. Dobra robota, panowie – zwrócił się do Zibba, Sigberta i reszty odsiecz - w samą porę, bo już zaczynało być krucho.

- Cholera - odezwała się Mija wskazując wysokiego mężczyznę na środku sali - To hrabia Rasgalen... Fein...

Borys podszedł i pochylił się nad ciałem.

- Jeszcze dycha - oświadczył i wpakował sztych w gardło leżącego - Już nie.

Mija odwróciła się ze wstrętem.

- Ta też jeszcze dycha! - krzyknął ktoś wskazując leżącą pod ścianą kobietę w aksamitach. Borys podniósł szablę.

- Stój! - zatrzymała go Yngvild, choć na pytający wzrok pozostałych nie była w stanie odpowiedzieć inaczej niż - nie godzi się ...- wiedząc, jak bezsensowny jest to argument. Hodo podszedł do kobiety, która szturchnięta przez Riga odzyskiwała przytomność.

- Nie zamierzam pozwolić jej przeżyć po to by mogła dalej knuć. Jej ród jest potężny, jeśli stąd wyjdzie, wymiga się karze.

- Hodo, jesteśmy w stanie wojny - odezwał się Kulbert - Obowiązują sądy doraźne, a ty jesteś najwyższy stopniem. Czy masz jakieś wątpliwości w kwestii jej winy?

- Przypomnij sobie umierających górników - przypomniała niespodziewanie Mona - Nie popieram samosądów, ale ona naprawdę zasłużyła na śmierć.

Hodo zmarszczył brwi.

- Eledhwen dar Kirian - zaczął.

- Parszywy psie, nie masz prawa mnie sądzić... - warknęła Eledhwen, podnosząc się.

- Z mocy nadanego mi prawa, w obliczu dowodów na twoje występki, na trucie niewinnych, a także na zdradę twojego kraju, skazuję cię na śmierć.

Choraży skinął głową. Stojący za księżną Rigo podniósł miecz i błyskawicznym ruchem przejechał jej po gardle. Opadła bezwładnie na ziemię. Yngvild westchnęła ciężko.

- Co z nią? - wskazała na skulona pod ścianą drugą kobietę.

- Związać - polecił.

- Co dalej? - odezwała się Mija - Słyszeliście wszyscy. Kłodzko padło, kapitan nie żyje...

Hodo uśmiechnął się.

- Oni najwyraźniej nie wiedzieli, że hordy zawracają. A jutro, w południe, artefakt opuści komandorię. To oznacza, że mamy szansę oszczędzić sobie zdobywania zakonnej twierdzy. Jak dla mnie to znakomita wiadomość.

Gdy wracali, właśnie wschodziło słońce. Gdy wyszli na otwarty teren, zobaczyli ciężkie wiszące nad Górami Srebrzystymi chmury. Ale spod nich złocistoróżowy blask oświetlał równinę. Yngvild wciągnęła w płuca chłodne powietrze, zapach mokrych traw i niedawnego deszczu.

- Wreszcie coś zaczęło się udawać - odezwał się idący obok Hodo. Spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała. Wschodzące słońce powoli przywracało jej nadzieję.

Yngvild obudziła się z uczuciem gryzącego niepokoju. W placówce panowała jeszcze absolutna cisza, wszyscy najwyraźniej wciąż jeszcze odsypiali kolejną ciężką noc. Gwardzistka nie potrafiła przypomnieć sobie niemiłego snu, ale nie miała ochoty zasypiać ponownie. Wstała z zamiarem zmoczenia twarzy w lodowatej wodzie w umywalni. Cicho przeszła przez pustą salę karczmy. Gdy weszła na schody, do jej uszu dobiegł szept. Zatrzymała się. Dostrzegła ich dopiero po dłuższej chwili, przytulonych do siebie przy szerokim pniu starej czereśni. Uśmiechnęła się. Fakt, że coś łączyło długowłosą półelfkę i kozaka, zdążyła się już połapać. Nie chcąc przeszkadzać, zawróciła ... i zderzyła się z idącym do góry Rigiem. Najemnik był od niej sporo wyższy i cięższy, więc prawie upadła.

- Wybacz – odezwał się najwyraźniej zakłopotany.

- Nic się nie stało – uśmiechnęła się – I tak mam dług u ciebie.

- Tak?

- Wczoraj rano wyglądałeś jakbyś chciał mnie zabić, a po południu uratowałeś mi życie - odparła – Chyba jeszcze nie zdążyłam ci podziękować. Choć to zaiste nie powód, żeby na mnie wpadać.

- Nie ma za co – powiedział, patrząc na nią badawczo – Zwykły odruch.

Nie była pewna czy miał na myśli pomoc towarzyszkowi z oddziału czy reakcję na jej wczorajszą pobudkę w karczmie.

Zeszła na dół. Ludzie powoli zaczęli się budzić.

Byli gotowi godzinę przed czasem. Po dłuższej analizie mapy wniosek był jeden – z komandorii prowadziła tylko jedna droga, której mogli być pewni. Droga ta dochodziła do Bramy Polowej i dalsza trasa konwoju była niewiadoma. Plan był prosty. Pułapka na Bramie, otoczenie konwoju. Zakłęcie oślepiające lub paraliż, aby uniemożliwić zakonnikom rzucanie zakłęcia. Przejęcie artefaktu. Plan miał jednakże kilka słabych stron. Nie wiedzieli jak liczna będzie eskorta. Poza tym, artefakt teoretycznie powinien być w ochronnej skrzynce, a oni nie mieli medalionu, który by ją otworzył.

Postanowiwszy problemy rozwiązywać na bieżąco, ruszyli na Bramę. Ponad dwudziestoosobowy oddział podzielili się na grupy, rozlokowując je tak, by zablokować każdą możliwą drogę ucieczki, a szczególnie drogę na powrót do komandorii. Na samej Bramie zostały osoby posługujące się magią. I Mona, dysponująca drogo zakupionym proszkiem, który po zetknięciu z ogniem dawał oślepiający błysk.

Yngvild przez cały poranek czuła się jak kłębek nerwów, ale teraz siedząc za załomem stoku na Bramie, czuła się całkowicie spokojna. Jak przed każdą decydującą walką. Bo za chwilę wszystko miało się rozstrzygnąć...

Rozległ się huk i, niemal równocześnie, tnący uszy wrzask Miji. Zerwali się biegiem do miejsca zasadzki. Magowie rzucali jakieś zaklęcia, ale nie zwracała na nich uwagi. Kilkoro ludzi w czerwonych tunikach desperacko broniło się na ścieżce. Yngvild wzrokiem poszukała osoby niosącej znaną jej skrzynkę. Zanim dobiegła, kobieta niosąca artefakt nie żyła, podobnie jak jej towarzysze.

- Cholera, trochę łatwo poszło... – odezwał się Kulbert wśród ogólnego milczenia.

- Nikt z nich nie rzucił żadnego zaklęcia... – dodał Varthanis, rozcierając palce. Mona otrzępywała ubranie lekko osmalone przy wybuchu.

- I trochę ich mało jak na eskortę artefaktu tego formatu co Draig – a – hern. Otwórzcie skrzynkę – rozkazała Mija. Kilka osób przykłękło, próbując na siłę otworzyć wieczko. W środku coś zagrzechotało.

- Chwila- odezwał się Kulbert, przykucając przy ciele jednego z zakonników, który wydawał się przewodzić małemu oddziałkowi – To może się przydać...- rzekł zdejmując mu z szyi znajomy ciężki medalion z zielonkawym kamieniem. Po włożeniu w wycięcie otwarli skrzynkę. Na dnie spoczywało sporej wielkości dłuto. Artefaktu nie było.

- Psiakrew – warknął Hodo, ale bez specjalnego zdziwienia – Z pozdrowieniami zza grobu od komtura.

- Pytanie brzmi „dla kogo?” – rzekła Mija – Dla nas? Czy dla odbiorców w Styrgradzie?

- Wygląda na to, że Zakon chciał zrobić w jasko nawet swoich kolegów z Braterstwa – dodał Kulbert – A przy okazji zakpił z nas.

- Pytanie brzmi – odezwała się Yngvild – czy w ogóle zamierzali go wysłać z komandorii? Czy ci tutaj byli wyłącznie wabikiem i pójdzie następny konwój, na który warto tu poczekać? Czy może w ogóle Zakon nie zamierza artefaktu nigdzie wysłać. A może po tym, jak komtur nie wrócił, zmienili plany?

- To bez sensu – wtrąciła nagle Candice. Wszystkie oczy zwróciły się na nią – My tu stoimy i myslimy, a cenny czas ucieka. Najprawdopodobniej artefakt wciąż jest w komandorii. Trzeba tam iść i...

- I co, oblegać ją..? – zapytał Hodo z wahaniem.

- A choćby – zawołał zadziornie kozak – Co jest, choraży? Sądzisz, że nie damy rady?

- Sądzę, że ostatnio nie daliście rady – odparł kwaśno choraży.

- A tam – zbagatelizował kozak ze złośliwym błyskiem w oku – może mieliśmy mniejszą motywację....

Hodo zrobił gest, jakby chciał go trzasnąć w łeb, ale się powstrzymał. Spojrzał poważnie po twarzach reszty oddziału.

- Wiecie, na co chcecie się porwać?

- Ja wiem – powiedziała Yngvild tonem, który świadczył, że już zdecydowała – I idę.

- Trzeba to w końcu skończyć – niespodziewanie poparł ją Rigo – Odebrać artefakt, albo zginąć próbując – gwardzistka spojrzała na niego, zdziwiona nagłym wybuchem desperackiego patriotyzmu. Ale inni byli podobnego zdania.

- Hmmm, to naprawdę potężny przeciwnik – uśmiechnął się radośnie Rien – Znakomicie!

Oddział w komplecie ruszył truchtem pod górę. Prawie w komplecie, bo od rana nie było z nimi małego fałszerza i nikt nie wiedział, gdzie się podział, zaś wicehrabia Rasgalen po nocnej bitwie miał połamane kości i leżał w strażnicy. Po kilku minutach dotarli na krawędź fosy i zrozumieli.

Na dziedzińcu stali zakonnicy i najemnicy cywilni. Kilku trzymało łuki. Na wyższych wałach fortu stali kolejni. Wszyscy gotowi na przyjęcie ataku. Gdy oddział wszedł na płaszczyznę przed wejściem na fort, przywitała ich salwa łuczników.

- Psiakrew, czekają na nas – krzyknął Hodo, kryjąc się za wałem.
- Przesyłka w skrzynce była dla nas – dodała Mija – Cóż, teraz dopiero okaże się, ile jesteście warci, cesarscy Strażnicy Pogranicza.
Chorąży zmierzył ją zimnym jak lód spojrzeniem.
- Kulbert! Obieżyświat! Yngvild! Do mnie! – zawołał.
Podbiegli, osłaniając się tarczami. Podszedł także Arandir, a za nim większość oddziału, kuląc się za wałem.
- Z lewej strony jest wejście – uprzedził pytanie chorążego – Kiedy usiłowaliśmy was wyciągnąć, pokazywał je nam kapitan. Trzeba zejść na końcu fosy po ścianie na dno i przez malutki tunelik można dostać się do środka.
- Trafisz tam?
- Ja trafię – wtrącił się Obieżyświat – Pewnie, że jest wejście. Ale nie wejdą ludzie z tarczami czy jakąś dużą bronią.
- Pójdą lekkozbrojni. Najlepiej magowie zdecydował chorąży – Osoby, które bez problemu poradzą sobie z wrogiem w ciasnym pomieszczeniu.
- Nic z tego, Hodo – wtrącił Varthanis – Przerabialiśmy to ostatnim razem właśnie. Komandoria jest obłożona całkowitą blokadą magiczną, nie da się tam rzucić żadnego zaklęcia za wyjątkiem kapłańskich. Magia jest więc bezużyteczna.
- Nie każda magia – wyszczerzyła się Mija Pendragon - Ja mogę pójść. Ale jak już tam wejdem, to nie zamierzam za was zdobywać fortu...
- Ja pójdę – dodał elf – Daj mi Miję, skrytobójcę, Edrica, Illimę... I Obieżyświata. Damy sobie radę.
Chorąży potwierdził skinieniem.
- Kulbert, wyślijcie zwiad w prawą stronę, sprawdźcie możliwości – rzekł - My odczekamy chwilę i przypuścimy pozorny szturm na główne wejście, aby odwrócić uwagę od tych w tunelu.
- Nie damy rady zdobyć tej ściany... – jęknął Gadjung, patrząc na strome wejście na forteczny dziedziniec – Wybiją nas...
- Oczywiście, że nie damy rady wejść tam szturmem – odparł Hodo – Ale odwrócimy uwagę i zajmiemy przynajmniej kilku z nich tak długo jak się da. Dopóki ci, którzy pójdą bokami, nie wejdą na fort.
- Jest wejście, panie chorąży – zameldował Kulbert – Stroma ścieżka na sam górny wał. Zgłaszam się na ochotnika – wyszczerzył zęby – proszę pozwolić mi poprowadzić tamtędy atak.
- Znakomicie – uśmiechnął się lekko krasnolud – Rigo. Borys. Sigmar. Gadjung. Sigbert. Na mój sygnał zaczniecie atak. Arandir, ile minut potrzebujecie na zejście do tego tunelu?
- Dziesięć powinno wystarczyć – odparł elf poprawiając ułożenie szabli – Do zobaczenia na dziedzińcu – uśmiechnął się i ruszył biegiem ścieżką wzdłuż fosy. Wyznaczeni do jego oddziału pobiegli za nim, pochyleni w obawie przed ostrzałem z dziedzińca.
Tymczasem Neil i Candice ulokowali się wygodnie za sporym pniem drzewa, skąd raz po raz wypuszczali strzały na dziedziniec, raz po raz rozlegał się tam okrzyk bólu i przekleństwa.
Oddział Kulberta zszedł do fosy i czekał na sygnał. Hodo spojrzał na tych, którzy zostali do szturmowania głównego wejścia.
- Cholera, gdzie jest Zibbo?
- Kulbert zabrał go ze sobą... – odpowiedział niepewnie Shamaroth – Ciężko będzie...
- Jak diabli – odparł chorąży – Do fosy!
Zeskoczyli ze stromej skarpy i od razu przywitał ich grad strzał. Z sykiem poszybowały w ich stronę kule z trującymi oparami. Odbili kilka, przed pozostałymi musieli odskakiwać. Hodo machnął ręką do czekającego na górze Jarlosa, ten zerwał biegiem w kierunku oddziału Kulberta. Za plecami walczących do fosy zeskoczyła Mona z torbą leczących eliksirów.
- No dobrze - westchnął chorąży – Teraz pozostaje jak najdłużej zająć tych, co stoją na dziedzińcu. Naprzód!

- Jasne! – wyszczerzył się entuzjastycznie Rien, ruszając przez fosę. Jęknęły cięciwy. Groty z głuchym stukotem uderzyły w powierzchnie tarcz. Z ich strony wału syknęły lotki i jeden z najemników zakonnych osunął się na ziemię. Tarczownicy podeszli do wału. Kolejna kula rozniosła trujące opary na dnie fosy, ruszyli więc szybciej do góry, trzymając tarcze niemal nad głowami. Z prawej flanki dobiegły ich wrzaski i odgłosy walki. Oddział Kulberta wdzierał się na wały. Ich krzyki zagłuszył potężny huk obalającego pocisku, rzuconego do fosy. Impet fali uderzeniowej rzucił nimi o ścianę i zwałił z nóg. Zanim zdążyli się zasłonić, łucznicy wypuścili kolejną salwę. Jedna ze strzał trafiła Shamarotha w bok, zrzucając ze skarpy. Hodo zaklął i ruszył do góry. Długie miecze zadzwoniły o okutą krawędź krasnoludzkiej tarczy, chorąży ciął najbliższego zakonnika po nogach i wskoczył na dziedziniec.

- Ruszcie się! – wrzasnął, widząc, że został sam naprzeciw kilku napastników. Rien, który szedł zaraz za nim, spadł na sam dół, cięty przez bark. Na dziedziniec udało się dostać gwardzistce, ale nie zdołała nawet podnieść się, gdy zaatakowało ją dwóch najemników. Tarcza okazała się zbawienna. Skuliła się za nią, cięła jednego w górę pionowym cięciem skierowanym w krocze, po czym wstała, gwałtownym pchnięciem tarczy obalając drugiego. Ale sytuacja nadal była beznadziejna. Za plecami mieli krawędź dziedzińca i dno fosy dziesięć metrów niżej. Przed sobą ośmiu przeciwników. Kolejnych trzech sprawnie powstrzymywało Riena i Shamarotha przed wejściem na górę.

- Wycofujemy się – krzyknął Hodo, robiąc krok w stronę zejścia. Nie zdążył, oddany z potężnego łuku strzał rzucił nim do tyłu o pień drzewa. Stojący najbliżej zakonnik doskoczył do niego, ale nadział się na sztych krasnoludzkiego miecza.

- Łap! – krzyknęła gwardzistka, rzucając w jego stronę wydobyty z sakwy eliksir leczący. Malutka buteleczka poszybowała w powietrzu, odbiła się od pnia i spadła do fosy. Oboje zakłęli równocześnie, tymczasem następna strzała wbiła się z hukiem w pień drzewa obok głowy chorego. Yngvild zakłęła raz jeszcze i wypróbowanym sposobem trzasnęła najbliższego zakonnika krawędzią tarczy w pysk, po czym przyklękła przy krasnoludzie osłaniając go od kolejnych strzał.

- Schodź na dół! Nie musisz.... – stęknął, łamiąc wystającą z zakrwawionego barku brzechwę.

- Jasne, że nie muszę. Teraz jesteśmy kwita – odparła, z trudem odbijając ciosy – Rusz się! – jeden z zakonników potężnym kopniakiem w tarczę wytrącił ją z równowagi, zachwiała się i poczuła ukąszenie strzały powyżej prawego biodra. Syknęła z bólu. Silny cios wielkiego miecza powalił ją na ziemię. Właściciel ciężkiego refleksyjnego łuku stanął nad nią z napiętą cięciwą. Wciągnęła powietrze, spodziewając się strzału.

- Wiesz, co to znaczy łuk? – zapytał filozoficznie z bezlitosnym uśmiechem, napinając broń mocniej. Syknęły lotki. Ale nie przed nią, tylko nad jej głową. Posłana zza fosy strzała Neila trafiła prosto w krtań, łucznik zabalgotał i opadł na kolana, fala krwi z ust zalała mu ubranie.

- Wiem! – mruknęła Yngvild. Nie miała czasu zastanawiać się nad własnym fartem, kolejni zakonnicy już nadbiegali. Zeskoczyli oboje na dno fosy, Mona dobiegła do nich z eliksirami.

- Trzeba tam wrócić – sapnęła Yngvild, gdy eliksir zasklepił powierzchniową ranę – Ale mało nas tutaj jest...

Po lewej stronie głównego wejścia rozległ się rumor kamieni. Zza tarcz dostrzegli Dinima, Illimę, Obieżyświata i Edrica, przemykających pod ścianą fortu. Rumor usłyszeli też zakonni i po chwili do fosy poszybowały kule dymne i pociski obalające. Biegając niemal zygzakiem grupka dołączyła do tarczowników.

- Nie przejdziemy tunelem – wysapał Obieżyświat, blady jak ściana.

- Gdzie Arandir?! – zapytała Yngvild, pełna najgorszych przeczuć – I Mija?

- Wciągnęło ich! – krzyknął Dinim – W tunelu coś było!

- Jakie coś, do cholery?! – zirytował się Hodo – Trzeba było to zabić i iść dalej!!

- To był potwór jakiś – zawtórował mu Edric – Wciągnął Arandira, a potem bardkę. Jak elf nie dał mu rady...

- Musicie tam wrócić ...

- Mowmy nie ma!!! – krzyknęli niemal równocześnie – Już wołę szturmować wały – dodał Obieżyświat.

- Kulbert prosi o posiłki! – krzyknął z góry Jarlos, najwyraźniej pełniący funkcję kuriera między oddziałami. Hodo zaklął nieładnie.

- Illima, zostajesz, reszta zasuwać fosą na prawą flankę! Biegiem!

Szansę wdarcia się na fort znacząco zmały. Nie mieli szans wejścia na tyły tunelem, w dodatku stracili potężnego wojownika i bardkę – jedyną osobę, której moc magiczna miała szansę na forcie działać. Ostatnia nadzieja była w uderzeniu prawego skrzydła. Ale to była niewielka nadzieja.

- Jasny szlag – mruknął Hodo ilustrując nastrój większości niewielkiego oddziału – Spróbujemy jeszcze raz.

Kula dymna, która upadła obok z sykiem i gwizdem, przyspieszyła tylko decyzję. Tarcze znów poszły w górę. Znów syknęły lotki, posypały się drzazgi i iskry. Krok za krokiem przeszli pod skarpe. Na wąskiej ścieżce mogli zmieścić się tylko jeden za drugim. Widząc, jak kolejne osoby zsuwają się po ciosach mieczy, Yngvild zeskoczyła ze ścieżki i łapiąc się korzeniu ruszyła do góry po skarpie. Ale trzymanie korzeni wykluczało użycie miecza, jedyne co mogła zrobić, doszedłszy na górę, to trzymać tarczę nad głową, usiłując nie dać się zrzucić, i liczyć na celny strzał Neila. Ale łucznik najwyraźniej tym razem nie trafił.

Z prawej strony usłyszeli okrzyk triumfu. Ale nie sposób było rozpoznać, czy to ludzie Kulberta czy zakonni krzyczą. Yngvild spojrzała na prawy wał i dostrzegła czerwone szarawary Borysa, a po chwili Riga i Obieżyświata biegnących górą.

- Wdarli się!! – wrzasnęła do Hoda. Usiłując utrzymać równowagę, machnęła mieczem celując w nogi stojących nad nią najemników. Jeden upadł, trafiony, reszta zaczęła wycofywać się. Rien, który wpadł na dziedziniec wielkim susem, wykonał piękny zamach obalając równocześnie dwóch stojących najbliżej przeciwników. Korzystając z odrobiny miejsca, gwardzistka wskoczyła na dziedziniec, dołączając do szermierza. Za Rienem wpadli też Hodo i Sham, a za nimi Illima, który, radośnie wymachując dwoma mieczami, zignorował szereg i rzucił się pomiędzy przeciwników. Z góry wału dobiegały wrzaski i rzucone w beładzie rozkazy. Po chwili ujrzeni na górze Kulberta, zbiegającego poterną wraz z Rigiem. Z kazamat na dziedziniec wybiegło kolejnych kilku zakonników i na dziedzińcu umarli dogonieni przez Obieżyświata i Zibba. Wejściem po skarpie na dziedziniec wpadł Neil, Candice i pozostali. Borys, zbiegając z górnego wału wrzasnął z dzikim triumfem.

- Wycofać się! Do kazamaty! – krzyknął jeden z zakonników, zbierając wokół siebie pozostałych przy życiu.

- Do kazamaty! Do kazamaty! – powtórzyli kolejni. Na dziedzińcu pojawiło się jeszcze kilku, szaloną szarżą przebili się przez stojących w rozproszeniu cesarskich i dobiegli do wejścia widniejącego tuż przy zejściu poterny w lewym wale fortu. Po chwili z wejścia dosłyszeli kilka inkantacji.

- Kryć się, ognista kula! – wrzasnął Varthanis, rozpoznając słowa. Na potwierdzenie jasna kula płomieni rozbłysła naprzeciw wejścia.

Przykleili się do ścian po bokach kazamaty, bo z wejścia zaczęły dodatkowo świstać strzały i kule dymne. Neil skryty za wałem poterny, posyłał w otwór strzałę za strzałą. Raz po raz rozlegał się okrzyk bólu. Stojący najbliżej próbowali atakować ukrytych w wejściu cięciami zza węgła, ale po kilku ładunkach obalających musieli się odsunąć. Jeden z zakonników posłał w ich kierunku włócznię, grot z brzdękiem odbił się od kamieni muru i upadł pod nogami Yngvild. Gwardzistka podniosła ją, podbiegła naprzeciw tunelu i z rozmachem cisnęła w wejście. Czyjś krzyk potwierdził trafienie, ale równocześnie rozległ się huk pocisku obalającego. Zdążyła osłonić się tarczą, ale impet uderzenia rzucił ją kilka kroków wstecz. A po owych kilku krokach

kończyła się krawędź poterny. Straciwszy grunt pod nogami Yngvild z łomotem poleciała na dziedziniec i uderzyła plecami o pień. Stojący obok Neil rzucił się z pomocą.

Tymczasem na górze ktoś posłał do tunelu jedną z ostatnich dymnych kul, które swego czasu najemnicy hrabiego zdobyli u alchemika. Zakotłowało się i zakonni cofnęli się. Z okrzykiem triumfu cesarscy ruszyli do tunelu. Za wejściem przywitał ich mrok, pogłębiany jeszcze przez opary. Biec się nie dało, strome zejście było śliskie i wąskie. Widząc na końcu zejścia światło, ruszyli powoli w tamtą stronę, gotowi na atak. Ale ten nie nastąpił. Nie zatrzymywani weszli do dużej kazamaty, której sklepienie niknęło w ciemności, spowite oparami i dymem. Na końcu pomieszczenia stało kilkoro zakonników, skupionych wokół oświetlonego nienaturalnym światłem ołtarzyka. Jeden z nich podszedł powoli do środka sali.

- Ściana ognia – rzekł tonem rozkazu wykonując gest wskazujący linię w poprzek kazamaty. Przez całą szerokość sali pojawiła się ściana płomieni, dobywający się z nich czarny dym powoli gromadził się pod sklepieniem. W migotliwym świetle dostrzegli uśmiech zakonnika, najwyraźniej recytującego inkantację.

- Stawać w szereg! – rozkazał Hodo, tarczownicy stanęli mrużąc oczy od blasku ognia – Łuki, za nami! Zwiad! Sprawdzić tamto wejście! – krzyknął, wskazując widniejący w prawej ścianie czarny otwór. Candice i Jarlos pobiegli do wejścia. Neil wycelował znad ramienia tarczowników, strzała ze świstem przecięła powietrze, z brzdękiem wbiła się w ognistą barierę. Po drugiej stronie usłyszeli łomot padającego ciała. Neil uśmiechnął się z triumfem. Ale uśmiech zamarł mu na ustach.

Do płomienistej ściany podeszli pozostali zakonnicy.

Rien krzyknął. Przez szereg przetoczył się jęk przerażenia i grozy. Bo po drugiej stronie płomieni stali Arandir i Mija. Ogień jasno oświetlał ich zmienione w obłędzie twarze i zastygła na szyjach krew. Yngvild zrozumiała.

Odwróciła się do swoich, ale już było za późno.

- Nie! – wrzasnęła, czując, jak ogarnia ją panika – Nie! Panujcie nad sobą!

Odwróciła się z powrotem do ściany ognia i zobaczyła, jak dwoje jej towarzyszy bez szwanku wchodzi w płomienie i przekracza barierę. Od bocznego wejścia rozległ się wrzask przerażenia, Candice wypadła stamtąd biegiem, przewracając się o leżące w wejściu kamienie. A za półelfką szedł ktoś jeszcze. Yngvild natychmiast poznała kocie ruchy i upiorny uśmiech, prezentujący drobne szpiczaste kły.

- No i wróciliście – szepnął sycząco. Yngvild poczuła jego słowa aż w tyle czaszki. Większość oddziału w panice cofnęła się pod kamienną ścianę kazamaty, kilka osób stało jak zahipnotyzowani na środku.

- On...! On był w tunelu...! – jęknął Illima.

- Do mnie... – szepnął wampir niemal pieszczotliwie w całkowitej ciszy.

- Nie! – Yngvild cofała się, wbrew swojej woli niemal, odczuwając potęgę wampirycznej hipnozy. Nie wiedziała, kogo bardziej chciała powstrzymać tym krzykiem, swoich towarzyszy czy siebie – Nie! Stać!

Nie pomogło. Pierwszy skoczył Rigo, z potwornym uśmiechem, który widziała na jego twarzy tamtej feralnej nocy. Obalił pierwsze dwie osoby, usłyszała chrupnięcie. Za nią zaatakował Borys, odwróciła się, odpychając go tarczą. Dostrzegła jeszcze Hoda, który walcząc ze sobą osunął się na kolana pod ścianą. Wampir szedł do niego powolnym krokiem, usłyszała szept, ale nie mogła rozróżnić słów. Krasnolud skulił się, jak uderzony, ale po chwili podniósł się. Dostrzegła w jego oczach ten sam obłęd.

- Nie... – powtórzyła z rozpaczą rezygnacją. Ale nie miała czasu na rezygnację. W kazamacie zakotłowało się, ci, których objęła niegdyś moc wampira, rzucili się na towarzyszy. W półmroku zresztą nie sposób było rozpoznać, kto z kim walczy. Yngvild usiłowała dostrzec wampira, jego wysoka postać górowała nad walczącymi, zresztą miejsca, gdzie przechodził, znaczyły pełne przerażenia wrzaski. Rzuciła się w tamtą stronę, ale drogę zastąpił jej Rigo.

- Wybacz .. – szepnęła, zanurkowała pod jego mieczem i potężnym poziomym cięciem uderzyła w brzuch. Najemnik zawisł jej na klindze.

- Abel! – wrzasnęła, gdy dostrzegła w ciemności jasną koszulę chana – Sztylet!

Mag podbiegł do niej, po sekundzie podbiegł także Shamaroth, a za nim Rien, z owiniętym wokół pięści znanym już srebrnym łańcuszkiem. Yngvild spojrzała podejrzliwie na krasnoluda, ale był najzupełniej przytomny. Nie zastanawiając się nad przyczyną jego nagłej odporności, ruszyła w kierunku wampira.

- Musicie go obalić i przytrzymać srebrem – słyszała za plecami instrukcje Shamarotha – tak długo, aż uda mi się wypowiedzieć egzorcyzm!

Nie marnując czasu na potwierdzanie rzucili się na wampira. W tłoku nie miał jak odskakiwać, cięcie miecza Yngvild dosięgło go niemal natychmiast. Abel, który również był nad podziw odporny na wezwanie wampira, poprawił saberą, a drugą ręką ciał sztyletem. Trafiał, zasyczało, wampir wrzasnął ze złością i skoczył na nich, ale zatrzymał go Rien, uderzeniem pięści z pełnego zamachu trafiając go w szczękę. Srebrny łańcuszek odcisnął wypalony ślad na skórze. Wampir odskoczył, trzymając się za twarz. Wpatrując się w Abła wyszeptał kilka niezrozumiałych słów. Mag znieruchomiał, po czym osunął się na kolana, obezwładniony hipnozą. O klęczącego potknął się Illima, cofając się w pośpiechu przed atakującym Borysem. Sham kopniakiem posłał kozaka kilka kroków wstecz.

- Łap sztylet! – wrzasnął do Illimy, który o dziwo, natychmiast zorientował się o co chodzi. Rzucił jeden z mieczy, wyrwał z ręki chanackiego maga sztylet i skoczył na wampira. Yngvild dołączyła do niego, atakując serią ciosów, a kończąc wypróbowanym pchnięciem tarczy. Wampir zachwiał się, zatrzymawszy się na czyichś plecach. Uderzyli równocześnie, Rien pięścią, Illima sztyletem. Wampir runął na ziemię, ale nie przestali uderzać. Shamaroth stanął nad nim z buzdyganem w jednej ręce, a drugą wzmacniając słowa inkantacji.

- Vere mallum, vere anes! – krzyknął głosem tak potężnym, że przebił się przez panujący w kazamacie zgiełk. Wampir wrzasnął, po raz pierwszy. Z każdym słowem inkantacji wrzeszczał coraz głośniejsze, a srebro, które cięło mu skórę, sprawiało mu coraz większy ból – Vere anes! – krzyknął Shamarot – Tnij!

Ostatnie słowa były zwrócone do szermierza, który stał już nad wampirem z uniesionym mieczem. Na polecenie kapłana ostrze z jękiem przecięło powietrze i huknęło o kamienną podłogę. Rien znieruchomiał na sekundę, żeby dostrzec, jak wokół miejsca, gdzie szeroka klinga wgryzła się w szyję wampira, wykwitła czarna plama krwi. Powoli podniósł miecz, ręce drżały mu lekko. Na posadzce rozległ się syk. Wciągnęli powietrze obrzydzeniem i zgrozą.

Bo rozpołowione ciało wampira zaczęło spalać się wewnętrznym ogniem i po chwili leżał u ich stóp zwęglony zewłok.

W kazamacie zapanowała cisza, tak nagła, że boleśnie ukłuła w uszy. Oddychali z trudem, bo powietrze coraz bardziej wypełniało się czarnym dymem. Mona oprzytomniała pierwsza, doskoczyła do leżących na ziemi z leczniczymi eliksirami. Rigo. Borys. Sigmar. Hodo. Yngvild spojrzała po ich twarzach. Wszyscy byli przytomni. Pod ścianą Mija ciężko dysząc usiłowała wstać. Yngvild usiłowała znaleźć wzrokiem Arandira, ale nie mogła go dostrzec.

Zgrzyt dobywanych z pochew mieczy uzmysłowił im, że jeszcze nie wygrali tej walki. Po drugiej stronie przygasającej ognistej bariery stali szeregiem zakonnicy.

- Dość tego... – mruknął Neil. Strzała posłana niemal z końca kazamaty, syknęła i wbiła się w pierś jednego z knechtów. Padł bez jęku. Ogień przygasł jeszcze bardziej.

- Ruszać! – wrzasnął Rien, rzucając się do przodu. Skoczyli za nim, płomienie tylko z lekka opaliły im ubrania. Wpadli w zakonnych jak burza. W półmroku nie sposób było dostrzec, kto z kim walczy. Rozpoznając przeciwników po czerwonych tunikach Yngvild cięła więc nie zwracając uwagi na towarzyszy, jak i większości oddziału, po zabiciu wampira ogarnęła ją euforia i szal walki.

Ale słudzy Indry nie byli pierwszymi lepszymi rzeźmieszkami. Rien padł pierwszy ścięty ciosem długiego miecza. Kolejni biegnący na osłep padali na posadzkę. Zakonnicy,

wsparci o siebie ramionami, skupili się w zwartej grupie, tworząc z mieczy barierę nie do przebiccia. Stanęli naprzeciw siebie, mierząc przeciwników nienawistnym wzrokiem.

- Poddajcie się, pozwolimy wam przeżyć – odezwał się ktoś z cesarskich szeregów. Yngvild spodziewała się kpiącego śmiechu. Ale odpowiedziało tylko poważne, skupione milczenie, i fanatyczna zaciętość wymalowana na twarzach kapłanów.

Nagle obok siebie usłyszała szept. Obejrzała się i ujrzała Sigberta, w pochylonej modlitewnej postawie szepczącego niezrozumiałe dla niej słowa. Rycerz ścisnął w rękę noszony na szyi medalion, drugą zaciskał na rękojeści miecza.

- Co się dzieje? – szepnęła. Spojrzał na nią, odetchnął głęboko, jak ktoś kto podjął decyzję. I nagle jego oczy zaczęły się zmieniać, jakby przestał ją zupełnie widzieć. Widziała już ludzi tak patrzących. Berserkerów. Odskoczyła. Sigbert wrzasnął dziko i rzucił się do przodu, roztrzając towarzyszy. Zawijając nad głową ogromnym mieczem wpadł w grupę kapłanów, obalając kilku. Na jego głowę zważyło się kilka ciosów, ale wydawał się być na nie niewrażliwy.

- Atak! – wrzasnęła Yngvild rzucając się w ślad za rycerzem.

To było kilka sekund. Rozbici szaleńczym atakiem Sigberta zakonnicy poszli w rozsypkę i jeden po drugim umierali pod ciosami cesarskich mieczy. Czerwone tuniki, jedna po drugiej, niknęły w spowijającym kazamatać czarnym dymie, krew wsiąkała w szary wapienny pył pokrywający posadzkę.

Nie było czasu na cieszenie się zwycięstwem. Czarny dym gęstniał z każdą chwilą, czyniąc oddychanie niemal niemożliwym. Yngvild doskoczyła do oświetlonego ołtarzyka. W blasku dziwnych światełek dostrzegła znajomy kształt. Podniosła grot do góry z radością i triumfem.

- Panie chorąży – odezwała się do stojącego za nią krasnoluda, podając mu artefakt – Ty reprezentujesz tu Styrię. Miej go pod opieką.

Hodo wziął od niej Draig-a-hern z namaszczeniem i schował do sakwy. Grot nie zmieścił się w niej, więc zacisnął sznurek w połowie ostrza.

- Ilu rannych? – zawołał do Mony, pochylonej nad leżącym pod ścianą ciałem.

- Większość uzdrowiona – odparła, ale brzmienie głosu mówiło, że coś jest nie w porządku. Podeszli do niej zaniepokojeni, Hodo przyklęknął przy leżącym – Ale jemu nie pomogę... – szepnęła. Na kamieniach leżało ciało Arandira. Czyjś cios przebił mu krtań, pozbawiając większości szyi. Yngvild odwróciła się, szukając wzrokiem Varthanisa. Nekromanta stał tuż obok. Na jej pytający wzrok odpowiedział pokręceniem głową.

- Przykro mi – powiedział – Przy takiej ranie wskrzeszenie nie uda się.

- Jesteś pewien? Przecież...

- Wiem, co mówię – przerwał jej mag – Tym razem nie ma na to żadnej szansy. Śmierć upomniała się o niego...

- Wrócimy więc, żeby pochować poległych – odezwał się po chwili Hodo – Na razie musimy zabezpieczyć artefakt. Wszyscy na zewnątrz! – krzyknął. Zaczęli więc zbierać i wynosić rannych, większość stojących na nogach już wyszła. Dym gęstniał coraz bardziej, więc krztusili się i zakrywali rękawami twarze. Chorąży wychodził ostatni, sprawdzając, czy wszyscy zdążyli się wydostać.

- Cholera – krzyknął nagle. Yngvild odwróciła się od wejścia.

- Co się dzieje?

- To niemożliwe – warknął krasnolud rozglądając się nerwowo po podłodze. Ton jego głosu nie wróżył nic dobrego. Gwardzistka pojęła w lot.

- Zostaw podłogę! – krzyknęła – Na zewnątrz i zbierz wszystkich! Wszystkich!

Pobiegli do góry stromą poterną. Słońce oślepiło ich na chwilę. Na dziedzińcu część ludzi wciąż opatrywała rany, inni odpoczywali.

- Stawać w szereg! – wrzasnął chorąży. Wszyscy zerwali się, nie rozumiejąc celu polecenia. Hodo usiłował policzyć oddział, ale przerwał po chwili, zauważywszy brak kogoś.

- Gdzie jest Borys?!- krzyknął.

- Poszedł na zwiad razem z Candice... – odpowiedział ktoś z szeregu. ...

„Nie będę sama szturmować komturii. Są tu inni, którym zależałoby bardziej na tym. A im będzie łatwiej to wydrzeć niż Zakonowi.”...

...”Jest jeszcze Gildia”....

...”Nie widziałaś czasem Sary...?”...

- Gdzie Rigo i Edric? – wrzasnęła gwardzistka, zaczynając wreszcie rozumieć. Hodo zaklął wulgarnie.

- Wszyscy za fosę! Natychmiast! Musimy ich znaleźć!!!

- Co się stało?

- Wykradli artefakt!!!

Ruszyli w pościg szaleńczym biegiem. Rozdzielili się na grupy i przeszukali Bramę Polową. Spodziewając się, że uciekinierzy będą szukać kontaktu z agentką Gildii, o której śmierci nie wiedzieli, sprawdzili też karczmę i obóz. Nie było ich. Ale przecież musieli jakoś dostarczyć swoją zdobycz zleceniodawcom... Poszukując rozwiązania znów zwrócili się w stronę magii.

- Jeśli udałoby się odczytać pamięć miejsca na Bramie ... – gorączkowo zastanawiał się Hodo – Musimy wiedzieć przynajmniej w którą stronę pobiegli, nie możemy ścigać duchów... Varthanis....?

Nekromanta spojrzał na niego spość łba.

- Powinno się udać, ale nie gwarantuję – odparł – Ale jeśli dzięki temu odzyskacie artefakt... Cesarstwo będzie mi coś winne.

- Nie będę się teraz targował – warknął chorąży – Zrobisz to?

Pobiegli z powrotem na Bramę. Ani Neil, ani Yngvild, ani pozostali tropiciele nie byli w stanie odczytać tropu na kamienistym gruncie. Wtedy dostrzegli ich.

Od strony zamku Silberberg zbliżali się ludzie. Nie znali ich twarzy, ani strojów. Ale było ich czworo.

- To oni! – szepnęła Yngvild. Hodo zmierzył ją wzrokiem pełnym wątpliwości.

- To może być zbieg okoliczności. Skąd możesz to wiedzieć?

- Tym razem to moja kobieca intuicja – warknęła przez zaciśnięte zęby i ruszyła biegiem górą wału tak, by nie było jej widać ze ścieżki. Kilka osób ruszyło za nią, Hodo ruszył na wprost, oficjalnie i otwarcie.

- W imieniu cesarza stać! – krzyknął, podchodząc do podróżnych. Ci cofnęli się ze strachem na widok zbrojnych.

- Jesteśmy tylko kupcami – krzyknęła kobieta – Proszę pozwolić nam przejść!

- Stać, powiedziałem! – powtórzył krasnolud. Podróżni spojrzeli po sobie, jakby zamierzali zerwać się do ucieczki, ale w tym momencie z górnego wału zeskoczyła Yngvild i Neil, zagradzając im drogę odwrotu. Łucznik trącił ją łokciem, dyskretnie dotykając dłonią nosa. Yngvild podeszła bliżej. Ubrania podróżników pachniały dymem.

- Pokażcie zawartość sakiew! – rozkazał Hodo stanowczo. Kobieta cofnęła się o krok.

- To jest bezprawie! – krzyknęła piskliwie – Nie macie prawa, tutaj jest Raegen!

Cesarskie wojsko nie ma...

- Jest stan wojny – przerwał jej krótko – Cesarskie wojsko ma prawo cię zabić tu i teraz, za niewykonanie tego polecenia! Sakwy!

Ręce kobiety zaczęły drżeć, gdy przyklekła aby rozpakować sakwę, którą położyła przy nogach. Yngvild spojrzała na jej buty. Pokryte szarym wapiennym pyłem.

- To oni – uśmiechnęła się z satysfakcją, podnosząc miecz.

- Jacy oni...- oburzył się jeden z mężczyzn – Ręce precz, my tylko...

Drugi mężczyzna popchnął stojącą obok Miję. Zaczęli się szamotać. Kobieta nie podnosząc się z ziemi zaczęła błyskawicznie coś recytować.

- Stój! – krzyknęła Yngvild, ale szybszy był Shamaroth. Cios buzdyganu z trzaskiem spadł na czaszkę kobiety. Słowa zamarły jej w gardle i osunęła się na ziemię. Iluzja trzymana w mocy jej zakłębieniem, przysła.

- Nie!!! - Borys, który przed chwilą usiłował rzucić się na Miję, odepchnął stojącego obok Illimę i przypadł do leżącej półelfki. Na jej długich jasnych włosach zaczęła wykwiatać czarna plama. Kozak podniósł ją i położył na swoich kolanach, wtulając twarz w jej włosy. W tym samym czasie pozostali rozbroili Riga i Edrica. Hodo wysypał wszystko z sakwy Candice. Grot z ciemnej stali dźwięcznie uderzył o kamienie.

- Zawiśnięcie za to – warknął – Związać i do strażnicy.

Kozak podniósł głowę znad nieruchomego ciała półelfki. Oczy miał pełne szalonej rozpacz. I zimnej nienawiści.

- Pomóżcie jej... – szepnął z trudem przez zaciśnięte gardło. Neil przyklęknął przy psioniczce.

- Ona nie żyje – powiedział.

- Możecie ją wskrzesić... – syknął Borys. Hodo spojrzał na niego, przez twarz krasnoluda przemknął cień współczucia.

- Jeśli ją wskrzesimy, i tak zostanie skazana i zgładzona.

- Zapłacicie za to...

- Być może – przerwał chorąży – Związać ich. Ciało zabrać do strażnicy.

Kozak szarpnął się w odruchu, jakby chciał skoczyć na krasnoluda. Illima błyskawicznym ruchem przyłożył mu miecz do gardła.

- Nie rób tego – odezwał się łagodnie – To nie ma sensu.

Roweńczyk odwrócił się powolnym ruchem i spojrzał mu prosto w oczy. Napał ciałem na klingę, aż spod ostrza spłynęła strużka krwi. Dłonią złapał klingę, tnąc sobie skórę palców. Illima cofnął się niepewnie.

- Teraz już nic nie ma sensu – szepnął kozak, nie spuszczać wzroku. Błyskawicznym szarpnięciem dłoni podciął sobie gardło. Krew chlusnęła, zachlapując czarny strój Illimy i leżące u jego stóp martwe ciało półelfki. Ciało roweńczyka upadło tuż obok niej. Zanim dotknęło ziemi, Rigo wyrwał się usiłującemu go związać Kulbertowi, potężnym pchnięciem posłał na ziemię Riena i biegiem ruszył w dół ścieżki. Kilka osób ruszyło za nim, ale dogonienie najemnika okazało się niewykonalne. Wrócili jak niepyszni po kilkuset metrach.

- I co, tylko ja wam zostałem – wyszczerzył się Edric, rozsiadając się wygodnie na trawie.

- Ja bym się tak nie cieszył na twoim miejscu – mruknął Zibbo, podnosząc go jak piórko – Teraz skrupi się na tobie.

Wbrew oczekiwaniom Rigo nie wrócił spróbować szczęścia powtórnie, najwyraźniej ofiarowane przez Gildię kilkadziesiąt tysięcy to nie było aż tak dużo.

Ale okazało się, że odzyskanie Draig-a-herna nie stanowi końca problemów. Bo smocza włócznia należała do cesarzy. A jak słusznie zauważono, cesarz nie żył i nie było żadnego następcy.

Na rozważaniu, co właściwie należy zrobić w artefaktem, spędzili resztę dnia. I okazało się, że drastycznie różnią się w poglądach na tę kwestię.

- Bez cesarza artefakt nie ma mocy – oświadczył Hodo zdecydowanie. Od powrotu do karczmy krasnolud nie odstępował skrzynki nawet na krok – Dopóki nie będzie cesarza, tej mocy mieć nie będzie. Morał? Należy wybrać cesarza.

- Takie prawo ma tylko Rada Regencyjna – odparła Yngvild. Medalion cesarzy na powrót wisiał na jej szyi – A Rada nie potrafi tego dokonać od kilku miesięcy.

- No właśnie – stwierdził Sham, trzymając na kolanach cenna skrzynkę – Dlatego artefakt powinny wziąć pod opiekę starsze rasy, które go stworzyły. Arandir nie żyje, więc nie dostaną go elfy. Powinien więc trafić do Mortheimu...

Odpowiedziało mu chóralne fuknięcie.

- Artefakt należy do Styrii – rzekła gwardzistka z naciskiem – Powinna dostać go Rada...

- Widziałaś listę? – przerwał jej Hodo ostro. Chwilę wcześniej przy Edricu, który obecnie stał związany przy słupie, znaleźli listę ludzi, których Zakon chciał poinformować po przejęciu artefaktu. W domyśle byli to ludzie, którzy z Zakonem mogli, choć nie musieli, współpracować – Nawet nie wiesz, komu z nich możesz zaufać!

- Nie wiem – zgodziła się – Ale to nie zmienia faktu! Nadal tylko oni mają prawo dysponować artefaktem! Cokolwiek zechcemy zrobić na własną rękę, będzie bezprawne!

- Tak się zaczynają dynastie, Yngvild – wtrąciła się Mija – Włócznie powinien przejąć ten, który jest najdostojniejszy z urodzenia w tej grupie. Wicehrabia, a obecnie hrabia Rasgalen.

- Hrabia nie jest Styryjczykiem – przypomniał Kulbert – A ja jestem – uśmiechnął się szeroko – I pomagałem wydobyć artefakt.

- Dobra dobra – mruknął Hodo – Według tej logiki, ja jestem starszy stopniem. I jestem Styryjczykiem.

- Jesteś krasnoludem – zauważył Abel, siedzący dotąd w milczeniu obok Shamarotha. I obok skrzynki.

- No to co – zaperzył się chorąży – Nigdzie nie jest powiedziane, jakiej rasy są styryjskie dynastie.

Radosna dyskusja rozgorzała na dobre. Ale decyzję trzeba było w końcu podjąć.

- Ruszam o świcie do Strygradu – odezwała się Yngvild, gdy już wyklócili się na dobre o kwestie nowej dynastii – Poszukam kogoś, komu spośród regentów będzie można zaufać. I jemu oddam Draig-a-hern.

- Sama nie pojedziesz – mruknął chorąży – A placówki też nie można zostawić bezbronnej, zwłaszcza, że zostaliśmy na granicy niemal sami. Trzeba się podzielić.

- Ja wracam do stolicy – wtrąciła alchemiczka – I szczerze mówiąc, będę dozołgonnie wdzięczna za eskortę.

- Ja zostanę – stwierdziła Mija – Nowy rządca Silberbergu będzie potrzebował .. kogoś, kto wniesie trochę kultury na jego nowy dwór – uśmiechnęła się uroczo.

- Więc czas się rozdzielić – rzekł Hodo w zamyśleniu – Do rana mamy więc czas, by zdecydować, kto pojedzie, a kto zostanie.

- Hmmm, więc to dla wielu będzie ostatnia noc pod Silberbergiem – głos Miji jakby napełnił się smutkiem – Niech to będzie noc godna zapamiętania.

Zasiedli przy długich stołach nakrytych tym co udało się wydobyć ze spiżarni hobbitki. Polały się trunki, wzniesiono toasty. Za poległych, tych, którzy zostawili swoje życie na stokach Gór Srebrzystych. Za tych, którzy przeżyli. Za zwycięstwo. W podziękowaniu za wspólną walkę. Potem właściwie zabrakło im słów. Bo nie dało się jakoś wyrazić tego, co nagle zaczęli odczuwać, tego czegoś, co każdy z nich już wiedział. Że zostawią pod Silberbergiem coś ważnego, coś co sprawi, że zawsze już będą tu wracać. A było to na tyle ważne, że to co stało się później, wydało im się jakoś mniej istotne, choć zdecydowało o losach imperium.

Na zewnątrz zadał róg. Poderwali się na znajomy dźwięk. Nikt, poza kapitanem, nie miał tak czysto brzmiącego rogu! Czyżby jednak ocalał z pułapki pod Dzikowcem? Zanim zdążyli jednak wstać, drzwi otworzyły się z hukiem. Pierwszy wszedł kapitan, z zabandażowaną głową i ręką na temblaku, za nim kilku ludzi w wytartych ubraniach. Poznali ich twarze, to byli ci sami banicy, którzy niegdyś stanęli im na drodze w wąwozie. A za nimi wszedł ktoś jeszcze. Yngvild

wypuściła kubek ze zmartwiałej nagle ręki... Młody około dwudziestoletni mężczyzna w aksamitnym zielonym płaszczu wszedł zdecydowanym krokiem do pomieszczenia. Kapitan i towarzyszący mu ludzie zgięli się w ukłonie.

- Kto to jest, do cholery...? – szepnął ktoś przy stole. Yngvild wiedziała, kto to jest, choć gdy widziała go ostatni raz, umierał. Teraz, choć nieco wynędzniały i pobladły, najwyraźniej był w pełni sił. Podeszła, starając się panować nad drżeniem rąk i głosu. Przyklękła przed nim na jedno kolano i zdjęła z szyi medalion.

- Najjaśniejszy panie – dźwięk własnego głosu wydał jej się obcy, gdy wyciągnęła przed siebie dłoń z metalową łożką – Przyjmij na powrót to co należy do ciebie.

Cesarz Justyn IV wziął w ręce medalion i przyjrzał mu się w zamyśleniu.

- Macie coś jeszcze co należy do mnie – odezwał się po chwili – Zdobyliście to i obroniliście z ogromnym poświęceniem. Dlatego nie odejdziecie bez nagrody. Poproszę artefakt.

Hodo podniósł skrzynkę i podał ją władcy, przyklękając. Justyn otworzył, rzucił okiem na zawartość.

- Wstań, panie chorąży – rzekł – Na twoje ręce składam dziesięć tysięcy srebrnych cesarskich lintarów.

To był obłędny majątek. Yngvild nie potrafiła nawet wyobrazić sobie takiej kwoty. Odsunęła się w tył, w cień. Nie słuchała dalszej części. Nie słuchała słów cesarza, wyjaśniających, jak musiał udać własną śmierć i uciekać ze Styragradu przed rosnącym w potęgę Braterstwem. Jak krył się pod opieką dawnego przyjaciela w pogranicznych lasach. Nie słuchała, kiedy Hodo jednego po drugim przedstawiał swoich towarzyszy. Posypały się nagrody i awanse. Najbardziej spektakularny awans otrzymał chyba młody hrabia Rasgalen, który nagle stał się nowo mianowanym królem Raegen. Ale i inni nie byli pokrzywdzeni. Awanse wojskowe. Zaszczyty na cesarskim dworze. Herby szlacheckie. Nie słuchała. Nawet tego, że przywrócono ją do służby w gwardii. Nagle wydało się jej to mało ważne. Dużo mniej ważne od tego, że ta noc jest ostatnią w tym gronie. Oddałaby wszystkie nagrody za to, by kapitan znów zadał w róg i wydał Straży kolejny rozkaz.

Noc była zaiste warta zapamiętania. Do późna płynął miód i kolejne toasty. Tańczyli. Śpiewali. Do świtu. I zapamiętali tę noc. Na długo po tym, gdy umilkł ich śpiew. Gdy wygasło wartownicze ognisko. Na długo po tym, gdy opustoszały białe namioty pod Silberbergiem, a na drogach opadł kurz, po tym, jak odjechali w różne strony cesarstwa. Odbite od stoków echo samotnie tylko powtarza jak chanacką mantrę... Może kiedyś wróca...
